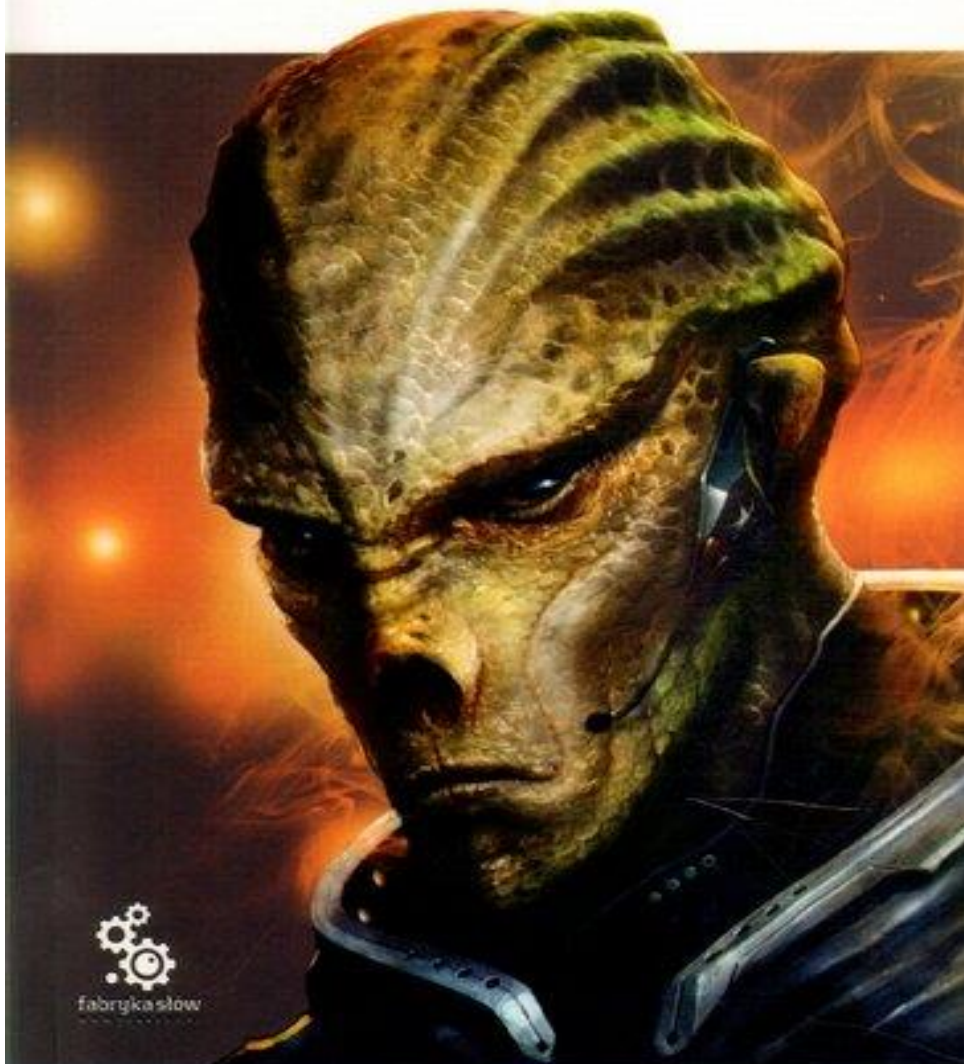


Nikt nie potrafi snuć opowieści lepiej od Mike'a Resnicka  
Orson Scott Card, autor „Gry Endera”



**MIKE RESNICK**  
DI STARSHIP: **BUNT**

**Mike Resnick**

**BUNT**

---

Przełożył:  
Robert J. Szmidt

**Fabryka Słów**

**Lublin 2009**

## MICHAEL DIAMOND RESNICK

popularny autor science fiction, 5-krotny laureat nagrody Hugo (nominowany 30 razy), zdobywca Nebuli (11 nominacji) oraz laurów przyznanych pisarzowi m.in. we Francji, Japonii, Hiszpanii, Chorwacji oraz Polsce. Według Locusa, magazynu prowadzącego listę zwycięzców najważniejszych nagród, w rankingu laurów za opowiadanie, w roku 2007 wysunął się na czoło wszystkich, żyjących i nieżyjących, pisarzy SF.

Amerykanin, urodzony w 1942 w Chicago. Ojciec Laury Resnick, również autorki powieści SF, uhonorowanej Nagrodą Campbella. Od lat 60. aktywny w środowisku fantastycznego fandomu. Jego książki przetłumaczono na francuski, włoski, niemiecki, hiszpański, japoński, koreański, niemiecki, bułgarski, węgierski, hebrajski, rosyjski, litewski, łotewski, polski, czeski, niemiecki, szwedzki, rumuński, fiński, chiński i chorwacki.

*Bunt* rozpoczyna space operę *Starship*. Fabryka Słów wydała już *Na tropie jednorożca*, 1. tom kolejnego, bestsellerowego cyklu Resnicka.

**Seria „Starship”:**

**1. *Bunt***

2. *Pirat*

3. *Najemnik*

4. *Buntownik*

*Dla Carol, jak zwykle, oraz dla Lou i Xin Anders*

**Spis treści**

Rozdział pierwszy	7
Rozdział drugi	23
Rozdział trzeci	39
Rozdział czwarty	58
Rozdział piąty	73
Rozdział szósty	84
Rozdział siódmy	97
Rozdział ósmy	113
Rozdział dziewiąty	129
Rozdział dziesiąty	136
Rozdział jedenasty	146
Rozdział dwunasty	160
Rozdział trzynasty	174
Rozdział czternasty	190
Rozdział piętnasty	203
Rozdział szesnasty	214
Rozdział siedemnasty	224
Rozdział osiemnasty	236
Rozdział dziewiętnasty	245
Rozdział dwudziesty	261
Rozdział dwudziesty pierwszy	265
Rozdział dwudziesty drugi	272
Rozdział dwudziesty trzeci	281
Rozdział dwudziesty czwarty	292
Rozdział dwudziesty piąty	298
Aneksy	300

## Rozdział pierwszy

Okręt zawisł w przestrzeni, całkowicie nieruchomy i przytłaczająco szary. Na jego kadłubie nie było widać jednego śladu rdzy, choć poszycie miał mocno podniszczone.

- Niezbyt imponujący widok, sir - stwierdził pilot wahadłowca, gdy maleńka jednostka zbliżyła się do giganta.

- Widywałem gorsze - odparł oficer.

- Naprawdę? - zaciekał się pilot. - Kiedy?

- Dasz mi godzinę na zastanowienie, to ci powiem.

- Ciekawe, czy uczestniczył w wielu akcjach?

- Tutaj? - oficer skrzywił się. - Obawiam się, że jego podstawową funkcją jest unikanie walki.

- Czyżby zamierzał pan zadekować się na nim do końca tej wojny? - zapytał pilot, uśmiechając się szeroko.

- Na to wygląda.

- Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę tego na własne oczy, sir.

- Ja już swoje zrobiłem. Mogę sobie pozwolić na odrobinę odpoczynku.

Wahadłowiec podchodził do głównej śluzy, a gdy podleciał wystarczająco blisko, rękaw kontaktowy oddzielił się od wielkiego kadłuba i płynnym ruchem połączył obie jednostki. Soczewkowata pokrywa włazu rozsunała się i oficer wkroczył na pokład. Zasalutował niedbale kobiecie w mundurze, która czekała w komorze śluzy. Odpowiedziała sprężystym, szybkim ruchem.

- Witamy na pokładzie „Teodora Roosevelta”, sir - powiedziała, gdy lustrował z niezbyt zadowoloną miną nowe otoczenie. Dopiero wtedy zauważył, że przez cały czas bacznie mu się przyglądała.

- Czy coś jest nie tak, chorąży? - zapytał.

- Powinien pan poprosić o pozwolenie wejścia na pokład, sir - odpowiedziała.

- Przecież już jestem na pokładzie.

- Wiem, sir, ale...

- Wahadłowiec, którym tu przyleciałem znajduje się w tej chwili co najmniej pięćset mil od tej śluzy i z każdą sekundą oddala się coraz bardziej. Co mógłbym zrobić, gdyby odmówiono mi wejścia na pokład?

- Nie miałam najmniejszego zamiaru zabraniać panu wejścia na pokład, sir - wyjaśniła, wyraźnie podenerwowana.

- Dlaczego więc chcecie, żebym zadawał podobne pytanie? - zapytał.

- Bo tego wymaga regulamin floty, sir. Proszę o wybaczenie, jeśli uraziłam pana tym żądaniem.

- Nie ma sprawy, buzi na dzień dobry możemy dać sobie później. Zaprowadź mnie do waszego przywódcy.

- Co takiego?

- Zaprowadź mnie do dowódcy tego okrętu. Otrzymałem rozkaz zameldowania się u niego. Albo u niej. A może u tego.

- Tak jest, sir! - chorąży zasalutowała po raz kolejny. - Proszę za mną, sir.

Zrobiła w tył zwrot i ruszyła korytarzem, który podobnie jak poszycie zewnętrzne jednostki, miał już za sobą lepsze dni, jeśli nie dziesięciolecia. Po chwili zatrzymała się przy szybie windy pneumatycznej i zaczęła na niego. Kiedy dołączył, wstąpili razem na niewidzialną poduszkę z powietrza, która przeniosła ich o trzy pokłady wyżej. Tutaj kobieta opuściła windę, a on podążył za nią i wkrótce stanęli przed zamkniętymi drzwiami.

- To tutaj, sir.

- Dziękuję za pomoc, chorąży.



- Zanim odejdę... - zaczęła, równie zdenerwowana co zeterminowana - czy mogę uściskać pańską dłoń, sir?

Wzruszył ramionami, wyciągnął do niej rękę. Chwyliła ją mocno i potrząsnęła z wigorem.

- Dziękuję, sir! Będę mogła opowiadać o tym momencie moim dzieciom, kiedy już się ich dorobię. Proszę wchodzić od razu.

Musiał poczekać przed drzwiami, aż umieszczone w nich czujniki dokonają skanowania siatkówki oka i porównają punkty charakterystyczne twarzy, wagę oraz budowę ciała z zapisami figurującymi w komputerach okrętu. Dopiero po zakończeniu wszystkich procedur mógł wejść do środka. Trafił do niewielkiego i nierobiącego wrażenia gabinetu. Za biurkiem siedział niezwykle wysoki mężczyzna orientального pochodzenia, miał chyba z siedem stóp wzrostu. Nosił mundur z dystynkcjami kapitana.

Nowy oficer wystąpił krok naprzód.

- Wilson Cole melduje się na rozkaz.

Kapitan spojrzał na niego przelotnie, ale się nie odezwał.

- Wilson Cole melduje się na rozkaz - powtórzył oficer.

Gdy po raz kolejny nie otrzymał odpowiedzi, poczuł, że narasta w nim irytacja.

- Przepraszam, sir - dodał szybko. - Nie poinformowano mnie, że mój nowy dowódca będzie głuchoniemy.

- Zamknij się pan, panie Cole.

Teraz oficer spoglądał na rozmówcę w niemym zdziwieniu.

- Nazywam się kapitan Makeo Fujijama - powiedział wielkolud. - I wciąż czekam, aż zaszalujecie i zameldujecie się w regulaminowy sposób.

Cole zaszalował.

- Komandor Wilson Cole melduje się do służby, sir.

- Już lepiej - zauważył Fujiama. - Przeczytałem pańskie akta, panie Cole. Okazały się, jak by to powiedzieć, dość niezwykłe w wymowie.

- Tak to już jest, kiedy człowiekowi przychodzi działać w niezwykłych okolicznościach, sir.

- Moim skromnym zdaniem, to raczej dzięki pańskiemu udziałowi wspomniane okoliczności stały się niezwykłe, panie Cole - odparł kapitan. - Trzy Medale za Odwagę i dwie Pochwały za Wyjątkową Waleczność mówią same za siebie. To naprawdę niezwykłe osiągnięcia, można by rzec, niemające sobie równych w annałach floty.

- Dziękuję, sir.

- Ale z drugiej strony dwukrotnie obejmował pan stanowisko dowódcy okrętu i za każdym razem był pan degradowany. A coś takiego nie może być powodem do dumy, panie Cole.

- Wszystko przez biurokrację, kapitanie Fujiama - powiedział Cole.

- Prawdę powiedziawszy, chodziło raczej o niesubordynację. Odmówił pan wykonania rozkazów w czasie działań wojennych.

- Walczymy z Federacją Teroni od jedenastu lat - wyjaśnił Cole. - Dlatego uważałem szybkie pokonanie wroga i powrót do domu za mój święty obowiązek, i z tego też powodu ignorowałem idiotyczne rozkazy, które mi wydawano.

- Czym narażał pan okręt i wszystkich ludzi znajdujących się pod pańskim dowództwem na znaczne niebezpieczeństwo - podsumował Fujiama.

Cole spojrzał nowemu dowódcy prosto w oczy.

- Wojna to piekło, sir - powiedział po chwili milczenia.

- Podejrzewam, że głównie za sprawą takich ludzi jak pan.

- W obu przypadkach zastosowana przeze mnie taktyka okazała się słuszna - odparł Cole. - Dlatego odbierano mi tylko dowodzenie nad okrętem. Gdybym zawiódł, skończyłbym w pierwszym lepszym więzieniu, o czym obaj doskonale wiemy.

- Trafił pan do pierwszego lepszego więzienia, panie Cole - odparł Fujiama. - Jak my wszyscy.

- Sir?

- „Teodor Roosevelt” nie wygląda może na latający aniel, ale prawdę powiedziawszy spełnia wszelkie wymagania, które pozwalają na określenie go taką właśnie nazwą - wyjaśnił kapitan. - Ten okręt trafił do służby ponad sto lat temu. Zgodnie z regulaminem powinien leżeć na złomowisku od pięciu dziesięcioleci, ale nasze nieustanne zaangażowanie w kolejne wojny sprawiło, że potrzebujemy wszystkich jednostek, które wciąż potrafią przemierzać przestrzeń. Znaczna część załogi także powinna dawno przejść do cywila, z takich czy innych powodów, ale nasza Republika nie ma zwyczaju nagradzać złych poddanych, odsyłając ich w domowe pielesze. Dlatego „Teodor Roosevelt” operuje właśnie w tym, najmniej zaludnionym sektorze Obrzeży. Rzadko zdarza się nam lądować na którejś z planet, nie bierzemy też udziału w prawdziwych walkach, krótko mówiąc, jesteśmy idealną przechowalnią dla członków załóg, którzy - jak pan - nie potrafią wykonywać rozkazów, bądź przestali być idealnie dopasowanymi elementami gigantycznej maszyny wojennej. Wszyscy jesteśmy na bakier z dyscypliną, a większość moich podwładnych ma flotę w takim samym, jeśli nie mniejszym, poważaniu, co Federację Teroni... - kapitan przerwał. - Mam nadzieję, że ten krótki opis pozwolił panu na ogarnięcie sytuacji, panie Cole.

Komandor rozmyślał wciąż nad treścią usłyszanych przed chwilą słów.

- A czym pan zawinił, sir? - zapytał w końcu.

- Zabiłem siedmiu oficerów floty.

- Naszych czy wrogich?

- Naszych.

- Zakładam, że to był wypadek.

- Nie - odparł Fujijama tonem, który niedwuznacznie sugerował, iż wyczerpali ten temat.

Zapadła niezręczna cisza, którą przerwał w końcu Cole.

- Zadowolę się zatem założeniem, że zasłużyli sobie na tę śmierć, sir. Chciałbym panu zakomunikować, że nie zamierzam nikomu sprawiać problemów.

- Też mam taką nadzieję, panie Cole - powiedział kapitan.

- Chociaż mogę iść o zakład, że wszyscy zainteresowani zeznają pod przysięgą, iż sprawianie kłopotów to pańska specjalność. Będę szczerzy: czy mi się to podoba czy nie, a co więcej, czy to się panu podoba czy nie, pańskie czyny sprawiły, że znaczna część załogi widzi w panu prawdziwego bohatera. Znacznie ułatwi mi pan pracę, jeśli postara się nadal świecić przykładem.

- Zrobię, co tylko w mojej mocy, sir - odparł Cole. - Czy to już wszystko?

- Zakres pańskich obowiązków zostanie dopisany do baz danych wszystkich komputerów pokładowych. Ale rozkazy wydawane przeze mnie albo komandor Podok będą się pojawiały wyłącznie na pańskich terminalach.

- Komandor Podok?

- To nasz pierwszy oficer.

- Jej nazwisko nie brzmi zbyt po ludzku - zauważył Cole.

- To Polonoi - odparł Fujijama, przyglądając mu się uważnie. - Czy ma pan z tym jakiś problem?

- Nie, sir. Nie mam najmniejszych problemów - wyjaśnił Cole. - Zapytałem wyłącznie z ciekawości.

- Dobrze. Gdyby istniały choćby najmniejsze szanse na spotkanie terońskiego okrętu wojennego, zarówno ja, jak i Podok wolelibyśmy mieć na pana oko, przynajmniej do momentu pierwszego starcia. Ale znajdujemy się głęboko na zapleczu sektora, a pan dowodził już znacznie większymi okrętami niż ten. Dlatego sądzę, że może pan od razu objąć niebieską wachtę.

- Niebieską wachtę, sir?

- Na tym okręcie oznaczamy wachtę kolorami - wyjaśnił Fujijama. - Czerwona zaczyna się o godzinie zero i kończy się o ósmej czasu pokładowego. Biała trwa od ósmej do szesnastej, a niebieska od szesnastej do dwudziestej czwartej. Komandor Podok dowodzi okrętem podczas białej wachty, a pan zastąpi trzeciego oficera Forrice'a, który został czasowo przydzielony na niebieską wachtę.

- Forrice? - powtórzył Cole. - Kilka lat temu poznałem Molarianina noszącego nazwisko Forrice. Mówiliśmy o nim „Cztery Oczy”. Nie dość, że nick brzmiał po angielsku niemal identycznie jak jego prawdziwe nazwisko, to faktycznie miał tyle oczu.

- Nasz Forrice jest Molarianinem.

- Na pokładach okrętów Floty Obrzeży nie ma chyba dwóch Molarian o identycznie brzmiącym nazwisku - powiedział Cole. - Cieszę się, że będę mógł służyć z dawnym przyjacielem. - A potem szybko dodał: - A kogo on zabił?

- Prawdę powiedziawszy, trafił do nas, ponieważ odmówił zabicia pewnej osoby - wyjaśnił Fujijama. Cole już szykował się do zadania kolejnego pytania, ale kapitan uciszył go podniesieniem ręki. - Nie jestem informowany zbyt szczegółowo o powodach „popadnięcia w niełaskę” moich podwładnych.

- Nigdy?

- Przynajmniej do chwili, w której dowództwo sektora uzna, że człowiek taki może zagrażać bezpieczeństwu okrętu.

- Ciekawe, ile takich przypadków zagrożenia dla „Teodora Roosevelta” zgłosiło panu dowództwo? - zapytał szczerze zaintrygowany Cole. Fujiama westchnął ciężko.

- Wliczając w to pana, jeden.

- Chyba powinienem poczuć się zaszczycony.

- Nie sądzę - odparł Fujiama z powagą. - Będę szczerzy, panie Cole... Chyba nie ma na pokładzie tego okrętu kogoś, kto bardziej niż ja podziwia pańską odwagę i osiągnięcia. Ale może być pan pewien, że zareaguję z całą stanowczością, jeśli odmówi pan wykonania rozkazów albo zacznie mieć zły wpływ na i tak znikomą dyscyplinę załogi.

- Już raz to panu powiedziałem, kapitanie Fujiama, wiem doskonale, po której stronie lufy znajduje się nasz wróg.

- I dobrze - podsumował krótko dowódca. - Proszę postępować zgodnie z procedurami służby i regulaminem floty, a nie będziemy mieli ze sobą problemów. Może pan odejść.

Cole opuścił gabinet dowódcy i zobaczył, że kobieta, która go tutaj przyprowadziła, wciąż stoi w korytarzu. Najwyraźniej czekała na niego.

- Cieszę się, że przetrwał pan pierwsze starcie, sir - oznajmiła ze szczerym uśmiechem na ustach.

- Czy ktoś tutaj w to wątpił? - zapytał.

- Góra Fuji zabił już kilku oficerów.

- Ale mam nadzieję, że nie tych, którzy zgłaszali się do odbycia służby - stwierdził Cole, odwzajemniając uśmiech. - Zatem nazywacie go Górą Fuji?

- Tak, choć nikt nie ośmielił się powiedzieć mu tego prosto w oczy, sir.

- Rozumiem, jest wielki jak góra, to fakt - mruknął komandor. - A jak mam się zwracać do ciebie?

- Chorąży Rachel Marcos, sir.

- A co powiesz na to, że pominę stopień oraz nazwisko, i będę się zwracał do ciebie wyłącznie po imieniu?

- Jeśli pan sobie tego życzy, sir.

- Przede wszystkim życzę sobie obejrzeć moją kwaterę - powiedział Cole. - Domyślam się, że moje bagaże już tam trafiły?

- Pańska kabina jest teraz dokładnie czyszczona przez automaty porządkowe, sir - oznajmiła Rachel. - Bagaże znajdują się na pokładzie okrętu, ale zostaną do niej dostarczone dopiero po zakończeniu procedur sterylizacyjnych.

- Po zakończeniu procedur sterylizacyjnych? - powtórzył mimowolnie Cole, marszcząc brwi. - Na co, do jasnej cholery, zmarł mój poprzednik?

- Nie umarł, sir. Został przeniesiony. - To dlaczego...?

- Był Morowitą. - I co z tego?

- Morovici to insektożercy, sir. Miał w swojej kabinie sporo przekąsek. Z tego, co wiemy, część z nich uciekła mu przed czterema miesiącami. Drugiemu oficerowi niespecjalnie to przeszkadzało, ale kilka gatunków tych robali może być bardzo nieprzyjaznych człowiekowi. Upewniamy się więc, czy nie została tam jakaś larwa albo jajo.

- Jedno mogę obiecać, wszystko, co będę jadł na mojej koi będzie martwe, i to od bardzo dawna - zapewnił ją Cole.

- Kambuzy na jednostce są czynne przez całą dobę - oświadczyła z całkowitą powagą. - Członkowie załogi, bez względu na rasę, nie muszą konsumować jedzenia w kabinach.

- Czasem tak jest zabawniej.

- Zabawniej, sir? - zapytała, unosząc brew.

- Wiesz, Rachel, chyba za długo służysz we flocie. - Ale nadal wyrażam się jasno i zrozumiale, sir.

- Jak widzę, masz jednak poczucie humoru... - Cole przewrwał, oparł dłonie na biodrach i rozejrzał się po korytarzu. - Dobrze, mam sporo czasu do objęcia wachty, a kajuta jeszcze nie jest gotowa. Możesz mi posłużyć za przewodniczkę podczas zwiedzania?

- Spora część okrętu nie powinna pana interesować, sir. Mówię o kwaterach załogi, mesie i tym podobnych pomieszczeniach.

- Wszystko mnie interesuje - zaprotestował Cole. - Przecież mam dowodzić tym pudłem przez jedną trzecią doby pokładowej. Chyba powinienem zapoznać się z jego stanem.

Rachel znów się zachmurzyła.

- Wydawało mi się, że będzie pan drugim oficerem, sir.

- Jestem nim.

- Zatem nie będzie pan dowodził „Teddym R.”.

- Rozumiem, że tak nazwaliście swój okręcik. „Teddy R.”.

- To jedno z tych przyjemniejszych określeń, sir.

- A wracając do kwestii dowodzenia, sama przyznasz, że bezsensownym jest utrzymywanie wszystkich oficerów na służbie w tym samym czasie, podobnie jak pozwalanie im na sen o tej samej porze, no chyba że mówimy o sytuacji realnego zagrożenia na polu walki. Dlatego powiedziałem, że podczas mojej wachty to ja będę dowodził okrętem.

- Rozumiem, co miał pan na myśli, sir. Ale zabrzmiało to, jakby pan... - pozwoliła tym słowom zawisnąć w powietrzu.

- Jakbym zamierzał przejąć dowodzenie? - dokończył Cole.

- Nie, nie. Może nie potrafię wyrecytować regulaminu floty słowo po słowie, ale jeśli zobaczę, że grozi nam atak albo inne zagrożenie, kapitan będzie pierwszą osobą, którą o tym powia-



domię. - Uśmiechnął się. - Ten facet musi niesamowicie wyglądać, kiedy zbudzi się go nagle w środku nocy. Jeśli kiedykolwiek dojdzie do podobnej sytuacji, masz u mnie jak w banku, że ty będziesz posłańcem, którego wyślę do niego z meldunkiem.

- Tak jest, sir! - zawołała z taką ochotą, że Cole musiał przyznać, iż jego wcześniejsza ocena dotycząca braku poczucia humoru u tej kobiety była więcej niż prawidłowa.

- Cóż, skoro ustaliliśmy już wszystkie drażliwe kwestie, czy możemy przejść do właściwego zwiedzania okrętu?

- Tak jest, sir!

- Chwileczkę... - powstrzymał ją, przyglądając się uważnie istocie, która sunęła korytarzem w ich stronę. - A cóż to za paskudztwo? - dodał po chwili, podnosząc głos.

- I ja cię pozdrawiam, wredny malkontencie - ryknął stwór. Miał nie więcej niż pięć stóp wzrostu, gdy się wyprostował i poruszał się na trzech krzywych nogach, raczej wirując, niż idąc prosto. Trzy bezkostne macki zwisały mu u boków. Sześcienna, kanciasta głowa tej istoty stanowiła siedlisko dla czworga oczu - para największych skierowana była do przodu, dwa dodatkowe zdobiły jej boki. Dwie długie, biegnące pionowo szpary robiły za nozdrza, usta były okrągłe i mocno wystające, uszy kryły się pod niebieskim puchem, który porastał całe ciało kosmity. Jedynym strojem osobnika był czerwony metalizowany kaftan, na którym wisiły dystynkcje trzeciego oficera i imponująca liczba medali.

- Cóżżeś porabiał, Cztery Oczy, gdy cię nie było? - zapytał Cole.

- Jak zwykle trzymałem się z dala od problemów - odpowiednik ludzkiego uśmiechu przemknął przez usta kosmity. - Zaufaj mi, tutaj to nie wymaga wielkiego wysiłku.

- Zna pan komandora Forrice, sir? - zapytała zdziwiona Rachel.

- Tak, chorąży, znam - odparł Cole. - I nawet bym go z chęcią uścisnął, gdyby nie wrodzony wstręt do dotykania obrzydliwych rzeczy.

- I właśnie dlatego nigdy nie prosiłem cię o pomoc w łowach na molariańskie samice podczas rui - wtrącił Forrice.

- Dzięki Bogu za te drobne akty łaski. - Cole wybuchnął śmiechem, a Forrice wydał z siebie dwa przeciągłe, niskie gwizdy. - Wiesz, Rachel, dlaczego tak bardzo lubię tych molariańskich sukinsynów? To chyba jedyne istoty w znanym nam kosmosie, które potrafią się śmiać, oczywiście jeśli nie liczyć ludzi. Tylko oni, prócz nas, mają poczucie humoru. Dowiesz się, Rachel, jaka to wielka różnica, jeśli utkniesz kiedyś sam na sam z obcym na pokładzie. - Cole zwrócił się do Forrice'a: - Cieszę się, że cię znowu widzę. Chyba nie jesteś teraz na służbie?

- Nie, właśnie szedłem do mesy. Może zabierzesz się ze mną, po drodze wprowadzę cię w tutejsze życie?

- Twoja propozycja brzmi kusząco - komandor spojrzał na Rachel. - Widzę, że tym razem nie będę potrzebował usług przewodnika. Jeśli powiesz mi, gdzie znajdę swoją kabinę, nie będę cię dłużej zatrzymywał.

- Czyżby przydzielono mu kajutę po Morovicie? - zapytał Forrice.

- Tak jest, sir. Molarianin znów gwizdnął.

- I to jest prawidłowe powitanie na „Teddym R.”. - Odwrócił się do Cole'a. - Z największą radością odprowadzę cię na miejsce, jak już wyjdziemy z mesy. Mam nadzieję, że spanie w pełnym skafandrze próżniowym przez kilka pierwszych miesięcy nie wydaje ci się zbyt zniechęcającą perspektywą?

- Oszczędź mi tych żałosnych żartów i chodźmy się napić czegoś mocniejszego.

- Napić? - powtórzył Forrice. - Nie jesteś głodny po tak długiej podróży?

- Jedno spojrzenie na ciebie odebrałoby apetyt każdemu - stwierdził Cole. Odwrócił się do Rachel i zasalutował. - Dziękuję wam, chorąży, za okazaną pomoc.

Odpowiedziała salutem na jego pozdrowienie i ruszyła korytarzem w tę samą stronę, w którą i oni zamierzali się udać.

- Co się z tobą działo... ale tak naprawdę? - zapytał Cole, gdy Molarianin prowadził go w stronę windy pneumatycznej.

- Nie było najgorzej. Nawet mnie nie zdegradowali. - Kosmita spojrzął na ramię Cole'a. - Ciebie, jak widzę, ta przyjemność nie ominęła.

- I to dwa razy.

Wyszli z windy wprost do mesy oficerskiej. Przy stolikach siedzieli dwóch ludzi i Molarianin, każdy osobno. Obaj komandorzy znaleźli stolik w zacisznym kącie sali, zajęli przy nim miejsca i złożyli zamówienie przez interkom umieszczony na blacie.

- Nadal pijesz kawę? - zauważył Forrice.

- A ty wciąż wolisz krew Anglików?

- Słucham?

- Zapomnij - mruknął Cole. - Jak tu karmią? - Jak dla mnie, nieźle. Ale czy tobie będzie smakowało, nie wiem.

- Dobra, przejdźmy do interesów. Czy „Teddy R.” brał udział w jakiejś akcji?

- Brał, ale siedemnaście, a może nawet i osiemnaście lat temu - odpowiedział Forrice. - Widziałeś go przecież. Gdyby ten statek miał kolana i został zaatakowany, pewnie padłby na nie natychmiast, żeby błagać o łaskę.

- Poważnie pytam, czy on może się bronić, jeśli przyjdzie co do czego?

- Mam nadzieję, że nigdy się tego nie dowiemy.

- A co powiesz na temat załogi?

- Wszyscy są tacy jak my.

- Jak my? - zdziwił się Cole.

- Większość z nich ma za sobą... przeżycia - Forrice zniżył głos. - Są tak zniechęceni i znudzeni służbą, że przynajmniej jedna trzecia z nich jedzie cały czas na prochach. A ponieważ to władze są odpowiedzialne za ich osądzenie i zesłanie na „Teddy'ego R.”, więc nie zdziwi cię chyba, że żaden autorytet nie cieszy się wśród nich wielkim poważaniem.

- Widzę, że sporo narkotyków przechodzi przez to pudło. Skąd oni je biorą?

- Podejrzewam, że wiele z nich zostało przemyconych na pokład w ciągu ostatnich dwóch lat - odparł Forrice. - Poza tym, jak pamiętasz, na niemal każdej jednostce ludzie stają na głowie, żeby wyjść z izby chorych. A na „Teddy R.” ludzie potrafią zabić, żeby się do niej dostać.

- Zatem patrolujemy sektor, którego nikt nie chce, z załogą, której nikt nie chce, na pokładzie okrętu, którego nikt nie powinien chcieć - podsumował Cole. - Chyba mamy do czynienia z czysto matematyczną niemożliwością.

- Optymista - powiedział Molarianin.

- Niech mnie cholera, jeśli za tobą nie tęskniłem, Cztery Oczy! - zawołał Cole. - Molarianie są chyba najbrzydszymi stworzeniami, jakie wyszły spod dłuta Pana Boga, ale to jedyna rasa, która myśli podobnie jak my.

- Bóg stworzył nas dopiero wtedy, gdy pojął ogrom błędów, jakie popełnił przy kreowaniu gatunku ludzkiego.

- Jakie rasy błąkają się jeszcze po pokładzie „Teddy'ego R.”? Kapitan wspomniął mi o Polonoi.

- Tak, mamy tutaj całkiem sporo Polonoi, do tego kilku Mollutei, paru Bedalian, a nawet jednego Tolobitę.

- Tolobitę? - powtórzył Cole. - A cóż to takiego, ten Tolobita? Nigdy nie słyszałem o takiej rasie.

- Jeszcze pięćdziesiąt lat temu nie mieliśmy pojęcia, że oni istnieją. Poczekaj, aż go zobaczysz. Ta rasa żyje w symbiozie z pewnymi małymi, raczej niezbyt inteligentnymi stworzonkami.

- Widywałem już wcześniej symbiontów - odparł niezrażony tym wywodem Cole.

- Ale na pewno nie takich - zapewnił go Forrice. - Byłbym zapomniał o Bdxeni, ale wiesz, praktycznie go nie widzujemy.

- Dzisiaj chyba na każdym cholernym okręcie Republiki możesz natknąć się na Bdxeni. Nigdy nie śpią, więc stanowią idealny materiał na pilotów. Domyślam się, że nasz Bdxeni zajmuje to właśnie stanowisko?

- Tak - odparł Forrice. - Podpięli go do komputera nawigacyjnego. I to w dokładnym tego słowa znaczeniu. Kable wychodzące z jego głowy zostały podłączone do komputera albo i na odwrót. Nie wiem, czy maszyna odczytuje jego myśli, czy raczej on kieruje komputerami, ale „Teddy R.” leci tam, gdzie Bdxeni zapragnie, więc zgaduję, że ten układ całkiem sprawnie działa.

- Opowiedz mi coś o kapitanie - poprosił Cole. - Jaki on jest?

- Góra Fuji? - zapytał Molarianin. - Bardzo kompetentny i nieskazitelnie porządny. No i całkowicie nieszczęśliwy.

- Nieszczęśliwy?

- Gdyby ktoś zapytał o moją opinię, to krańcowa faza nieuleczalnej depresji.

- Ale dlaczego? - zdziwił się Cole. - Przecież wciąż dowodzi własnym okrętem.

- Stracił na tej wojnie córkę i trzech synów. A najmłodsze z jego dzieci zaciągnęło się w zeszłym miesiącu.

- Powiedział mi, że zabił całą bandę oficerów. Wiesz coś na ten temat?

- Znam tylko pogłoski. A z własnego doświadczenia wiem, że całkiem sporo oficerów zasługuje na zabicie. Z wyjątkiem tu obecnych, rzecz jasna. Dlaczego się śmiejesz?

- Wiem, że potraficie myśleć, jak ludzie - wyjaśnił Cole. - Ale nie mogę wyjść z podziwu, jak szybko przyswoiliście sobie wzorce naszej mowy.

- A czego po nas oczekiwaleś? Terrański jest językiem urzędowym Republiki. Jeśli mieliśmy służyć razem z wami, musieliśmy poznać wasz język.

- Wszyscy się go uczą albo przynajmniej korzystają z T-torów do tłumaczeń. Ale tylko wy, Molarianie, opanowaliście go do perfekcji.

- Jesteśmy rozumniejsi od pozostałych, jak sądzę - powiedział Forrice.

Błat stołu rozsunał się na boki, odstawiając zamówione drinki. Cole uniósł swój i wyciągnął rękę w stronę przyjaciela.

- Za długą, nudną i wyłącznie pokojową służbę na tej krypie.

Niestety, był tylko oficerem, nie jasnowidzem.

## Rozdział drugi

Forrice pokazał Cole'owi cztery opancerzone wahadłowce spoczywające w zewnętrznych dokach, potem zabrał go do sekcji bezpieczeństwa, gdzie obserwowali przez chwilę żylastą kobietę siedzącą za biurkiem i przeglądającą serię holograficznych obrazów unoszących się w powietrzu na wysokości jej twarzy. Gdy w końcu dostrzegła, że nie jest sama, wypowiedziała krótką komendę i wszystkie wyświetlacze zniknęły.

- Wilsonie Cole, poznaj Sharon Blacksmith - Forrice przedstawił ich sobie. - Pułkownik Blacksmith jest naszym szefem ochrony.

- I wiem, kim jesteś - dodała kobieta, wstając zza biurka. - Twoja reputacja cię wyprzedza, komandorze Cole.

- Możesz mówić mi Wilson - powiedział Cole.

- Dobrze. O ile w pobliżu nie ma Góry Fuji albo Podok, jestem Sharon.

- Pułkownik Blacksmith jest o tyle nietypowym członkiem załogi „Teddy'ego R.”, że zawsze wie, co robi i jest piekielnie skuteczna - dorzucił Molarianin.

Kobieta obserwowała bacznie Cole'a.

- Jesteś nieco niższy, niż myślałam.

- Gówno prawda - odparował bez namysłu.

- Wilsonie! - zawołał zaskoczony Forrice.

- Przecież to ty wprowadzałaś mój profil do komputerów tej jednostki, więc musiałaś osobiście zapoznać się ze wszystkimi danymi. Gdybym był chociaż o pół cala wyższy albo niższy, niż myślałaś, o pięć funtów cięższy albo lżejszy, wszystkie pieprzone alarmy na pokładzie zawyłyby jak wściekłe psy, gdy posta-

wiłem stopę w śluzie... - zamilkł i uśmiechnął się. - Czy zdałem mój pierwszy test?

- Jak najbardziej - odparła, odwzajemniając uśmiech. - Mam nadzieję, że nie poczułeś się urażony?

- Ani trochę. Cieszy mnie, że mamy tak kompetentną osobę na stanowisku pokładowego szefa ochrony. Pozwól, że cię o coś zapytam.

- Wal śmiało.

- Z tego, co wiem, „Teddy R.” nie lądował na żadnej planecie od ponad pół roku. Jestem piątym członkiem załogi, jaki w tym czasie trafił na jego pokład. Czym zajmujesz się w wolnym czasie?

- Bardzo rozsądne pytanie - przyznała Sharon. - Monitoruję wszystkie transmisje, prowadzę obserwację najistotniejszych pomieszczeń naszego okrętu, staram się ograniczyć handel narkotykami pomiędzy członkami załogi, pilnuję, żeby nikt nikogo nie zabił, a takie usiłowania zdarzają się od czasu do czasu. No i upewniam się, czy oficerowie dyżurni wykonują co godzinę regularne skanowanie przestrzeni wokół „Teddy'ego R.”.

- Wydawało mi się, że w promieniu wielu parseków od naszej pozycji nie powinno być żadnych terońskich jednostek - powiedział Cole.

- Też mam taką nadzieję, ale ich flota nie jest jedynym zagrożeniem. Tylko w ciągu ostatniego roku na siedemnastu okrętach dokonano aktów sabotażu. Sześć z nich miało wyłącznie ludzką załogę, na trzech kolejnych kosmici stanowili około osiemdziesięciu procent stanu osobowego, trafił się też taki, na którym nie było ani jednego człowieka. A to oznacza, że ktoś potrafi skorumpować zarówno ludzi, jak i przedstawicieli innych ras służących we flocie. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jakie bodźce trzeba zastosować, aby nakłonić kogoś do samobój-



czej misji wysadzenia własnej jednostki podczas lotu w przestrzeni kosmicznej, ale dzięki tym siedemnastu przypadkom wiem, że jest to możliwe. Dlatego moim nadrzędnym zadaniem jest upewnienie się, że podobna rzecz nie będzie miała miejsca na pokładzie „Teddy'ego R.”.

- Siedemnaście przypadków? Słyszałem o dwóch, może trzech, naprawdę nie miałem pojęcia, że sprawa dotyczy tak wielu jednostek.

- Flota nie ma w zwyczaju chwalić się takimi sprawami.

- Trzymanie podobnych wiadomości w ukryciu owocuje jedynie tym, że ludzie, którzy dostrzegą jakąś podejrzaną aktywność na pokładzie swojego okrętu, nie skojarzą jej z możliwością dokonania sabotażu.

- Podoba mi się twój tok rozumowania, komandorze Cole - powiedziała Sharon.

- Wilsonie - poprawił ją natychmiast. Otworzyła szufladę biurka i wyjęła z niej srebrną piersiówkę.

- Napijesz się? - zapytała. - Jaka jest kara za picie na służbie?

- Jej nałożenie zależy wyłącznie od tego, czy przyłapie cię ochrona.

- W takim razie strzelę sobie jednego - powiedział, przyjmując piersiówkę. Otworzył ją, pociągnął łyk i odwrócił się do Molarianina. - Poczęstowałbym i ciebie, ale pewnie oblałbyś się gorzałką i zeżarł tę piękną flaszeczkę.

- Następnym razem, gdy Teroni wyznaczą nagrodę za twoją głowę, o wiele poważniej zastanowię się nad ich propozycją - odparł Cztery Oczy.

- Może nie powinnam ci tego mówić - wtrąciła Sharon - ale Forrice dosłownie wyłaził ze skóry od momentu, w którym dowiedzieliśmy się, że zostaniesz przeniesiony na nasz okręt. Pew-

nie nie usłyszałeś od niego jednego dobrego słowa na swój temat, ale ja byłam cały czas karmiona opowieściami o twoich bohaterских czynach.

- Które w terminologii floty określa się mianem niepowodzeń - sprostował kwaśno Cole.

- My tutaj na pokładzie „Teddy'ego R.” wiemy lepiej - powiedziała Sharon. - Stałeś się dla nas czymś w rodzaju legendy.

- Nie zawstydzaj mnie już pierwszego dnia służby - poprosił Cole, czując się naprawdę niezręcznie.

- Nie ma sprawy - zgodziła się i odebrała mu piersiówkę. - Czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

- Tak, prawdę powiedziawszy jest coś takiego. Powiedz mi, jaki jest dokładny skład załogi naszego okrętu?

- Mamy na pokładzie trzydziestu siedmiu ludzi, pięciu Polonoi, czterech Molarian, Tolobitę, Morovitę, Pelleanorczyka, Orovitkę, Bedalianina i Bdxeni.

Pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Idiotyizm.

- Co jest według ciebie idiotyizmem?

- Skoro flota tak bardzo troszczy się o samopoczucie członków załogi, dlaczego mamy na pokładzie aż tylu samotnych przedstawicieli swoich ras? Nie mają z kim pogadać, podzielić się spostrzeżeniami i doświadczeniami.

- To chyba nie do końca prawda. Tolobici mają swoje symbionty, a Bdxeni pracują całą dobę, bez sekundy wytchnienia i wręcz nie znoszą, jeśli coś ich odciąga od zajęć.

- Co nie zmienia faktu, że na pokładzie przebywa sporo samotników.

- Nie mamy wpływu na to, kogo przysyła nam flota - przypomniała mu Sharon.

- Nie sugerowałem bynajmniej, że jesteś idiotką, która za to odpowiada - sprostował Cole. - Obawiam się, że ta bzdura, wzorem wszystkich innych, płynie z samej góry.

- Miałeś rację, Forrice - Sharon zwróciła się do Molarianina.  
- Facet ma klasę. Komandorze Cole... przepraszam, Wilsonie, mam przeczucie, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi.

- Cieszy mnie to - odparł Cole. - Przyda mi się tutaj każda przyjazna dłoń.

- Czy to już wszystko, czego chciałeś ode mnie?

- Przecież o nic jeszcze nie zapytałem.

- Sądziłam, że chciałeś poznać skład załogi - przypomniała mu.

- To był tylko wstęp do właściwego pytania. Chciałbym mieć dostęp do wszystkich danych, jakie masz na temat każdego członka załogi. Chciałbym dowiedzieć się wszystkiego na temat ludzi i kosmitów, z którymi przyjdzie mi służyć.

- Jaki masz certyfikat dostępu do danych poufnych i tajnych?

Wzruszył ramionami.

- Pewnie o poziom, albo i dwa poniżej tego, co jest potrzebne, aby uzyskać tego typu informacje - przyznał.

- Sprawdź i dam ci dostęp odpowiedni do posiadanych uprawnień - odpowiedziała Sharon.

- Dzięki i za to. Miło było cię poznać, ale obawiam się, że musimy już iść, żeby mój szanowny przewodnik zdążył mi pokazać wszystko, zanim obejmę pierwszą wachtę.

- Zobaczymy się jeszcze nieraz, możesz być tego pewien - powiedziała.

- Wyjaśnij mi jeszcze jedną sprawę. Co tak kompetentny oficer służb specjalnych jak ty robi na pokładzie zakłady floty?

- Przy takiej ilości wazeliny, jaką posmarowałeś swoje pytanie, bez problemu wyślizgam się od odpowiedzi.

- Co chcesz teraz zobaczyć? - zapytał Forrice. - Może pójdziemy na mostek?

- Każdy mostek wygląda w gruncie rzeczy tak samo - odparł Cole. - Pokaż mi coś ciekawszego.

- Obawiam się, że to właśnie tam będziesz spędzał większość czasu - przypomniał mu Molarianin.

- Akurat. - Cztery Oczy spojrzął na Wilsona ciekawie. - Macie na ciągłej wachcie pilota, aktywny pion uzbrojenia, nawet oficera pokładowego. Mogę z każdego miejsca na tym okręcie zobaczyć i usłyszeć to samo, co oni, mogę też wydać im każdy rozkaz bez względu na to, gdzie się aktualnie będę znajdował. Dlaczego miałbym ślęczeć całymi godzinami na mostku, obserwując ekrany i wpatrując się w potylice siedzących przede mną załogantów?

- Przestaje mnie dziwić, że odbierano ci dowództwo innych jednostek - wtrąciła Sharon. - Zbyt racjonalny jesteś, jak na tę robotę.

- Dobrze - zgodził się Forrice. - W takim razie sam mi powiedz, co chcesz zobaczyć.

- Jakie urządzenia rekreacyjne macie na „Teddym R.”?

- Niespecjalne. Połowę sprzętu przeznaczono dla ludzi, resztę dla pozostałych ras.

- Przynajmniej pokaż mi, gdzie się znajdują, żebym wiedział, jak tam trafić. A potem obejrzymy sobie izbę chorych.

- Chodź za mną - poprosił Forrice. Molarianin wyszedł na korytarz i zaprowadził

Cole'a do kolejnej: windy pneumatycznej. Wjechali na wyższy pokład. Tam obejrzelisiłownię - pomieszczenie było zbyt

małe i za bardzo zagrazone, by mogło zyskać miano centrum odnowy biologicznej - a potem udali się do izby chorych.

- Niezła - przyznał Cole, oglądając wyposażenie niewielkiej sali operacyjnej. - Bardziej nowoczesna, niż przypuszczałem. - Zajrzał do jeszcze mniejszej sali pooperacyjnej, potem do zwykłych pomieszczeń dla pacjentów. W jednym stały cztery łóżka dla ludzi i, za doskonale zamaskowanym przepierzeniem, trzy kolejne, dostosowane do kształtów pozostałych istot służących na pokładzie. - Optymiści - podsumował ten widok Cole.

- Optymiści? - powtórzył za nim jak echo Forrice.

- A co się stanie, jeśli będą musieli hospitalizować dziesięciu członków załogi naraz? Na przykład na skutek zatrucia pokarmowego, żeby nie wymyślać poważniejszych przyczyn?

- „Teddy R.” nie znalazł się jeszcze nigdy w sytuacji, która groziłaby jednoczesnym odniesieniem ran przez dziesięciu członków załogi - uspokoił go Molarianin. - Nigdy też nie mieliśmy tutaj dobrego żarcia. Dlatego zdążyliśmy się uodpornić chyba na wszelkie zarazy. Na pokładzie tej krypy epidemia sraczkii nikomu nie grozi.

- Ilu mamy lekarzy?

- To zabrzmiało jak głupi dowcip - uprzedził Forrice.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? - zapytał Cole. - Mów, ilu?

- Jednego. To Bedalianin imieniem Tzinto.

- Nie ma na pokładzie człowieka lekarza?

- Był jeden.

- I co się z nim stało?

- Miał atak... tego bezużytecznego organu, który tylko wy, ludzie, posiadacie.

- Atak wyrostka robaczkowego?

- Tak, tak, właśnie tego! - potwierdził Forrice. - Wyrostka. Zmarł na stole operacyjnym.

- Dzięki. Nie wiesz nawet, jak bardzo podbudowałeś moje zaufanie do umiejętności kolegi Tzinto.

- To nie była jego wina. Ma specjalizację z fizjologii innych ras.

- Wystąpiliśmy o zastępstwo na stanowisku lekarza dla ludzi? - zapytał Cole.

- Tak, ale wiesz, tam toczy się wojna - wyjaśnił Cztery Oczy. - Prawdziwa wojna, nie możemy porównywać do niej patrolowania jakiegoś zadupia, co, nie da się ukryć, jest naszym głównym zadaniem. Zdaje się, że w dowództwie nie mają chwilowo żadnego lekarza na zbyciu.

- Fujijama mylił się, i to bardzo - powiedział Cole. - Na rozdzwiałyłch kryptach zapewniają odpowiednią opiekę lekarską.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- O niczym - uciął komandor. - Dobrze, widziałem już, co trzeba. Chodźmy dalej.

- „Teddy R.” nie jest wielkim okrętem - powiedział Molarianin. - Został nam do zwiedzenia tylko przedział bojowy, kilka laboratoriów naukowych, zresztą w większości nieużywanych, kwatery załogi i mostek.

- Poprowadź mnie wszystkimi korytarzami na każdym pokładzie - poprosił Cole. - Chcę zobaczyć kambuz, magazyny, toalety, po prostu wszystko. Jeśli mam spędzić na tym okręcie kilka najbliższych lat, powinienem poznać go w każdym calu.

- Już pierwszego dnia?

- A czemu nie. Może dzień próby jest już bliski? - Komandor zorientował się, że Forrice nie załapał tego żartu, dlatego wzruszył ramionami i skierował się do najbliższej windy. Molarianin wyminął go szybko, wskazał na inną, znajdującą się w głębi korytarza.

- Ile wy tu macie pokładów? - zdumiał się Cole. - Czy wszystkie windy nie prowadzą na te same poziomy?

- Prowadzą - potwierdził Forrice. - Ale ta, którą wybrałeś, jest obszerniejsza, pozwala na przetransportowanie noszy albo ślizgacza. Otrzymaliśmy zakaz korzystania z niej, z wyjątkiem sytuacji alarmowych.

- Ile razy od momentu twojego przybycia na pokład przewożono kogoś do izby chorych za pomocą noszy albo ślizgacza?

- Wydaje mi się, że cztery. A może nawet pięć. - A od ilu miesięcy tutaj służysz? - zapytał Cole. - Bierzemy tę windę.

- Nie mogę sprzeciwić się rozkazom oficera, który jest moim bezpośrednim przełożonym - oświadczył Cztery. Oczy bardzo zadowolonym tonem, zmierzając w ślad za Cole'em do drzwi najbliższej kabiny.

Zjechali do przedziału bojowego, gdzie komandor spotkał się z trzema sierżantami - człowiekiem, Polonoi i Molarianinem - którzy dbali o należyty stan broni pokładowej. Cole zastanawiał się, jak systematyzowano rangi wojskowe przed unifikacją rasową, gdy w sprzymierzonych flotach wyróżniano pięć niewiele się różniących stopni podoficerskich, osiem klas marynarzy (choć, prawdę powiedziawszy, żaden z nich pewnie morza na oczy nie widział) i sześć stopni odpowiadających mniej więcej randze porucznika. Te różnice były jednym z najważniejszych powodów normalizacji i powrotu do tradycyjnej hierarchii. Do sierżantów, majorów, pułkowników i całej reszty.

Szybka inspekcja utwierdziła komandora w przekonaniu, że każda terońska jednostka, którą mogą napotkać po drodze, będzie miała sporą przewagę ogniową nad „Teddym R.”. Złożył jeden autograf (ku jego zdumieniu poprosił o to nie człowiek, a Molarianin) i przeszedł do sektora zajmowanego przez laboratoria naukowe. Sprzęt w nich zgromadzony nie wyglądał na

przestarzały, ale wszystkie pomieszczenia były puste. Obaj naukowcy korzystali z popołudniowej przerwy na odpoczynek, a drzwi kompleksu strzegł jeden, za to wyraźnie znudzony, chorąży.

Potem Forrice zabrał Cole'a na szybki przegląd kwater załogi, które przypominały raczej tani, mocno podniszczony hotel niż sekcję mieszkalną okrętu wojennego. Gdyby natrafili na kwaśny odór uryny w którymś z korytarzy, wcale by się nie zdziwili. Kajuty zajmowały trzy sąsiadujące ze sobą pokłady, a bliższe przyjrzenie się im wykazało, że tylko najniższy poziom przystosowano do potrzeb załogantów innych ras.

- Też mieszkasz w tej okolicy? - zapytał Cole, gdy zakończyli inspekcję piętra dla obcych.

- Na końcu korytarza - odparł Forrice.

- Wpadnijmy do ciebie na minutkę. Molarianin wyglądał przez chwilę tak, jakby chciał zapytać, po co mają to robić, ale w końcu odpuścił i ruszył przodem. Na środku kajuty stało wielkie łóże przystosowane do molariańskich kształtów i także krzesła. Na ścianach wisiały holograficzne bohomy, które najwyraźniej cieszyły oko właściciela. Na biurku stały dwa komputery. Jednym z nich był klasyczny Steinmetz/Norton z pamięcią pęcherzykową, drugi model Cole widział po raz pierwszy w życiu.

- No to jesteśmy u mnie - powiedział Forrice. - I co teraz?

- Zamknij drzwi.

Cztery Oczy przekazał komputerowi polecenie i drzwi trzasnęły o stalową framugę.

Cole wyjął z kieszeni przenośny terminal, poprosił o połączenie z Sharon Blacksmith. Nagle jej głowa pojawiła się kilka cali nad wyświetlaczem terminala. Unosiła się w powietrzu ze wzrokiem utkwionym w Cole'a.



- Tak, komandorze? - zapytała.

- Przed laboratoriami naukowymi stoi na warcie chorąży - powiedział Cole.

- Zgadza się.

- Dlaczego? Przecież monitorujesz te pomieszczenia przez całą dobę. Czy ktoś groził ostatnio naukowcom?

- Nie, nikt im nie zagraża.

- Dlaczego więc nie znajdziesz lepszego zajęcia dla tego chorążego?

- Komandorze Cole, znajdujemy się o czterysta osiemdziesiąt trzy dni lotu od Port Royale w gromadzie Quinellus. Od stu trzydziestu dwóch dni nie zaobserwowaliśmy przejawów obecności nieprzyjaciela. Patrolujemy najbardziej pusty sektor Galaktyki, mając na pokładzie pełną obsadę stanowisk, pięćdziesięciu marynarzy i oficerów. Dlatego najważniejszą rzeczą jest zachowanie wśród nich najlepszej możliwej dyscypliny. Ma pan jakieś sugestie w tej materii?

- Rozumiem - odparł Cole. - Zastanawiałem się, czy to nie robota dla samej roboty, ale nie chciałem pytać o to publicznie.

- Dziękuję za taktowne podejście do sprawy - powiedziała. - Możesz być pewien, że gdyby nie to, iż jesteście sami z komandorem Forrice w jego kabinie, nie uzyskałbyś odpowiedzi na tak postawione pytanie.

- Dlaczego dyscyplina jest dla was tak wielkim problemem, skoro nie macie nic do roboty? - nie odpuszczał Cole.

- Ja zajmuję się sprawami bezpieczeństwa i wierz mi, nie mam czasu na pogaduchy - zgasiła go Sharon. - Jeśli chcesz, możesz zapytać o to kapitana albo komandor Podok.

- Chyba dam sobie z tym spokój - stwierdził Cole, przerywając połączenie. Odwrócił się do Forrice'a. - Czy na pokładzie coś się dzieje, oczywiście prócz handlu prochami? Były jakieś

próby bratania się pomiędzy marynarzami tej samej rasy albo nawet międzyrasowe?

- Nie.

- Ale będą - powiedział Cole. - Jeśli ja, po zaledwie trzech godzinach pobytu na pokładzie tego okrętu wiem, że wpadłem w gówno po uszy, cała reszta już dawno musiała zdać sobie z tego sprawę. Może tutaj czują się bezpieczniej niż we własnych miastach, żaden z nich nie wyglądał mi na porywczego młodego wojownika. Fujama mówił, że większość z nich trafiła tu na zsyłkę za jakieś przewinienia. A to oznacza pogardę dla wszelkich przejawów dyscypliny, i to w obliczu o wiele niebezpieczniejszych sytuacji niż nasza aktualna.

- Mówisz całkiem rozsądnie - przyznał Forrice.

- Ale ty nie wydajesz się tym przejmować.

- Bo tutaj, na Obrzeżach, to naprawdę nie robi różnicy. Jedyną osobą na tym okręcie, która nie bierze i pozostaje przy zdrowych zmysłach, jest pilot, ale on został podłączony do tak wielu komputerów, że nie wiem, czy mógłby zwariować, nawet gdyby bardzo chciał.

- Nie wiesz nawet, jak bardzo mnie to uspokoiło - powiedział Cole.

- Kiedy to stałeś się takim cynikiem?

- W chwili, gdy jako dziecko wypowiedziałem pierwsze słowo. Chodź, obejrzymy sobie mostek.

Forrice nakazał otwarcie drzwi. W tym momencie komputer ciepłym głosem zaczął wymawiać jego nazwisko.

- Właśnie dostałem wiadomość - usprawiedliwił się Cztery Oczy.

- Nie ma sprawy - odparł Cole. - Sam znajdę drogę.

- Najwyższy pokład, dotrzesz tam każdą windą. Wszystkie korytarze prowadzą na mostek.

Cole wyszedł z kajuty, znalazł najbliższą windę, nakazał jej szybkie wznoszenie, wysiadł na najwyższym pokładzie i znalazł się w naprawdę szerokim korytarzu. Po obu stronach widział wiele zamkniętych drzwi, mijał je kolejno, aż dotarł do sporej, wolnej przestrzeni ozdobionej imponującą wielkością wyświetlaczami. Wysoko na przezroczystej podstawie siedział pilot Bdxeni - po części insektoidalna istota o ciele przywodzącym na myśl spory pocisk, zwinięta teraz w pozycji embrionalnej. Jej wielofasetowe oczy były otwarte, nie mrugnęła jednak ani razu, gdy Cole na nią patrzył. Sześć grubych przewodów łączyło jej głowę z komputerami ukrytymi za grubą grodzią.

Na stanowisku bojowym siedziała kobieta w oficerskim mundurze, na jej wyświetlaczu pojawiały się co chwilę nowe obrazy, dzieła sztuki namalowane przez artystów obcych ras. Oficer pokładowy, wysoki, młody mężczyzna o zmierzwionych włosach, natychmiast zagroził drogę Cole'owi.

- Nazwisko i stopień, sir? - zapytał bez ogródek.

- Komandor Cole Wilson. Jestem nowym drugim oficerem „Teddy'ego R.”.

Mężczyzna zasalutował.

- Porucznik Władimir Sokołow, sir. Cieszę się, że mogłem pana poznać.

- Skoro tak, może się pan rozluźni i przestanie mówić do mnie „sir”.

- To nie byłoby zbyt rozsądne, sir - zaprotestował Sokołow.

- Niby z jakiego powodu?

- Jedyne powód może lada chwila pojawić się na mostku, sir.

W chwili gdy Sokołow kończył mówić, na mostek weszła kobieta Polonoi i Cole musiał przyznać, jak wiele razy wcześniej zresztą, że mechanika jej ciała zbliżona była do ideału.

Polonoi byli dwunożnymi humanoidami, mieli średnio po pięć stóp wzrostu. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety tej rasy charakteryzowali się krzepką, masywną budową. I zwykle nosili pomarańczowe ubiory szczelnie zakrywające całe ciało, od stóp do głów.

Ale tak wyglądali normalni Polonoi, tacy jak sierżant spotkany niedawno w przedziale bojowym. Wielu członków tej rasy służących w armii, a do tej właśnie kasty należała Podok, było genetycznie ulepszonymi wojownikami. Przyozdobieni pomarańczowo-purpurowymi pasami, przypominali z daleka tygrysy o dziwnej maści, mieli też muskulaturę o wiele bardziej rozwiniętą niż ich współbracia. I znacznie szybciej reagowali w obliczu jakiegokolwiek niebezpieczeństwa.

Jednak nie to czyniło z kasty wojowników najbardziej unikalne istoty we flocie, zauważył Cole, ale fakt, że wszystkie otwory służące do oddychania i jedzenia oraz narządy płciowe i miękkie, a przez to narażone na atak, części zostały genetycznie zmodyfikowane i przemieszczone na plecy. Ich jedynym celem było zwycięstwo albo śmierć. Kiedy wojownik Polonoi stawał do wroga plecami, odstawiał przed nim swoje najłabsze punkty. W twarzy pozostawiono mu tylko wielkie oczy, którymi doskonale widział w ciemnościach dzięki odbieraniu szerokiego pasma podczerwieni, organ mowy oraz wielkie, zawinięte do przodu uszy, które nie pozwalały zbyt dobrze słyszeć tego, co działo się z tyłu.

- Kto on jest? - zapytała Polonoi, ciężko kalecząc terrański.

- To nasz nowy drugi oficer, komandorze Podok. - Jego nazwisko?

- Komandor Wilson Cole - przedstawił się Cole. Podok spoglądała na niego przez chwilę obojętnym wzrokiem.

- Słyszałam o tobie, komandorze Cole.

- Mam nadzieję, że tylko dobre rzeczy.

- Właśnie degradowano cię i usuwano ze stanowiska dowodzenia, kiedy o tobie słyszałam.

- Takie to już koleje losu na wojnie - powiedział Cole z przyjaznym, jak mu się wydawało, uśmiechem. Podok nie raczyła odpowiedzieć. - Cóż, komandorze - podjął po chwili. - Cieszę się, że będziemy współpracować.

- Na pewno? - zapytała Polonoi.

Teraz Cole przyglądał się jej w milczeniu.

- Przeszedłeś tu po coś konkretnego, na mostek? - zapytała Podok po długiej minucie obustronnego milczenia.

- Zaznajamiam się z rozkładem pomieszczeń na pokładzie przed podjęciem pierwszej wachty. Niebieskiej wachty - wyjaśnił Cole.

- Napiszę raport przed zakończeniem białej wachty - poinformowała go Podok. - Usunę kody dostępu Forrice'a i umieszczę zamiast nich twoje, żebyś uzyskał dostęp tutaj bez problemów.

- Zauważyłem, że w ciągu ostatnich stu dni, jeśli nie lepiej, w tym sektorze nie wydarzyło się nic szczególnego - podjął Cole.

- Może umówimy się tak - ja nie będę się tu pałętał, a ty powiadomisz mnie, kiedy coś się zmieni w tej materii?

Podok posłała mu lodowate spojrzenie.

- Napiszę raport przed zakończeniem białej wachty - powtórzyła. - Dopiszę twoje kody dostępu, żebyś mógł wchodzić na mostek bez problemu.

- Będę ci bezgranicznie wdzięczny - głos Cole'a ociekał sarkazmem.

- Dobrze - odparła Polonoi. - Bo powinienes. Podeszła do najbliższego terminalu komputerowego i zaczęła pisać.

- Proszę za mną, sir - powiedział Sokołow. - Odprowadzę pana do najbliższej windy.

Cole skinął głową i ruszył w jego ślady.

- I co pan sądzi o naszej komandor Podok, sir? - zapytał porucznik, szczerząc zęby, gdy znaleźli się poza zasięgiem słuchu wojowniczkii Polonoi.

- Sądzę, że na tym świecie są znacznie gorsze rzeczy niż wojna - odparł Cole.

## Rozdział trzeci

Gdy tylko dotarła do niego informacja, że zdezynfekowana kabina nadaje się do zamieszkania, Cole szybko wszedł do środka. Na podłodze tuż obok łóżka leżał skromny worek, jedyny bagaż, jaki posiadał. Otworzył go. W środku miał pięć mundurów i jeden komplet cywilnych ubrań, niezbyt wiele, jak na dorobek ośmiu lat służby we flocie. Stał się w tym czasie szczęśliwym posiadaczem czterech par butów, w tym jednych ciężkich, zmiany skarpetek i bielizny na cały tydzień oraz kilku przyborów toaletowych. Po raz kolejny ze zdziwieniem skonstatował, że posiada więcej broni ręcznej niż mundurów. Gdy umieścił wszystkie rzeczy w szafie, uznał, że czas na krótką drzemkę. Poinstruował komputer, aby pobudka nastąpiła nie wcześniej niż dziesięć minut przed przewidywanym zakończeniem białej wachty. Zasnął, ledwie przyłożył głowę do poduszki, a gdy godzinę później został obudzony przez natarczywy sygnał komputera, czuł się jeszcze bardziej obolały i zmęczony niż po przylocie.

Dość szybko dotarł w pobliże mostka, ale uznał, że poczeka w korytarzu do punkt szesnastej. Gdy godzina wybiła, ruszył przed siebie, wymienił salut z Podok i odprowadził wzrokiem wojowniczkę Polonoi zmierzającą w kierunku szybu najbliższej windy.

- Mogę prosić o uwagę? - powiedział podniesionym głosem i poczekał, aż cała trójka wachtowych przebywających w tym momencie na mostku odwróci się w jego stronę. - Nazywam się Wilson Cole i objąłem dzisiaj stanowisko drugiego oficera. Od tej pory to ja będę dowodził wami podczas niebieskiej wachty. Nie jestem formalistą, możecie zwracać się do mnie po imieniu, na-

zwisku albo szarży, jak komu wygodnie... - przerwał na moment, a potem dodał jeszcze: - Skoro mamy współpracować, chciałbym poznać także i wasze nazwiska oraz pełnione tutaj funkcje.

Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, na mostek wmaszerowała Rachel Marcos. Molarianin siedzący na stanowisku oficera ogniowego wstał, zsalutował jej i wyszedł. Rachel natychmiast zajęła jego miejsce w boksie.

- Przepraszam, sir - powiedziała - ale...

- Dzisiaj nie musisz się usprawiedliwiać - przerwał jej Cole. - Ale jeśli spóźnisz się też jutro, lepiej, żebyś miała naprawdę dobre usprawiedliwienie. Znam już twoje nazwisko, ale możesz mi przybliżyć zakres swoich obowiązków.

- Wszystkich?

- Nie, tylko tych, które masz podczas służby na mostku.

- Pełnię funkcję oficera odpowiedzialnego za uzbrojenie, sir - odpowiedziała natychmiast.

- Na czym polegają twoje obowiązki? Uśmiechnęła się.

- W ciągu ostatnich czterech miesięcy wyłącznie na siedzeniu przed tym terminalem, sir.

- Rozumiem. - Cole odwrócił się do oficer pokładowej. - Nazwisko?

- Porucznik Christine Mboya, sir.

- Zakres obowiązków?

- Prawdę powiedziawszy, nigdy nie został dokładnie sprecyzowany, sir. Jestem do dyspozycji pana, pilota, oficera broni, a w przypadku wystąpienia niezdefiniowanych regulaminem zakłóceń w pracy mostka, moim zadaniem będzie przywrócenie na nim porządku.



- To chyba najlepsza definicja tej funkcji, jaką w życiu sły-  
szałem. - Cole przeniósł wzrok na przezroczystą półkę wystającą  
z grodzi. - Jak ty się nazywasz, pilocie?

- I tak nie zdoła pan wymówić mojego imienia - odparł  
Bdxeni.

- Pewnie masz rację, ale i tak chcę je usłyszeć.

- Wxakgini, sir.

- Prawie załapałem - powiedział Cole. - Ale chyba rozsąd-  
niej będzie nazywać cię pilotem. - Teraz odwrócił się do dwóch  
oficerów należących do ludzkiej rasy. - Zgodnie z wytycznymi, z  
którymi miałem okazję zapoznać się przed wejściem na pokład  
„Teddy'ego R.” głównym zadaniem tej jednostki jest strzeżenie  
pokoju siedemdziesięciu trzech zamieszkałych planet znajdują-  
cych się w należącym do Republiki sektorze Obrzeży. Czy któ-  
raś z was zrozumiała ich treść w inny sposób?

- Nie, sir - obie odpowiedziały jednocześnie.

- Dobrze, to chyba już wszystko. Przed nami długa i nudna  
wachtą, ale wierzę, że nie będziecie próżnować.

- Co pan ma na myśli? - kobiety spojrzały na niego po-  
dejrzliwie.

- Bez obaw - odparł. - Nie jestem zwolennikiem przydzie-  
lania ludziom bezproduktywnych zajęć, byle dowództwo wi-  
działo, że załoga pracuje. Poruczniku Mboya, czy wedle pani  
wiedzy nasza jednostka jest objęta ciszą radiową?

- Nie, sir.

- Zatem od tej pory, oprócz przeciwdziałania ewentualnym  
atakom na mostek, do pani obowiązków będzie należał kon-  
takt z dowództwem na Delurosie VIII i aktualizowanie danych  
na temat planet, które przystąpiły ostatnio do Federacji Teroni.

- Siedem tygodni temu kapitan odwołał podobny rozkaz,  
sir.

- Proszę zatem powrócić do jego wykonywania.

- Czy istnieją jakieś wyraźne przesłanki skłaniające nas do takiego działania, sir?

- Skoro mamy do czynienia z bardzo dużą płynnością stron konfliktu, wydaje mi się, że cotygodniowe uzupełnianie danych dotyczących tych zmian nie zaszkodzi nam w najmniejszym stopniu. Planeta pozostająca sprzymierzeńcem Republiki w zeszłym tygodniu, dzisiaj może być jej wrogiem i *vice versa*. Poruczniku Mboya, czy komputer przypomina pani automatycznie o konieczności uaktualniania danych na ten temat?

- Tak, sir.

- Rachel?

- Tak, sir?

- Zaprogramujesz wszystkie systemy uzbrojenia pokładowego tak, żeby oddawały co dwadzieścia do czterdziestu godzin pojedynczy strzał w stronę niezamieszkanym wektorów przestrzeni kosmicznej. Ustaw to tak, żeby za każdym razem strzelał tylko jeden system. Uda ci się, jeśli zróżnicujesz interwały pomiędzy oddawaniem salw przez poszczególne baterie. Jeśli w okolicy kręć się Teroni, damy im znać, że czuwamy i jesteśmy uzbrojeni. Może dwa razy pomyślą, zanim zaczną robić to, po co tu przylecieli. Jeśli nie mam racji, przynajmniej ściągniemy na siebie ich uwagę, dzięki czemu opóźnimy atak na jedną z pobliskich planet i damy jej mieszkańcom czas na uaktywnienie systemów obronnych, o ile jakieś tam mają...

- Rozumiem, sir - powiedziała Rachel. - Przygotowanie zmian zajmie około dwóch minut. Czy ma pan jeszcze jakieś sugestie?

- Mam, ale obawiam się, że słyszeliście je już z ust kapitana Fujiamy i komandora Podok - odparł Cole. - Idę na śniadanie. Wrócę za pół godziny.

- Mogę przynieść panu śniadanie na mostek, sir - zaproponowała Christine Mboya.

- Naprawdę? - zapytał Cole. - I nie będzie się pani obawiała po drodze, że w ciągu najbliższych pięciu minut okręt ulegnie poważnej awarii albo ktoś zaatakuje mostek?

- Nie uwierzy pan, jak bardzo bym tego chciała sir - odparła. - Tu jest tak nudno. Marzy mi się wejście do akcji.

- Uczestniczyłem w wielu bitwach, poruczniku - zgasił ją szybko. - Może mi pani wierzyć, nuda jest o niebo lepsza od walki.

- Może nam pan opowiedzieć o swoich doświadczeniach bojowych, sir? - poprosiła Christine. - Oczywiście po pańskim powrocie z mesy.

- Nie ma o czym opowiadać.

- Proszę nie żartować - zachęcała. - Jest pan bohaterem, wszyscy na pokładzie „Teddy'ego R.” o tym wiedzą.

- Jestem też oficerem, którego dwukrotnie pozbawiono stanowiska dowódcy okrętu. Czy o tym też wszyscy wiedzą?

- A ja mam pewność, że z największą radością wysłuchamy pańskiej wersji zdarzeń, sir.

- Może kiedyś wam o tym opowiem - zbył ją Cole i opuścił mostek, udając się do mesy.

Nie zdążył jeszcze dobrze usiąść, gdy do sali jadalnej wkroczył Forrice. Molarianin przechodził przypadkiem przez ten sektor i korzystając z okazji, przysiadł się do przyjaciela.

- I jak ci mija pierwszy dzień służby? - zapytał.

- Jeszcze się na dobre nie zaczął - odparł Cole.

- Jakie wrażenie zrobił na tobie „Teddy R.”?

- Ma braki siły żywej sięgające trzydziestu procent stanu osobowego, przestarzałe i zbyt słabe uzbrojenie, tarasy hydroponiczne, które potrzebują natychmiastowej interwencji kogoś,

kto zna się na uprawach i najbardziej zapuszczoną załogę w całej flocie.

- A co powiesz na temat przełożonych?

- O to zapytaj mnie po zakończeniu pierwszej bitwy.

- Mówisz o bitwie z udziałem tego okrętu? - zapytał Forrice. - Obawiam się, że z nadpalonymi szczątkami nie da się rozsądnie porozmawiać, a po pierwszym starciu z wrogiem na pewno wiele z ciebie nie zostanie.

- Zdziwiłbyś się, jak wiele może dokonać kompetentny dowódca, nawet mając do dyspozycji tylko taki okręt.

- Porozmawiamy na ten temat, kiedy pokażesz mi takiego kompetentnego dowódcę - skontrolował Molarianin. - Z tego, co pamiętam, oficer podejrzewany o kompetencję jest natychmiast degradowany albo zsyłany na zardzewiałe krypy.

- Ja ignorowałem rozkazy, a ty odmówiłeś wykonania jednego - rzucił Cole. - Nie znaleźliśmy się tutaj przypadkowo.

- Trafiliśmy na pokład tego okrętu, bo flota nie ma w zwyczaju przyznawać się do błędów. Ty ignorowałeś rozkazy, ale obie twoje misje zakończyły się znaczącymi zwycięstwami, takimi, które rzutowały na przebieg wojny. Ja odmówiłem zabicia trojga schwytych szpiegów, ponieważ wiedziałem, że są to głęboko zakonspirowani agenci pracujący na rzecz Republiki. Dowództwo floty o mało nie oszalało ze szczęścia, kiedy okazało się, że postąpiłem w taki właśnie sposób, ale nie zamierzało dawać złego przykładu innym oficerom, więc ukarano mnie za niewykonanie rozkazu.

- Przestań gadać o flocie - poprosił Cole pomiędzy kolejnymi kęsami sztucznych jajek i produktów sojowych. - Psujesz mi tylko apetyt.

- A o czym mam mówić? Kiedy opowiadam ci sprośne kawały, nic z nich nie rozumiesz.

- Nie możesz powpatrywać się we mnie w nabożnej ciszy albo znaleźć sobie czegoś lepszego do roboty?

- Przecież mam niezłe zajęcie, pomagam ci w aklimatyzacji do nowych warunków.

- Moja wdzięczność będzie cię ścigać do końca życia.

- Mam nadzieję. Wszyscy tutaj chcą ścisnąć twoją dłoń i pragną składania im autografów. Ja tylko z tobą rozmawiam.

- A co powiesz na taki układ - pogadam z nimi, a tobie dam autograf?

- Potrafię wyczuć, kiedy moja obecność nie jest pożądana - wycedził Forrice.

- Czy to znaczy, że wyniesiesz się zaraz i pozwolisz mi w ciszy i spokoju dokończyć posiłek? - zapytał Cole.

- Nie ma szans - oznajmił Molarianin. - Za bardzo by cię to uszczęśliwiło.

- Dobrze, ale ostrzegam, żadnych sprośnych kawałów o Molariankach, dopóki nie dopiję kawy. - W tym momencie ożył komunikator, oznajmiając, że ktoś z mostka pragnie się skontaktować z Cole'em. - To pewnie Podok z sugestią, że powinienem tkwić tam przez cały czas trwania wachty... - Aktywował mechanizm i tuż przed nim pojawiła się Christine Mboya. - O co chodzi? - zapytał zirytowany.

- Sądzę, że powinien pan wiedzieć, iż jeden z bortelickich statków właśnie szykuje się do lądowania na Roszponce.

- Roszponka... zaraz, czy to przypadkiem nie czwarta planeta systemu Bastoigne, który znajduje się około trzydziestu lat świetlnych od naszej aktualnej pozycji?

- Tak jest, sir.

- Nie musi mi pani meldować o każdym okręcie, który wykonuje manewr lądowania w obrębie przestrzeni Obrzeży.

- Ja tylko wykonuję pańskie rozkazy, sir. Kazał mi pan uaktualnić listę światów, które przystąpiły do Federacji Teroni. Bortel II formalnie uznał jej zwierzchnictwo jedenaście dni temu.

- Rozumiem - powiedział Cole. - Lećmy zatem na Roszponkę i zobaczymy, o co chodzi.

- Nie możemy, sir. Rozkazy mówią wyraźnie, że mamy pozostać w sektorze pomiędzy systemami McDevitt i Silverblue.

- Zaraz tam będę, poruczniku - powiedział Cole, przerywając połączenie. Wypił ostatni łyk kawy, otarł usta rękawem munduru i wstał.

- Chcesz, żebym poszedł tam z tobą? - zapytał Cztery Oczy. Cole pokręcił głową.

- Nie, to chyba nic wielkiego. Gdyby jednak okazało się, że zmiana trasy patrolu zaowocuje poważniejszymi skutkami, lepiej będzie, jeśli jeden z nas nie zostanie w to wmieszany.

Cole zaniósł tacę z naczyńiami do atomizera, wrzucił wszystko do otworu utylizacyjnego i udał się prosto do windy. Chwilę później stał już na mostku.

- Pilocie! - zawołał na cały głos.

- Tak, sir? - Wxakgini zgłosił się z głębi swojego przezroczystego więzienia.

- Zmieniamy trasę naszego patrolu orbitalnego i udajemy się na Roszponkę.

- Natychmiast, sir?

- Natychmiast.

Na twarzy Bdxeni pojawiło się coś, co stanowiło ekwiwalent wyrazu głębokiego niezadowolenia.

- Pana polecenie jest sprzeczne z rozkazami, które otrzymałem wcześniej, panie Cole.

- Możesz rozejrzeć się po tym pomieszczeniu i powiedzieć mi, który oficer na mostku jest w tym momencie najstarszy stopniem?

- Pan jest najstarszy stopniem, sir.

- Zatem sugeruję, żebyś wykonał mój rozkaz.

- Może powinniśmy najpierw obudzić kapitana, sir?

- Czy za każdym razem, pilocie, kiedy wydam ci rozkaz, który nie będzie ci się podobał, usłyszę sugestię, że powinniśmy zbudzić kapitana?

- Nie, sir.

- Więc teraz też tego nie zrobimy.

Nastąpiła krótka przerwa, po której nadeszła odpowiedź.

- Tak jest, sir.

Cole odwrócił się do Rachel Marcos.

- Szanse na to, że istnieje racjonalne wytłumaczenie obecności bortelickiego okrętu na planecie należącej do Republiki są mniej więcej jak jeden do stu... - przerwał. - Ale nawet przy milionie do jednego powinnaś natychmiast sprawdzić gotowość naszych systemów uzbrojenia i przygotować je do otwarcia ognia na mój rozkaz. Gdy znajdziemy się w zasięgu strzału, masz namierzyć okręt przeciwnika przynajmniej pięcioma bateriami i czekać na rozkaz pochodzący od oficera dowodzącego, czy to mnie czy mojego następcy, jeśli znajdziemy się tam po zakończeniu niebieskiej wachty.

- Pięcioma bateriami, sir?

- Wiem, że to wielokrotnie większa siła ognia niż trzeba - przyznał Cole - ale nawet tak doskonała broń jak nasza może spudłować, a Bortelici będą mieli aktywne wszystkie osłony.

- Nie o to mi chodziło, sir. Mam osiemnaście systemów uzbrojenia dalekiego zasięgu, dlaczego użyjemy tylko pięciu z nich?

- Dlatego, że znajdujemy się w stanie wojny, a okręty terrorystyczne nie mają w zwyczaju podróżować samotnie po terytoriach zajętych przez wroga. Dlatego nie chcę, żebyś musiała sama wybierać albo zlecała to komputerowi, które systemy mają ostrzeliwać statek Bortelitów, a które mają się zająć likwidacją pozostałych źródeł zagrożenia. Lepiej ustalić to teraz, zanim natkniemy się na sytuację kryzysową. - Rozumiem, sir.

- Czy ma pan dla mnie jakieś rozkazy? - zapytała Christine Mboya.

- Będzie pani na mostku do zakończenia niebieskiej wachty? - Cole odpowiedział jej pytaniem na pytanie.

- Tak jest, sir.

- Zatem proszę natychmiast rozpocząć skanowanie całego sektora Obrzeży celem wykrycia innych okrętów nienależących do sił Republiki. I jeszcze jedno, poruczniku...

- Tak, sir?

- W tym przypadku dokładność jest o wiele ważniejsza od szybkości. Wiemy już, że wrogi okręt znajduje się w naszej przestrzeni.

- Tak, sir.

- Jeszcze jedno. Czy jest w pobliżu jakaś toaleta? Nieważne, czy dla ludzi czy istot innej rasy.

Posłała mu pełne zdziwienia spojrzenie, ale wskazała bez słowa drzwi znajdujące się na końcu krótkiego korytarza. Podziękował jej i od razu ruszył w tamtą stronę. Wszedł do małej kabiny sanitarnej przeznaczonej dla ludzi, rozkazał drzwicom zamknąć się na wszystkie spusty, wyjął z kieszeni komunikator i wybrał połączenie z Sharon Blacksmith.

- Słyszałaś każde słowo tej rozmowy, jak sądzę? - powiedział, gdy pojawił się hologram oficera służb specjalnych.



- Nie wszystko. Ale mam nagrania obrazu i dźwięku, gdybyś chciał sprawdzić któryś fragment.

- Nie chcę niczego sprawdzać. Mamy do czynienia z obecnością jednostki, której nie powinno być w naszym sektorze. Znasz moją reputację. Jak tylko do komandor Podok albo kapitana Fujiamy dotrze informacja, że kazałem zmienić kurs na przejście tej jednostki, mogą pomyśleć, że jestem jakimś popieprzonym ogarem wojny i nakażą mi natychmiastowy powrót na trasę patrolu. A to oznacza, że nie dowiemy się, dlaczego bortelicki okręt wylądował na planecie należącej do Republiki, co w efekcie może się okazać znacznie bardziej groźne i niebezpieczne.

- Zgadzam się z twoim punktem widzenia - powiedziała Sharon. - Ale czego oczekujesz ode mnie w tej sytuacji?

- Na pewno nie działania - odparł Cole. - Ludzie, którzy nadstawiają za mnie karku, bardzo często zbyt późno orientują się, że spoczywa on już na okrwawionym pieńku. Proszę cię jedynie, żebyś dała mi znać, kiedy obudzi się Fujiamy albo w przypadku, gdyby Podok pojawiła się z jakiegoś powodu w pobliżu mostka.

- Co zamierzasz zrobić, jeśli dostaniesz ode mnie informację o czymś takim? - zapytała Sharon. - Przejmiesz kontrolę nad okrętem?

- Daruj sobie te żarty. Jestem oficerem Republiki, wykonuję rozkazy jej rządu.

- Teraz już nic z tego nie rozumiem.

- Jeśli prześlesz mi ostrzeżenie na czas, zdołam przejść z kilkoma ludźmi do wahadłowca zanim ktokolwiek zdąży mi tego zabronić. A kiedy znajdziemy się na jego pokładzie i rozpoczniemy podejście do wrogiej jednostki, jedynym rozsądnym

rozkazem będzie nakazanie załodze zachowania całkowitej ciszy radiowej.

- Twój plan brzmi nieźle, Wilson, ale jak u licha chcesz walczyć z w pełni uzbrojonym okrętem Bortelitów, mając do dyspozycji jeden wahadłowiec?

- Porozmawiam z nimi. Dowiem się, co tutaj robią, czy są sami i jakie mają zamiary. Będę blefował, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Czyżbym usłyszała magiczne słowo „jeśli”?

- Czyżbyś wołała, kiedy mówię „może”?

- Czy naprawdę musisz to robić już pierwszego dnia służby?

- Przecież to nie ja wydałem Bortelitom rozkaz lotu na Roszponkę i nie ja ich tam wypatrzyłem - powiedział Cole. A potem dodał ostrzejszym tonem: - Ale to ja kazałem uaktualnić zapisy dotyczące tego, kto jest naszym sprzymierzeńcem, a kto wrogiem. W innym wypadku nie mielibyśmy pojęcia, że mamy do czynienia z jednostką należącą do nieprzyjaciela. Fujijama powinien sprawdzać te dane co tydzień.

Sharon westchnęła.

- Rozumiem, Wilsonie. Dam ci znać, kiedy się obudzi.

Cole przerwał połączenie, potem opuścił toaletę i przeszedł na mostek.

- Pilocie, kiedy jednostka Bortelitów znajdzie się w polu rażenia naszej broni?

- Za pięć godzin i siedem minut, jeśli rozwiniemy pełną prędkość bojową, sir - odparł Bdxeni.

- Nie potrzebujesz pomocy przy przeprogramowywaniu systemów uzbrojenia? - to pytanie Cole skierował do Rachel.

- Jeszcze nie wiem, sir. Ale nie sądzę.

- Poruczniku Mboya?

- Tak, sir?

- Jeśli chorąży Marcos zażąda obecności któregoś ze specjalistów od uzbrojenia, pozwolisz mu wejść na mostek. Od tego momentu ogłaszam zamknięcie strefy dowodzenia dla personelu pokładowego poniżej rangi komandora, ludzie wezwani przez Rachel będą jedynymi wyjątkami od tej reguły. Zrozumiano?

- Tak jest, sir.

Wywołał sekcję ochrony przez komputer pokładowy.

- Cześć, Sharon. To znowu ja. Chciałbym zapytać o tych trzech sierżantów z przedziału bojowego. Czy to specjaliści od uzbrojenia przypisani tylko do białej wachty, czy jedyni, jakich mamy do dyspozycji?

- Po ostatnich rotacjach to trzech z czterech specjalistów w tej dziedzinie, jacy stacjonują na naszym pokładzie - odpowiedziała natychmiast Blacksmith.

- A czwarty pracuje na czerwonej czy niebieskiej wachcie?

- Niech sprawdzę... Na czerwonej.

- Czyli teraz nie ma tam nikogo?

- Zgadza się.

- Potraktujmy tę czwórkę jako zespół. Jeśli chociaż dwóch z nich jeszcze nie śpi, każ im stawić się w przedziale na dodatkowy dyżur. Jeśli śpią wszyscy albo trzech z nich, chcę, żeby przynajmniej dwóch znalazło się na nogach. Dwójka ma pojawić się na służbie za godzinę, dwaj pozostali obejmą czerwoną wachtę. Ci, którzy będą na niebieskiej, przejmą później białą. Mamy na pokładzie oficera kadrowego?

- Nie w tej chwili.

- Zatem wyznaczam cię chwilowo do pełnienia jego obowiązków - oznajmił Cole. - Znajdź mi dodatkową parę zało-

gantów posiadających odpowiednie kwalifikacje i przydziel ich do służby w przedziale bojowym.

- Skąd mam ich wytrzasnąć?

- Z każdej sekcji, która nie będzie się liczyła w sytuacji, gdyby załoga bortelickiego okrętu, który wszedł na Obrzeża miała, jak to mówią, złe intencje.

- Masz świadomość, że zarówno Góra Fuji, jak i Podok anulują twoje wszystkie rozkazy w momencie, w którym dowiedzą się o ich wydaniu?

- Dlatego musimy przekonać się, jakie intencje mają nasi borteliccy przyjaciele, zanim niebieska wachta dobiegnie końca - powiedział Cole. - Istnieje nikłe prawdopodobieństwo, że wyruszyli w tę podróż, zanim Bortel II ogłosił przystąpienie do Federacji Teroni. Możliwe też, że mamy do czynienia z nieuzbrojonym frachtowcem. Ale równie prawdopodobne jest to, że okręt ten pojawił się tutaj, by sprawić nam problemy. A to oznacza, że powinniśmy sprowokować go do otwarcia ognia, zanim ktoś zmieni moje rozkazy.

- Nadal mi się podobaś, Wilsonie - oznajmiła Sharon. - Ale nie postawiłabym moich klejnotów rodowych na to, że zachowasz do jutra swoje stanowisko.

- Może tym razem będę miał tyle szczęścia, że wykopią mnie od razu do cywila? - powiedział Cole z chytrym uśmiechem. - Ale póki co nie zapominajmy, że trwa wojna, a nasi przyjaciele z Bortela II przyłączyli się właśnie do przeciwnej strony konfliktu.

Przerwał połączenie i stanął pod półką, na której spoczywał Bdxeni.

- Pilocie - zagadnął - jak szybko nasz okręt zdoła zareagować na wydany przez ciebie rozkaz wykonania uniku w sy-

tuacji, gdyby bortelicka jednostka zaczęła zachowywać się wobec nas wrogo?

- Z prędkością myśli, sir - odparł Bdxeni. - Jesteś pewien? - Cole wolał sprawdzić dwa razy. - Jeśli istnieje jakieś opóźnienie, mogę skontaktować się z nimi z bezpiecznego dystansu albo blefować, aby kupić ci dodatkowy czas.

- Nie będzie żadnego opóźnienia - zapewnił go ponownie Wxakgini. - Nowsze okręty reagują z większą szybkością, ale czas reakcji nie ma nic wspólnego z procesem transmisji i odbioru rozkazów.

- Dziękuję - powiedział Cole. - Jeśli wydam ci rozkaz wykonania uniku, masz go wykonać natychmiast, ale pod żadnym pozorem, nawet gdybyśmy znaleźli się pod ciężkim ostrzałem, masz nie wyprzedzać moich zamierzeń. Czy to jasne?

- Podlegam przede wszystkim temu okrętowi, dopiero w następnej kolejności oficerom - oznajmił Wxakgini.

- Ten okręt posiada tarcze i pół tuzina różnych systemów obronnych - przypomniał mu Cole. - Na pewno nie są tak sprawne i wydajne, jak te montowane na najnowszych jednostkach, ale nie spodziewamy się walki z całą flotą. Wytrzymamy skoncentrowany ostrzał ze strony jednostki tej klasy nawet przez dziewięćdziesiąt sekund, jeśli nie dłużej.

- To prawda. Powstrzymam się z reakcją do momentu, w którym poczuję, że moje systemy obronne słabną.

- Twoje systemy obronne?

- Bardzo trudno oddzielić moje odczucia od sygnałów płynących z okrętu, gdy jestem podpięty do komputera pokładowego - wyjaśnił Bdxeni. - Wybacz pan, jeśli moja odpowiedź okazała się nie do końca zrozumiała.

Mknęli przez skraj Obrzeży przez kilka następnych godzin, przygotowując się spokojnie na to, co mogło ich czekać u kresu

podróży. Cole sprawdzał co godzinę, czy Fujijama i Podok wciąż śpią, poza tym kilkakrotnie wyruszał na inspekcję do przedziału bojowego, aby osobiście sprawdzić, czy wszystkie systemy broni są w pełni sprawne, po drodze wpadając do mesy na kolejną kawę. Całą resztę czasu spędził na obserwacji symulacji komputerowych prezentujących wszelkie rodzaje cywilnych, handlowych i wojennych okrętów z Bortelu II.

W końcu pilot zameldował, że wroga jednostka znalazła się w polu rażenia broni pokładowej.

Cole podszedł do stanowiska Rachel.

- Przygotuj się, tak na wszelki wypadek - poprosił, a potem odezwał się głośniej do Bdxeni: - Czy Bortelici są nadal na powierzchni planety?

- Tak.

- Możesz mi pokazać rzut ich statku?

- Z tej odległości? Nie, sir, nie mogę.

- A kiedy będziesz mógł?

- Za kolejne sześć do siedmiu minut, sir.

- Czy na miejscu będzie wystarczająco jasno?

- Roszponka wykonuje pełen obrót w dwadzieścia dwie godziny, sir. Poszukiwany okręt znajdzie się na dziennej stronie dopiero za sześć godzin.

- Przekaż jego obraz na wszystkie ekrany mostka, jak tylko będzie to możliwe.

- Tak jest, sir.

Pięć minut później komunikator Cole'a powiadomił, że nadeszła wiadomość tekstowa.

- Tekstowa? - powtórzył zdziwiony komandor.

- Zgadza się - odparł komputer.

- Wyświetl ją.

Rzędy niewielkich liter zaczęły się pojawiać w powietrzu i zniknęły ledwie Cole zdążył je przeczytać:

*Domyślam się, że nie chcesz dzielić się tą wiadomością ze wszystkimi, dopóki nie ma takiej potrzeby, więc informuję cię tą drogą, że Fujiana właśnie się obudził. Jest teraz w łazience, bierze prysznic, jakieś pięć minut zabierze mu wytarcie się i powrót do kabiny. Dodaj do tego ze dwie minuty na ubranie się, potem siądziesz do komputera, żeby rozpocząć poranną odprawę. Muszę mu od razu powiedzieć, że znajdujemy się o dwadzieścia osiem lat świetlnych od miejsca, w którym powinniśmy być o tej porze i zbliżamy się do potencjalnego nieprzyjaciela. On czerpie informacje z tyłu źródła, że nawet w przypadku mojego kłamstwa, dowiedziałby się prawdy w kolejne pół minuty. Jeśli więc nadal masz ochotę na rozpoczęcie akcji, zostało ci sześć, najwyżej siedem minut.*

*Sharon*

Cole wyłączył kieszonkowy komunikator i odwrócił się do pilota.

- Co tam słyhać z moim przekazem? - zapytał.

- Właśnie go odbieram, sir - odparł Bdxeni.

Na ekranach pojawił się obraz lśniącego, złotego statku.

- To nie jest jednostka handlowa - stwierdził Cole. - Raczej jeden z ich najnowszych okrętów wojennych, z trzystoma ludźmi na pokładzie i uzbrojeniem, przy którym nasze wyrzutnie mają siłę rażenia procy. - Sprawdził czas na jednym z chronometrów. Do momentu, w którym Fujiana zorientuje się, gdzie i po co polecili: pozostawało przynajmniej pięć minut. I może ze trzydzieści dodatkowych sekund, których kapitan będzie potrzebował na odzyskanie dowodzenia. Fujiamie wystarczy jedno

spojrzenie na wrogą jednostkę, żeby uznać, iż „Teddy R.” nie będzie dla niej godnym przeciwnikiem. Wycofa się z pewnością na rutynową trasę patrolu i prześle raport ze spotkania do dowództwa sektora z prośbą o wsparcie, które nigdy nie przybędzie, gdyż rozproszone siły Republiki nie miały w tym rejonie zbyt wielu wolnych jednostek. Istniał tylko jeden sposób, aby przekonać się o intencjach bortelickiego okrętu i jego załogi bez narażania „Teddy'ego R.” na niebezpieczeństwo. Ale to wymagało od Cole'a podjęcia natychmiastowych decyzji.

- Pilocie, zwolnij najdelikatniej jak potrafisz i przejdź na stałą orbitę. Chorąży Marcos pozostanie na swoim stanowisku do odwołania. Porucznik Mboya idzie ze mną.

Ruszył szybkim krokiem do najbliższej windy. Zanim do niej dotarł, skontaktował się z Forrice'em.

- Co się dzieje? - zapytał Molarianin.

- Czy w wahadłowcach mamy skafandry ochronne i broń?

- Tak.

- Spotkamy się w doku - powiedział Cole. - Masz dwieście sekund, żeby dotrzeć na miejsce.

Cole i Mboya zjechali na pokład cumowniczy i pobiegli w kierunku najbliższej śluzy powietrznej. Forrice wynurzył się z następnego szybu windy dosłownie kilka sekund po nich.

- Co się dzieje? - Molarianin tym razem zadał to pytanie bardziej stanowczym tonem.

- Później ci wyjaśnię - odparł Cole, wskazując do otwartego włazu wahadłowca. - Zwolnij bolce trzy mające prom w doku i zabierz nas stąd jak najszybciej. - Odwrócił się do Mboyi. - Poruczniku, wyłącz radio. Wyciągnij procesor albo pamięć, możesz nawet powyrywać przewody, ale zrób coś, co da się naprawić bez problemu, radio ma pozostać martwe, dopóki nie dostaniemy się na Roszponkę.



Mboya od razu zabrała się do roboty, a kilka sekund później mały prom odcumował od kadłuba „Teddy'ego R.”.

- Kierunek Roszponka - ten rozkaz Cole skierował już do Molarianina.

- Chcesz, żebym posadził „Kermita” w jakimś konkretnym miejscu?

- Co to jest, do jasnej cholery, „Kermit”?

- Siedzimy w nim - wtrąciła Christine, pokazując triumfalnym gestem wielki bezpiecznik z radia podprzestrzennego. - Wahadłowce otrzymały nazwy pochodzące od imion czworga dzieci Teodora Roosevelta: Kermita, Archiego, Quentina i Alice.

- No pięknie - mruknął zdezorientowany Cole. - Zlokalizuj bortelicki okręt i poproś o pozwolenie na lądowanie w tym samym miejscu. Znajdujemy się na terytorium Republiki i jesteśmy uzbrojonym okrętem wojennym, nie powinni robić żadnych problemów.

- Nie możemy poprosić o cokolwiek - wtrąciła znowu Christine, pokazując po raz drugi bezpiecznik. - Już pan zapomniał?

- Szlag! - zaklął Cole. - Nie wylądujemy bez odebrania dokładnych koordynat. Dobrze, poruczniku, włoży pani ten bezpiecznik na miejsce, jak tylko przekroczymy granice systemu Bastoigne.

- I co dalej? - zapytał Forrice.

- A potem będziemy się modlić, żeby działa „Teddy'ego R.” nie rozpieprzyły nas na milion kawałków, zanim zdążymy wylądować, a Bortelici nie załatwili nas, zanim zdążymy opuścić tę planetę.

## Rozdział czwarty

Musimy przerwać ciszę radiową, sir - odezwała się Christine z miejsca przy konsoli komunikacyjnej. - Kosmodrom prosi nas o identyfikację.

- Nie odpowiadaj jeszcze - poprosił Cole. - Ale, sir...

- Cieszy mnie, że na kosmodromach Roszponki tak bardzo dbają o procedury, ale musimy zrobić wszystko, żeby przybyć tam, zanim załoga bortelickiego okrętu zdąży się na to przygotować. Nie widzę większego sensu we wczesnym ostrzeganiu ich o przybyciu wahadłowca Republiki. - Opuścił głowę, na moment zatapiając się w myślach, a potem znów ją podniósł. - Cztery Oczy, jak się mówi „Kermit” po molariańsku?

- Nijak.

- Ale jak by się mówiło, gdybyście znali takie słowo?

Forrice zastanawiał się przez chwilę, a potem wydał z siebie dźwięk w równym stopniu przypominający kasznięcie, jak i chrząknięcie.

- To powinno zadziałać. Poruczniku, proszę zamontować bezpiecznik i włączyć radio. Przełączy pani nadawanie na kolegę Cztery Oczy, który wyjaśni obsłudze kosmoportu, że znajdujemy się na pokładzie „Kermita”, ale wyłącznie w swoim języku.

- A jeśli tam nie ma nikogo, kto zna molariański? - Zachnął się Forrice, posłusznie wkładając mikronadajnik do lewego ucha.

- Na to właśnie liczę - odparł szybko Cole. -”Teddy R.” z pewnością monitoruje wszystkie transmisje, a skoro na jego pokładzie znajduje się jeszcze trzech przedstawicieli twojej rasy, Fujiama nie będzie miał problemu z odszyfrowaniem przekazu.

- A jeśli mimo wszystko otworzą do nas ogień? - zapytała Christine.

- Jeżeli miejscowi nie utracili jeszcze władzy, będą strzelać wyłącznie do wrogich jednostek. A ta planeta wciąż należy do Republiki, podobnie jak nasz wahadłowiec.

- A jeśli miejscowi już nie rządzą? - nalegała. - Co będzie, gdy się okaże, że Bortelici zdążyli ich już pokonać?

- Po to chyba tutaj przylecieliśmy, prawda? - odparł Cole. - Żeby dowiedzieć się, o co chodzi. Jednym ze sposobów na ustalenie prawdy może być ściągnięcie na siebie ognia.

- Może panu jest wszystko jedno, ale ja mam szczerą nadzieję, że jednak nie spróbują - powiedziała Christine.

- Też na to liczę. Może to pani wydać się dziwne, poruczniku, kto wie, może nawet zrazi się pani do mnie, ale przyznaję, że jestem ostatnim, który pociągnąłby za spust w takiej sytuacji.

Forrice przestał szemrać do mikrofonu i odwrócił się do nich.

- Rozszyfrowanie tego, co powiedziałem powinno im zająć kilka godzin, ale póki co nikt nie strzela.

- Ale wyjaśniłeś naszą sytuację załodze „Teddy'ego R.”?

- Tak. Nie mam jednak bladego pojęcia, czy ktoś to odebrał.

- Spokojna twoja kanciasta głowa - powiedział Cole. - Na pewno już tłumaczą przekaz.

- Skąd ta pewność? - zapytał Forrice.

- Ponieważ nasze radio znowu działa, a nie usłyszeliśmy nawet jednego przekleństwa poprzedzającego rozkaz wypierzenia stąd w cholerę, który z pewnością dotarłby do nas, gdyby nie odebrali twojej wiadomości.

- Jak dla mnie, to ma sens - przyznał Cztery Oczy.

- Nie, nie ma - zaprotestowała Christine. - Chce pan przez to powiedzieć, sir, że kapitan Fujijama zezwala nam w ten sposób na lądowanie na Roszponce?

- Nic takiego nie powiedziałem - zaprotestował Cole. - Ale nie może pozwolić na rozwalenie tego wahadłowca na milion kawałków, co niewątpliwie groziłoby nam, gdyby podczas kontaktu wyjawiał prawdziwą tożsamość jednostki.

- Znam Wilsona Cole'a o wiele lepiej niż ty, Christine - wtrącił Forrice. - Z dwojga złego wolę, żeby to on dowodził nami w sytuacji zagrożenia życia niż Góra Fuji.

- Zatem tak to pan rozgrywał wcześniej? - powiedziała Mboya.

- Nigdy wcześniej nie lądowałem na Roszponce - odparł wymijająco Cole.

- Wie pan doskonale, o co mi chodzi.

- Nie mam bladego pojęcia, o co wam chodzi, poruczniku - powiedział Cole.

- Przepraszam, że przeszkadzam w tak mile rozpoczętej kłótni - wtrącił znowu Forrice - ale obsługa kosmodromu zażądała dalszych wyjaśnień.

- No to im ich udziel, ale wyłącznie po molariańsku.

Forrice wystękał dwa zdania w swoim języku, poczekał na odpowiedź i odwrócił się do Cole'a.

- Nie pozwolą nam wylądować, dopóki nie przemówimy po ludzku albo ktoś im tego nie przetłumaczy.

- Co za pech - mruknął Cole. - Coś mi się widzi, że będziemy musieli lądować gdzie indziej.

- Na Roszponce?

- A widzisz w pobliżu jeszcze jakąś planetę z atmosferą nadającą się do oddychania?

- Od samego początku nie miał pan zamiaru lądować na płycie kosmoportu? - zapytała Christine.

- Gdyby mieli pod ręką jakiegoś Molarianina, musiałbym to zrobić tak czy inaczej, prawda? - powiedział Cole. - Cztery Oczy, które miasto po ciemnej stronie jest największe?

Forrice sprawdził dane na wyświetlaczu komputera, podniósł głowę:

- Jedno ma ponad dwieście tysięcy mieszkańców... - przerwał na moment. - Nosi nazwę Pinokio. Kojarzy ci się to z czymś?

- Tak, ale wyłącznie z tym, że ludzie, którzy tworzyli mapę tego systemu naczytali się w dzieciństwie za dużo bajek.

- Czy mogę zapytać, dlaczego nie wylądujemy w tym kosmoporcie, sir? - zapytała Christine.

- Bo adaptujemy się płynnie do aktualnych warunków, poruczniku - wyjaśnił spokojnie Cole. - Może Bortelici pozostawili swój okręt na polu startowym, ale z pewnością nie opuścili go całkowicie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie pozostawi bez odpowiedniej opieki tak cennego i potężnego narzędzia do zabijania. A będące na powierzchni na pewno czują się bardziej zagrożeni, i dlatego wszystkie skanery i czujniki tego okrętu pracują na okrągło. Wniosek nasuwa się sam: oni już wiedzą, że się zbliżamy.

- Rozumiem, wiedzą już, że się zbliżamy - powtórzyła za nim, zastanawiając się, do czego zmierza.

- Są naszymi wrogami - ciągnął dalej komandor - ale wylądowali na planecie należącej do Republiki.

Christine zmarszczyła brwi, nadal nie rozumiejąc, o co mu chodzi. - I co z tego?

- To, że nadal do nas nie strzelają. Nic to pani nie mówi, poruczniku?

- Może nie chcą wdawać się z nami w otwarty konflikt? - zapytała mocno niepewnym głosem.

- Pozostajemy w otwartym konflikcie z ich Federacją od jedenastu lat.

- W takim razie nie rozumiem, do czego pan zmierza, sir.

- Skoro nie zaczęli jeszcze do nas strzelać, widocznie nie przejmują się za bardzo tym, czy wylądujemy obok nich na płycie kosmoportu. I dlatego uznałem, że lepiej tego nie robić. Pozostańmy przez moment na orbicie i spróbujmy z góry wypatrzyć to, czego tak bardzo nie chcą nam pokazać.

- Dlaczego pan sądzi, że oni coś ukrywają, sir?

- Wylądowali na naszym terytorium bez walki. Jak widać, ich okręt jest w stanie nienaruszonym. Słyszała pani o przypadku jednostki, która odwiedziła wrogą planetę, żeby zatankować albo dokonać drobnych napraw? Takie rzeczy robi się wyłącznie, jeśli ma się określone cele, na przykład militarne. Do tej pory zdążyliśmy wywnioskować, że militarny cel tej wyprawy nie znajduje się w obrębie kosmoportu, zatem poszukajmy go gdzie indziej.

- I sądzisz, że znajdziemy to coś w Pinokio? - zapytał Forricce.

- Szczerze mówiąc, wątpię - odparł Cole. - To planeta należąca do Republiki. Wydaje mi się, że ktoś w tym mieście może nas jednak naprowadzić na właściwe tory. Można przekupić albo zastraszyć bardzo wielu ludzi, ale na pewno nie wszystkich, zwłaszcza gdy jest ich ponad dwieście tysięcy.

- Ale czego my właściwie będziemy szukali, sir? - zapytała Christine.

- Zabijcie mnie, ale nie wiem, poruczniku - przyznał Cole. - Zamierzam się jednak tego dowiedzieć, bez względu na to, z czym mamy do czynienia. Wiemy już, że coś się tu dzieje albo znajduje, a to znaczy, że mamy za sobą połowę rozwiązania naszej zagadki. Wiemy też, że bortelicki okręt wylądował na

powierzchni Roszponki i praktycznie rzecz biorąc, zaprasza nas do przyziemienia w tym samym kosmoporcie.

- Wylądowali dosłownie kilka godzin wcześniej - wtrącił Forrice. - Może nie zdążyli jeszcze wykonać zadania?

- Nie po raz pierwszy przylecieli w te okolice - powiedział Cole z niezwykłą pewnością w głosie. - A może ujmę to inaczej, to nie pierwszy okręt należący do Federacji Teroni, który wylądował na tej planecie.

- Wyciągasz zbyt daleko idące wnioski - zganił go Forrice.

- Mylisz się, to jedyny racjonalny wniosek, jaki można w tej sytuacji wyciągnąć - Cole nie dał się zbić z tropu. - Nie strzelali do nas z bardzo określonego powodu. Gdyby nie zdążyli wykonać swojego zadania, gdyby ich ludzie i sprzęt znajdowali się wciąż na płycie lądowiska, miotałoby nami w tej chwili jak szmatami, ponieważ „Kermit” musiałby dokonywać cudów, aby uniknąć skomasowanego ognia laserowego i pulsacyjnego.

- Tak, przynajmniej możemy teraz lecieć gdzie chcemy. Bortelici na pewno nie wyślą nam komunikatu o treści: „nie zaglądale tam i tam”, a „Teddy R.” też się nie odezwie. - Forrice obdarzył ich molariańskim odpowiednikiem uśmiechu. - Można by nawet pomyśleć, że ktoś to sobie sprytnie zaplanował.

- Przepraszam, przyjacielu, ale czy twoje myśli nie powinny przypadkiem krążyć teraz wokół przyrządów nawigacyjnych? - zgasił go Cole.

- A co ja powinnam teraz robić, sir? - zapytała natychmiast Christine.

- Roszponka nie jest warta podboju. Teroni nie zdołaliby jej obronić, nie tutaj, na Obrzeżach, gdy wokół znajdują się same systemy kontrolowane przez Republikę. Jak widać, nie zamierzają jej też niszczyć. Czy mówi wam to coś?

- Chyba tylko jedno - że na Roszponce znajduje się coś, czego potrzebują. Coś, co można zdobyć, wysyłając tylko jeden okręt i jego załogę.

- Bardzo dobrze, poruczniku - pochwalił ją Cole. - A co to może być, pani zdaniem?

- Może chodzi o człowieka? Polityka wysokiego szczebla albo znanego naukowca.

Cole pokręcił głową.

- Gdyby chodziło o kogoś takiego, zabiliby go albo schwytali i od razu odlecieli.

- Wylądowali zaledwie kilka godzin przed naszym przybyciem - przypomniał Forrice.

- Gdyby przylecieli tutaj po człowieka, wiedzieliby, gdzie on przebywa jeszcze przed dotarciem na powierzchnię - powiedział Cole. - Posiadają wahadłowce o wiele szybsze od naszego złomu. Uwierzcie mi, już by go znaleźli.

- Zatem chodzi im o... czy ja wiem, o coś, co można znaleźć tylko na tej planecie - zastanawiała się na głos Christine.

- Proszę bardziej wysilić mózgowicę, pani porucznik. Może skorzysta pani z komputera i sprawdzi, czy na tej planecie znajduje się coś, co może mieć wielkie znaczenie dla maszyny wojennej wroga. To może być wszystko, od diamentów począwszy, po materiały rozszczepialne albo elementy stosowane w tujszym uzbrojeniu. Jeśli znajdzie pani kilka takich rzeczy, które warte są podjęcia ryzyka wyprawy na terytorium wroga, proszę porównać wyniki z zasobami, jakimi dysponują Bortelici. Dla przykładu, totalnym bezsensiem byłoby przylatywanie na Roszponkę po pluton, skoro mają go w wystarczającej ilości w swoim albo sąsiednich systemach. I tak, drogą eliminacji, dojdziemy w końcu, po co przybyli.

- I co wtedy, sir?



- Wtedy zdecydujemy, co z tą wiedzą zrobić - odparł Cole.  
- Nie widzę sensu w układaniu planów, skoro nie wiemy nawet, z czym mamy do czynienia.

- Na pewno mamy do czynienia ze złymi facetami - wtrącił Forrice. - Co jeszcze musisz wiedzieć?

- Czy wzięli zakładników? Czy „Teddy R.” zdąży dolecieć tutaj, zanim zdobędą to, po co przylecieli? Czy mieszkańcy planety sprzyjają im, czy są wrogo nastawieni? Jaką siłą ognia dysponują poza okrętem...? - Cole przerwał. - Mogę dodać jeszcze z tuzin kolejnych kwestii. Mam wyliczać dalej?

- Powiedzmy, że tym razem ci odpuszczę - oświadczył Forrice i pokazał im kolejny z kolekcji obcych uśmiechów.

- Dzięki ci, Panie, i za to skromne zwycięstwo - mruknął Cole. - Ale przejdźmy do konkretów, powiedz mi, ile czasu potrzebujemy, aby dotrzeć do Pinokio.

- Zeszliśmy już poniżej świetlnej, ale nadal znajdujemy się ponad stratosferą. Dolecimy do niej gdzieś za... trzydzieści sekund.

- Gdy zejdziesz do prędkości planetarnej, zacznij schodzenie w atmosferę.

- Powiedziałeś atmosfera, nie stratosfera?

- Tak powiedziałem - potwierdził Cole. - Jest już noc, z powierzchni zobaczą tylko żar bijący od naszych ekranów termicznych. Zawieśnij nad miastem, dopóki osłony nie ściemnieją, a potem zmiataj jak najdalej od tego miejsca, kierunek możesz wybrać sam.

- Zakładam, że istnieje racjonalne wytłumaczenie takiego zachowania? - zapytał Forrice.

- Na bortelickim okręcie już wiedzą o naszej obecności, więc z pewnością poinformowali o tym tę część załogi, która opuściła pokład - wyjaśnił komandor. - Ale nie mają możliwo-

ści śledzenia nas tak blisko planety, więc wiedzą jedynie, że przelecieliśmy na ciemną stronę. Któryś z mieszkańców na pewno podzieli się informacją, że widział nas nad Pinokio. Bortelici monitorują sieć komunikacyjną, więc wiadomość ta dotrze i do nich, a potem zostanie przekazana członkom załogi pracującym poza okrętem. Informacja o tym, że interesuje nas właśnie Pinokio sprawi, że przestaną się pilnować tam, gdzie teraz przebywają.

- Naprawdę na to liczysz? - zapytał Forrice, gdy „Kermit” przebił się przez stratosferę, schodząc na niższy pułap.

- Tak - przyznał Cole.

Na ekranach mogli już zobaczyć światła miasta. Nie wyglądały zbyt imponująco, ale populacja dwustu tysięcy mieszkańców czyniła z tej miejscowości prawdziwą metropolię, w skali kolonii oczywiście, zwłaszcza tych rozsiansych po Obrzeżach Galaktyki.

- Temperatura osłon wróciła do normy - oznajmił po chwili Forrice. - Gdzie mam lecieć?

- Zdecyduj sam - powiedział Cole. - Dopóki porucznik Mboya nie znajdzie punktu zaczepienia, kierunek jest obojętny.

- Nadal nad tym pracuję - poinformowała ich Christine. - Jak na razie, nie znalazłam niczego, po co warto by było tutaj lecieć. Nie mają materiałów rozszczepialnych, żadnych kopalni ani lantanowców. Do cholery, na tej planecie nie ma nawet zbyt wiele rud, żelaza.

- Przecież nie przylecieliby tutaj tak cennym okrętem wojennym tylko po to, by wypchać ładownie rudą żelaza i przewieźć ją do lokalnych hut na Bortelu. Proszę szukać dalej.

- W którą stronę teraz lecimy? - zapytała, nie odrywając oczu od wyświetlaczy komputera.

- Na południowy zachód - odparł Forrice. - Podać ci pozycję w stopniach, minutach i sekundach?

- Południowy zachód? - powtórzyła. - Nie, wystarczy mi tylko pułap lotu.

- Mniej więcej piętnaście tysięcy stóp.

- Lecisz za nisko - stwierdziła. - Wejdź powyżej trzydziestu tysięcy.

- Coś jest przed nami? - zapytał Forrice, ale natychmiast skorygował tor lotu.

- Pasma gór.

- Mają coś oprócz nich na południowym zachodzie? - zapytał Cole.

- W komputerze nie ma nic na ten temat - odparła. - Ta część planety wygląda mi na zupełnie niezamieszkaną.

- I całkiem słusznie - wtrącił Forrice. - W tak wysokich górach nic przecież nie urośnie.

- Właśnie nad nimi przelatujemy - poinformowała Christine. - Ale nie odbieram żadnych istotnych odczytów. Ani śladu rzadkich pierwiastków albo materiałów rozszczepialnych, po prostu nic. Jak wszędzie. To całkiem młode góry, pełno aktywnych wulkanów, kilka z nich lada dzień może wybuchnąć. Nie chciałabym trafić do kopalni w takim miejscu.

Lecieli w tym samym kierunku jeszcze przez pół godziny. W końcu Cztery Oczy zdecydował się coś powiedzieć.

- Nadal na nic nie natrafiliśmy. Chcesz, żebym zmienił kurs?

Cole nie odpowiedział.

- Hej, bohaterze - Molarianin podniósł nieco głos. - Może byś się obudził? - Nie śpię.

- Chcesz, żebym zmienił kurs? Brak odpowiedzi.

- Nic ci nie jest? - zapytał Forrice.

- Zamknij się chociaż na chwilę. Ja tu myślę.

Cztery Oczy natychmiast zamilkł i zajął się dokładniejszą obserwacją przyrządów nawigacyjnych. Christine także nie odrywała oczu od swoich komputerów, poszukując jakiegokolwiek elementu, który mógł sprowadzić Bortelitów na tę planetę.

Cole siedział nieruchomo jak posąg, wspierał brodę na pięści, wpatrując się w sobie tylko znane miejsce w przestrzeni. Tkwił tak w bezruchu przez całe dwie minuty, a potem nagle podniósł głowę.

- Poruczniku, potrzebuję pewnych informacji - powiedział.

- Na razie nie znalazłam niczego użytecznego, sir.

- Nie chodzi mi o Roszponkę, tylko Bortel II. - Sir?

- Sprawdź, jakiej energii tam używają. Nie chodzi mi o źródła, z których korzysta wojsko, tylko cała ta cholerna planeta.

Zadała pytanie komputerom, poczekała kilka sekund na odpowiedź i odwróciła się ponownie w stronę komandora.

- Na Bortelu II nie ma żadnych materiałów rozszczepialnych, sir.

- No coś takiego...

- Ale ich okręty na pewno wykorzystują paliwo atomowe - ciągnęła dalej Christine. - Nie napędzają ich przecież węglem i drewnem.

- Wiem - przerwał jej Cole. - A co z ich zapasami surowców energetycznych; z gazem, ropą, węglem i całą resztą?

Christine ponownie przeniosła wzrok na wyświetlacze.

- Wyczerpali je już w dziewięćdziesięciu procentach, sir.

- Niech zgadnę, gospodarka tej planety jest w zapaści, która trwa już od kilku lat, jeśli nie dłużej.

Sprawdziła, potem spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Ma pan rację, sir. Od czterech lat mają tam potworną recesję.

- Cztery Oczy, zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, wracamy tam, skąd przylecieliśmy - rozkazał Cole.

- Rozgryzł ich pan?! - zawołała Christine. - Wie pan już, dlaczego tutaj przylecieli i gdzie teraz są?

Cole kiwał znacząco głową, potwierdzając.

- Tak mi się wydaje.

- Słuchamy - zachęcił go Molarianin.

- Miałem sporo wskazówek - wyjaśnił komandor. - Każda z nich z osobna niewiele albo i nic nie znaczyła. Ale po złożeniu do kupy dały całkiem wyraźny obraz.

- Gdziekolwiek teraz są, wszyscy widzieliśmy te same dane, ale tylko ty potrafiłeś je usystematyzować w odpowiedni sposób - pochwalił go Forrice. Ale teraz mów, o co tutaj chodzi?

Cole pozwolił sobie na uśmiech tryumfu.

- Mam powiedzieć szczerze czy po przyjacielsku?

- Po prostu powiedz, do czego doszedłeś.

- Pierwszą wskazówką było to, że porucznik Mboya nie potrafiła znaleźć rozsądnego powodu, dla którego Bortelici musieliby tutaj przylecieć - nie ma bogactw, nie ma materiałów rozszczepialnych, żadnego ważniaka na tyle nadzianego, żeby ktoś za niego zapłacił okup, zero pokładów złota albo diamentów pod powierzchnią planety. Drugi fakt, który dał mi do myślenia dotyczył tego, że Bortel II przez lata zachowywał neutralność, a teraz nagle i bez dania racji przyłączył się do Federacji Teroni. No i nie zapominajmy o tych górach...

- I z takich przesłanek udało ci się wykoncytować, o co rzecz idzie? - zapytał Forrice. - Jak udało ci się zgadnąć, co gnębi gospodarkę Bortelu II?

- Ja wcale nie zgadywałem - zaprzeczył Cole. - Na tej planecie tylko jedna rzecz występuje w nadmiarze, o ile potrafisz ją okiełznać i wykorzystać, a jest nią energia.

- Energia? - prychnął Forrice. - Przecież porucznik Mboya powiedziała ci wyraźnie, że nie ma tutaj plutonu, uranu ani...

- Nie słuchałeś jej uważnie - przerwał mu Cole. - Przelecieliśmy właśnie nad ciągnącym się przez tysiąc mil łańcuchem górskim, w którym aż roi się od czynnych wulkanów. Mając odpowiednie technologie, można zaspokoić głód energetyczny całej planety, i to przez setki lat, wykorzystując tylko ułamek mocy drzemiącej pod tymi skałami. To dlatego zapytałem o zapasy kopalin na Bortelu II. Gdyby okazały się tak niskie, jak przypuszczałem, powód pobytu Bortelitów na tej planecie byłby jasny jak słońce. A skoro nie przybyli tutaj, aby podbić Roszponkę, wystarczył im jeden okręt, na którym zmieścili cały potrzebny sprzęt oraz naukowców posiadających wystarczającą wiedzę i technologię, by okiełznać wulkany i zgromadzić ogromne ilości energii, a także wystarczającą ilość żołnierzy, by chronić cały projekt. To ogromny głód energii sprawił, że zdecydowali się przyłączyć do Federacji Teroni. Republika za nic się nie przyzna, ale idę o zakład, że Bortel II urządził swoistą licytację, oferując swoje usługi tej stronie, która zapewni większe dostawy paliwa dla jego floty wojennej. Pomyśl, ile energii potrzeba do zasilenia tego potwora, który spoczywa na Roszponce, a potem zastanów się nad słowami porucznik Mboyi. Czyż nie stwierdziła wyraźnie, że na Bortelu II nie ma już materiałów rozszczepialnych? Nowych technologii pozwalających zasilać takie okręty nie da się wymyślić w ciągu jednej nocy. Musieli pozyskiwać paliwo, i to zapewne od obu stron konfliktu, ale gdy załamano im się gospodarka, sięgnęli po jedyne rozsądne rozwiązania. Najpierw przyłączyli się do Federacji, potem przylecieli tutaj.

- Kiedy pan to tak ładnie poukładał, załapałam, o co chodzi - powiedziała Christine.

- Ma człowiek rację - przyznał Forrice. - Jak ja nie cierpię, kiedy on ma rację. W takich wypadkach zawsze kończy się rozróżbą i wszyscy wokół mogą dostać po głowie.

- Ale sensory nie wykryły żadnej aktywności, nawet obecności większych form życia, kiedy przelatywaliśmy nad tymi górami - zauważyła Mboya.

- Bo przelatywaliśmy w poprzek tego pasma - wyjaśnił Cole. - A teraz przelecimy wzdłuż, cały tysiąc mil, od początku do końca i z powrotem. I zanim skończymy, będziemy wszystko już wiedzieli dokładnie. - Odwrócił się do Molarianina. - Ile czasu zajmie nam dotarcie do podgórze?

- Chwilę - odparł Cztery Oczy. - Dwie, góra trzy minuty.

- Gdybym tylko wiedziała, jaka technologia pozwala na wydobywanie i gromadzenie tego typu energii odnawialnej - powiedziała Christine. - Mogłabym wtedy dokładniej skalibrować sensory i szybciej byśmy ich znaleźli.

- Skoro tego nie wiemy, skupisz się na rozpoznaniu form życia zamieszkujących te góry - powiedział Cole. - Jeśli trafisz na skupiska cztero- czy sześcionożnych, każ je pomijać i skup się wyłącznie na dwunożnych.

- Tak jest, sir. Już się za to biorę. Cole wstał z fotela.

- Znakomicie - oświadczył. - Skoro już wiesz, co masz robić, a Cztery Oczy wciąż trzyma się kurczowo sterów, mam wreszcie czas na zjedzenie małego co nieco.

- Teraz chcesz jeść? - zdziwił się Forrice.

- Jestem głodny - odparł Cole. - Poza tym, najwyższa pora coś przetrącić. - Rozejrzył się po kabinie. - Gdzie trzymacie żarcie na tych wahadłowcach?

- Ostatnia szafka na dole po lewej.

Cole przeszedł na rufę promu, odszukał właściwe drzwiczki, otworzył je, ale nie znalazł niczego, co by do niego przemówiło, poprzestał więc na kawałku ciasta. Patrzył na nie przez chwilę z wyraźnym niesmakiem, potem wzruszył ramionami i wbił w nie zęby. Żuł gęstą masę powoli, do momentu w którym zdecydował, że nie jest taka zła, wtedy ugryzł większy kęs. Właśnie zaczął się rozglądać za kubkiem kawy albo herbaty, aby ułatwić sobie przetykanie, kiedy usłyszał wołanie Forrice'a z kockpitu.

- Wiem, że nie lubisz, jak ktoś ci przeszkadza w konsumpcji - powiedział chwilę później Molarianin - ale właśnie znaleźliśmy naszych złych chłopców. - Wahadłowiec zadrżał i zaczął gwałtownie tracić wysokość. - Choć, prawdę powiedziawszy, to raczej oni nas znaleźli.



## Rozdział piąty

Wahadłowiec zadrżał ponownie.

- Wydaje mi się, że rozsądniej będzie posadzić „Kermita” - przyznał Cole. - Lada moment znudzi ich oddawanie wyłącznie ostrzegawczych strzałów.

- Nie będziemy odpowiadać ogniem? - zapytał Forrice.

- Ani mi się waź! Nie mam wprawdzie pojęcia, jaką siłą ognia dysponują tam w dole, ale wiem, ile dział jest na okręcie spoczywającym na tutejszym kosmodromie. Jeśli rozwalimy tych ludzi teraz, ich towarzysze dopadną nas znacznie szybciej, niż zdąży przylecieć „Teddy R.”.

- Proszę wybaczyć pytanie, sir, ale czy naprawdę uważa pan, że oni pozwolą nam na lądowanie? - zapytała Christine.

- Poruszamy się z niewielką prędkością, a ich bronią z pewnością kieruje komputer - powiedział Cole, gdy turbulencje stały się silniejsze. - Jak sądzisz, ile razy mogliby chybić „Kermita”, gdyby zamierzali nas trafić? W tak delikatny sposób dają nam do zrozumienia, że powinniśmy natychmiast lądować i pokazują, na wypadek gdyby wpadło nam do głowy uciekać lub walczyć, jaką siłą ognia dysponują.

- Jesteś tego całkowicie pewien? - zapytał Forrice. - To klasyczne starcie, wahadłowiec kontra umocnienia naziemne. Możemy w każdej chwili przejść w nadświatłą, ale jeśli wylądujemy, proporcje drastycznie się zmieniają, naprzeciw siebie stanie horda wrogów i nas troje.

- Nadal nie potrafisz logicznie rozumować - zgasił go Cole. - Jeśli spróbujesz wejść w nadświatłą w obrębie atmosfery, tarcie natychmiast zamieni wahadłowiec w obłok rozjarzonej plazmy. Stawiam w zakład twoje obce dupsko, że ogień naszych przyjaciół też stanie się o wiele celniejszy, jeśli zaczniesz

wznosić się na wyższy pułap. Posadź nas powoli i delikatnie, nie odbezpieczaj żadnej broni. Poruczniku, proszę włączyć radio. Z pewnością będą chcieli wydać nam tą drogą kilka rozkazów. Nie widzę powodu, dla którego Fujimama i Podok nie mieliby ich też usłyszeć.

- Mam jeszcze jedno pytanie, sir - odezwała się Christine.

- To nie najlepsza pora na zadawanie pytań - odparł komandor. - Możemy być cokolwiek zajęci podczas schodzenia na powierzchnię.

- Dlaczego znaleźliśmy się w tak niekorzystnej sytuacji? - nie odpuściła. - Przecież musiał pan wiedzieć, że będą uzbrojeni i spróbują zmusić nas do lądowania.

- Zdziwiłbym się, gdyby nie zabrali ze sobą kilku narzędzi do zabijania - przyznał. - Przebywając tak daleko od okrętu są, praktycznie rzecz biorąc, pozbawieni jego osłony.

- Zatem dlaczego sprowadził pan na nas tak wielkie zagrożenie? - kontynuowała przesłuchanie. - Nie chciałabym, żeby pan potraktował moje słowa jako przejaw niesubordynacji, ale skoro mam zginąć, wolalabym wiedzieć, że moje poświęcenie nie pójdzie na marne.

- Nie wiem, kto panią zindoktrynował do tego stopnia, poruczniku - odparł Cole - że uważa pani, iż śmierć jakiegokolwiek żołnierza nie jest zmarnowaniem jego życia. Znaleźliśmy się w takiej a nie innej sytuacji, ponieważ uważam, że bortelicki dowódca raczej podziela mój punkt widzenia na ten temat.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi, sir.

- Na kosmodromie Roszponki znajduje się tylko jeden okręt Bortelitów. Nasze sensory nie wykryły żadnych mniejszych jednostek, kiedy przelatywaliśmy nad Pinokio. Wiemy, że załoga takiej jednostki liczy około trzystu osób. Wiemy, że Roszpon-

ka jest planetą należącą do Republiki. Czy to naprawdę nie daje pani do myślenia?

Spoglądała na niego uważnie, z wyrazem wielkiego zakłopotania na twarzy.

- Widzę, że raczej nie daje - powiedział po chwili. - Pozwoli pani, że dodam jeszcze jeden fakt, który powinien wyjaśnić nieco mój tok rozumowania. Bortel II przystąpił oficjalnie do Federacji Teroni ledwie tydzień temu.

Oblicze kobiety zaczęło jaśnieć w miarę docierania do niej tej myśli.

- Oczywiście! - zawołała. - Uważa pan, że infiltrowali Roszponkę od lat, w czasach gdy Bortel II zachowywał pozorną neutralność, umieszczając na niej setki, jeśli nie tysiące agentów.

- To mogłoby tłumaczyć, dlaczego nikt nie sprzeciwił się ich lądowaniu i dlaczego nikt nie próbuje ich powstrzymać. Jeśli się nie mylę, odlecą stąd po uzyskaniu tego, co jest ich celem. Ta planeta nie zdołałaby się obronić przed atakiem sił Republiki. Bortelici nie będą też w stanie zapewnić jej wystarczającego zaopatrzenia, a nie jest warta straty choć jednego okrętu wojennego. Dlatego uważam, że to tylko szybki i krótki wypad.

- Póki co, twoje rozumowanie ma sens - wtrącił Forrice. - Ale za dziewięćdziesiąt sekund znajdziemy się na powierzchni planety. I co wtedy?

- Ocenimy sytuację - odparł Cole.

- Mogę dokonać tej oceny już teraz - powiedział Cztery Oczy. - Zostaniemy uwięzieni przez siły Federacji Teroni, które nie znają porucznik Mboyi, mogą nawet nie wiedzieć, kim ja jestem, ale z pewnością mają powody, by o tobie pamiętać. Wilson Cole będzie nie lada zdobyczą w ich ojczyźnie.

- Wiem, że z pewnością nie jest ci lekko, skoro wierzysz w takie brednie, ale zaręczam, że jesteśmy tu i teraz o wiele bezpieczniejsi niż na terenie Pinokio czy jakiegokolwiek innego miasta, które badalibyśmy w przebraniu, aby dowiedzieć się, jak głęboko udało im się zinfiltrować tę planetę.

Forrice parsknął głośno, co miało wyrażać brak zgody na tak stawianą tezę. Dźwięk ten przypominał odgłos wydawany przez trąbę, czyste B-dur.

- Pomyśl choć trochę - zachęcił go komandor. - Na ulicach i w ciemnych zaułkach Pinokio bylibyśmy wyłącznie szpiegami zadającymi zbyt wiele niewygodnych pytań, a tacy kończą zazwyczaj w rynsztoku, z poderżniętymi gardłami. Może napastnicy upozorowaliby napad rabunkowy, a może nie musieliby tego robić, tobie i tak byłoby wszystko jedno, ponieważ jako zimny trup zabrałbyś ze sobą do grobu całą wiedzę na temat wypadu Bortelitów. Ale teraz jesteśmy oficerami znajdującymi się na pokładzie wahadłowca Republiki, a to oznacza, że zabicie nas sprowadzi im na głowy nasz okręt, a skoro nie są to ludzie obcy z Obrzeżami, najprawdopodobniej nie zdają sobie sprawy, że „Teddy R.” uznawany jest za wybitnego przedstawiciela klasy latających domów spokojnej starości. Co więcej, do Bortelitów dotarło już, że pojawiliśmy się tutaj, ponieważ siły Republiki zauważyły ich okręt. Jeśli sami nie wychylimy się z wiedzą, jaką posiadamy na temat celu ich wizyty, być może sami nie dojdą do tego, że odkryliśmy, iż przylecieli tutaj pozyskać źródła energii. Tak czy inaczej, jesteśmy oficerami, a jeśli ich siły zbrojne posiadają tak „błyskotliwą” kadrę jak nasze, nie powinni traktować nas jak ludzi zdolnych do samodzielnego rozumowania.

- Skoro masz kadrę w takim poważaniu, dlaczego zdecydowałeś się do niej przyłączyć? - zapytał Forrice.

- Bo oficerów lepiej karmią i nie muszą dzielić kabin z innymi członkami załogi - odparł spokojnie Cole i żadne z nich nie mogło z całkowitą pewnością stwierdzić, czy żartował, czy też mówił poważnie.

- Lądujemy za dwadzieścia sekund - oznajmił Molarianin.

- Czy mamy jakąś eskortę? - zapytał Cole. - Nie.

- Zatem możemy iść o zakład, że to, co tu mają nie jest niczym niezwykłym i dlatego tak bardzo starają się przed nami ten fakt ukryć

- Nasze sensory nie wykryły żadnego okrętu w pobliżu, nie mamy nawet odczytów wskazujących na obecność naziemnych środków transportu, sir - zameldowała Christine. - Wydaje mi się, że zostali tutaj zrzućeni i zostaną zabrani dopiero po przekazaniu odpowiedniego sygnału do bazy.

Cole odpiął pas z pistoletami, laserowym i sonicznym.

- Zostawcie swoje palniki i piszczałki na pokładzie - poprosił. - Jeśli zabierzecie je ze sobą, zaraz po opuszczeniu wahadłowca zostaniemy rozbrojeni. Dlaczego mamy zaopatrywać wroga w naszą broń?

Forrice i Christine wykonali polecenie, a komandor zamknął cały arsenał w jednej z szafek.

- Na wypadek gdyby zarządzili inspekcję wahadłowca - wyjaśnił.

- Pozwoli im pan wejść na pokład? - zdziwiła się Christine.

- Ależ skąd - odparł. - Ale wiesz, oni wcale nie muszą się przejmować tym, co ja zamierzam.

Wahadłowiec przechylił się nieznacznie, gdy wylądowali na nierównej powierzchni.

- Sądzę, że najrozsądniej będzie, jeśli pozwolicie mi odpowiadać na wszystkie pytania - powiedział Cole. - Jeśli zaczniemy sobie wzajemnie zaprzeczać, mogą nas rozdzielić i przesłuchiwać osobno. A to może być bolesne przeżycie.

Otworzyli właz i opuścili trap, po którym zeszli na ziemię.

Wokół promu stało przynajmniej pięćdziesięciu bortelickich żołnierzy. Byli humanoidami, nieco wyższymi od ludzi, bardzo smukłymi, o sześciopalczastych, wielkich dłoniach, na których widać było po dwa przeciwstawne kciuki. Za to stopy mieli małeńkie, jakby wyewoluowały z kopyt. Głowy posiadali niemal idealnie okrągłe, na wyróżnienie zasługiwały też wyjątkowo duże oczy i para szeroko rozstawionych nozdrzy, których nie sposób było jednak nazwać nosem. Kiedy mówili, w ich szerokich ustach widać było wyłącznie płaskie zęby, najwyraźniej nigdy nie posiadali kłów. Ale najciekawsze w tym wszystkim było to, że każdy z nich miał na sobie hermetyczny hełm i aparat tlenowy.

- Wydawało mi się, poruczniku, że Bortel II jest planetą tlenową - mruknął Cole pod nosem.

- Bo jest, sir.

*Zatem mają tam o wiele wyższą albo i niższą zawartość tlenu niż na Roszponce, pomyślał komandor. Ta wiedza może okazać się użyteczna...*

- Dlaczego otworzyliście ogień w kierunku mojego waha-dłowca? - zapytał Cole, podnosząc głos.

- Dlaczego tutaj przylecieliście? - odpowiedział pytaniem na pytanie Bortelita, który wyglądał na dowódcę tego oddziału. Wymawiał słowa do T-tora, który przekładał je na brzmiały mechanicznie terrański.

- Roszponka jest planetą należącą do Republiki a my jesteśmy oficerami floty republikańskiej - wyjaśnił Cole. - Mamy

pełne prawo przebywać w tym miejscu. Pozwolisz, że zadamy ci to samo pytanie: dlaczego członkowie Federacji Teroni pojawili się na naszej planecie i dlaczego otworzyli ogień do mojego wahadłowca?

Przywódca Bortelitów wpatrywał się w Cole'a przez dłuższą chwilę.

- Roszponka jest planetą neutralną, nie należy już do Republiki. Mamy takie samo prawo do przebywania tutaj jak wy.

- A niby kiedy to Roszponka zadeklarowała wystąpienie ze struktur Republiki? - zapytał Cole.

- Wkrótce zostanie to ogłoszone.

- Czy rozpisano na niej plebiscyt ogólnoplanetarny? - zaciekawiał się Cole. - Gdzie możemy zapoznać się z wynikami tego głosowania? I jaki procent mieszkańców zdecydował o wystąpieniu ze struktur Republiki?

- Nie mam wiedzy na ten temat - przyznał niechętnie Bortelita. - Jestem oficerem, nie politykiem.

- W takim razie zadam ci inne pytanie - ciągnął Cole. - Przed czym bronisz tych niezamieszkaných gór?

- To nie wasz interes.

- A może jednak? Od momentu, w którym otworzyliście ogień do wahadłowca Republiki, ta sprawa znajduje się także w kręgu moich zainteresowań.

- Wasze zwierzchnictwo nad tą planetą dobiegło końca - oświadczył bortelicki oficer. - I macie świadomość tego, że mogliśmy was bez problemu zestrzelić. Nie zrobiliśmy tego tylko dlatego, że nie zdawaliście sobie jeszcze sprawy z neutralności Roszponki.

*Wy sukiny! Jesteście słabsi, niż przypuszczałem. Za chwilę sami mi zaproponujecie bezpieczny odlot z tego miejsca, po-*

myślał Cole. I Bortelita, jakby czytając w jego myślach, oznajmił:

- Jeśli dasz mi słowo honoru, że uszanujecie decyzję o przyjęciu neutralności przez tę planetę, puszcę was wolno.

Forrice i Christine spojrzeli pytająco na komandora. On zaś ledwie dostrzegalnie skinął głową.

- Masz moje słowo - powiedział Forrice. - I moje - dodała zaraz Christine.

- A co z twoim? - zapytał bortelicki oficer, stając przed Cole'em.

- Idź do diabła - powiedział komandor. - Nie będę ci niczego przyrzekał. Moja załoga może dopuścić się zdrady, ale ja nie zamierzam tego robić.

- Co takiego?! - wrzasnął Cztery Oczy.

- Słyszałeś - odparł spokojnie Cole. - Zhańbiłeś mundur, który nosisz.

Wyciągnął rękę i popchnął Molarianina, mówiąc do niego jednocześnie mówiąc do niego bezgłośnie: „Złap mnie”.

Forrice patrzył na niego, jakby był w szoku, ale nie wyglądało na to, że wykona prośbę dowódcy.

*Szlag by to wszystko!* - pomyślał Cole. *Może i potrafisz mówić po terrańsku, ale masz zupełnie inny organ mowy. Nie umiesz czytać z ruchu warg.*

- A ty? - odwrócił się do Christine. - Ty wcale nie jesteś lepsza od niego! - bezgłośnie dodał „Uderz mnie”.

Porucznik postąpiła krok do przodu.

- Przez pana o mały nie zginęliśmy! - krzyknęła. - I proszę nie wyzywać mnie od zdrajców!

Uderzyła z zamachu. Cole zrobił unik, przemknął pod jej ramieniem i złapał ją od tyłu, oplatając jej tors rękami. Opusz-



czając głowę, powiedział szybko: - Jak tylko wydostaniecie się stąd, zameldujcie o wszystkim...

- Tak, wiem, Górze Fuji - wyszeptwała pomiędzy kolejnymi sapnięciami.

- Nie!

Bortelici rozdzielili ich, zanim zdążył powiedzieć coś więcej.

*Muszę ci jakoś przekazać tę wiadomość, pomyślał.*

- Wasz proces o zdradę znajdzie się na pierwszych stronach wszystkich gazet - oznajmił z goryczą. *Zrozumiałaś? Wychwyliłaś słowo-klucz? Jeśli nie, wpadłem po uszy w gówno.*

- A ja mam nadzieję, że rozerwą pana na strzępy! - wypaliła i odwróciła się do dowódcy Bortelitów. - Czy możemy już odejść?

*Mam cholerną nadzieję, że jednak domyśliłaś się, o co mi chodzi.*

- Tak - odparł tamten. - Ale jeśli wrócicie w to miejsce, zestrzelimy wasz pojazd.

- Wydawało mi się, że mówił pan coś o neutralności Roszponki? - powiedział Forrice.

- Bo jest neutralna - wyjaśnił oficer. - Ale potraktujemy wasz powrót jako akt wrogości i zareagujemy z całą stanowczością.

- A jeśli my uznamy waszą tutaj obecność za akt wrogości? - zapytał Molarianin.

*Zamknij paszczę i spieprzaj stąd, zanim ten Bortelita zmieni zdanie!*

- Nami nie dowodzi oficer, który odmawia przyjęcia do wiadomości, że Roszponka jest neutralnym terytorium, dzięki czemu możemy na niej przebywać - taka padła odpowiedź.

Cole był pewien, że Forrice nie daruje sobie skrytykowania tego punktu widzenia, więc sam postanowił zakończyć rodzącą się właśnie awanturę.

- Wypieprzaj mi z oczu, ty zdradziecka, bezkręgowca pokrako! - wycharczał. *Proszę*, dodał w myślach.

W końcu do Molarianina dotarło, o co chodziło komandorowi.

- Postarajcie się, żeby umierał bardzo powoli - poradził Bortelitom i ruszył w stronę wjazdu, trzymając się o krok przed Christine. Cole wyczuwał, głównie dzięki językowi ich ciał, że opuszczali go niechętnie, wręcz protestując.

„Kermit” wystartował chwilę później, w tym czasie dowódca Bortelitów przyglądał się uważnie Cole'owi.

- Wyglądasz mi znajomo - powiedział w końcu, ale nie przestał się gapić. - Bardzo znajomo... - przerwał. - Nie, nie mogę mieć aż takiego szczęścia. Dlaczego republikanie mieliby cię zsyłać aż na takie zadupie?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - powiedział Cole.

Bortelita nadal studiował jego wygląd.

- Może się mylę. Wy, ludzie, wszyscy wyglądacie jednakowo. Dlatego na wszelki wypadek wykonamy skanowanie chipa, który ci wszczepiono.

- Oszczędzę ci kłopotu. Nazywam się komandor Wilson Cole i jestem aktualnie drugim oficerem na pokładzie „Teodora Roosevelta”.

- Wiedziałem! - krzyknął Bortelita. - Schwytaliśmy samego Wilsona Cole!

Komandor wzruszył ramionami.

- Każdemu może się zdarzyć.

Bortelicki oficer odwrócił się twarzą do podwładnych.

- Powiadomcie okręt, niech przygotują celę z odpowiednim poziomem tlenu dla naszego więźnia - rozkazał, a potem dodał, już do Cole'a. - Co wojownik o takim życiorysie robi w najdalszym sektorze Obrzeży?

- Zastanawia się, czym karmicie jeńców.

- Nie wydajesz się specjalnie przejęty swoją sytuacją.

- Jestem rozsądnym człowiekiem - wyjaśnił Cole. - I chcę negocjować.

- Swoje uwolnienie? - pytanie Bortelity zakończyło się wybuchem niemile brzmiącego śmiechu.

- Wasze.

- Harde słowa, jak na człowieka, którego porzuciła własna załoga.

- Powiadają, że jestem optymistą - rzucił wesoło Cole.

- I jakoś nie wyglądasz na legendarnego wojownika, o którym tyle dobrego słyszeliśmy.

Cole uśmiechnął się znacząco.

- Ten dzień dopiero się zaczyna - powiedział.

## Rozdział szósty

Dzień bardzo szybko zaczął zbliżać się do końca. Cole cały czas trzymany był pod strażą, musiał też jeść cuchnące potrawy, co ciekawe, uznawane przez Bortelitów za wielkie przysmaki, i odpowiadać na niekończące się pytania. Odpowiadał na każde z nich szybko i z nieprzymuszonej woli, chociaż ani razu nie otarł się o prawdę, dostarczając przesłuchującym go oficerom tyle mylących informacji, że samo ich pobieżne sprawdzenie musiałyby potrwać przynajmniej kilka dni.

Późnym popołudniem Cole zaczął dochodzić do wniosku, że Christine Mboya albo nie zrozumiała jego podpowiedzi, albo - co gorsza - całkowicie ją zignorowała. Skoro do tej pory nie nastąpił atak, nie miał co liczyć, że w ogóle nastąpi, co oznaczało także, że jeśli Cole zamierza wydostać się z niewoli i wrócić na „Teddy'ego R.”, będzie to musiał zrobić na własną rękę.

Zdawał sobie sprawę, że w Pinokio mieszkały setki, jeśli nie tysiące ludzi, którzy pospieszą mu z pomocą, gdyby tylko zdołał dotrzeć tak daleko. Sztuka polegała więc wyłącznie na pokonaniu wielkiej odległości i dostaniu się do miasta. O takim szczególe, jak powrót na pokład własnego okrętu, postanowił na razie nie myśleć.

*Dobrze, powiedział do siebie, musisz to dokładnie przemyśleć. Nawet nie tknęli mnie palcem, co może oznaczać, że czekają na głównego inkwizytora albo, co może jest bliższe rzeczywistości, nie chcą uszkodzić tak ważnego jeńca przed oddaniem go w ręce przełożonych. Jestem, było nie było, cholernie cenną zdobyczą. Niestety, nie mogę wykorzystać tej przewagi, bo z tego samego powodu prędzej mnie zastrzelą, niż pozwolą odejść. Rozejrzał się. Dobrze... Sprawdźmy parę rzeczy. Czy*

*mogę zdobyć jakąś broń? Tylko w wypadku obezwładnienia strażnika. Ale którego, najbliższego, najmniejszego czy najlepiej uzbrojonego? Chyba jednak najbliższy będzie najrozsądniejszym wyborem. Jego mogę dopaść najszybciej. Ale wokół jest kilkudziesięciu jego kompanów. Z jednym miotaczem niewiele zdziałam przeciw takiemu tłumowi. Zatem kwestia zdobycia broni odpada. A co z ich hełmami? Może mają tylko jedno źródło tlenu, które zdołam wyłączyć? Nie, nie widziałem tutaj niczego takiego. Ale to z kolei może oznaczać, że dysponują ograniczonymi zasobami powietrza, którym mogą oddychać. Bez względu na to, jak bardzo potrafili je sprężyć, zbiorniki tej objętości nie mogą wystarczyć na dłużej niż jeden dzień użytkowania - a mamy za sobą już dwie trzecie doby od ich ewentualnego założenia, co oznacza, że jakiś wahadłowiec albo inna jednostka z zaopatrzeniem powinna pojawić się tutaj w ciągu najbliższych kilku godzin. Jej przybycie wyznacza dla mnie limit czasowy działania. Cokolwiek zamierzam zrobić, musi wydarzyć się w ciągu najbliższych dwóch, trzech godzin. Co więcej, będę musiał tego dokonać bez broni.*

Wstał, przeciągnął się. Słońce zaczęło opadać w stronę horyzontu. Nie zostało wiele czasu. Teren wokół obozowiska był skalisty i nierówny, łatwo o złamanie nogi albo i karku, kiedy buszuje się po podobnych okolicach w ciemności.

I nagle dotarło do niego, że Bortelici będą mieli o wiele większy problem podczas biegania po zboczu góry. Gdy sam upadnie, co najwyżej się potłucze. Jeśli upadek będzie groźniejszy, może dojść nawet do złamania, ale każdy wypadek przeciwnika będzie groził rozbiciem hełmu, czyli ryzykiem śmierci, ponieważ Bortelici nie mogli oddychać atmosferą Roszponki. Gdyby było inaczej, nie nosiliby przez cały czas aparatów tlenowych.

Jedyne, czego potrzebował, to przewagi na starcie. Nie musiał przejmować się tak bardzo nierównościami terenu i przeszkodami. Dzięki temu mógł uzyskać istotną przewagę.

*Musi istnieć jakiś sposób. Jeszcze nigdy nie trafiłem na sytuację bez wyjścia, więc ono istnieje i teraz, trzeba je tylko znaleźć. Czasami wystarczy spojrzeć na sprawę z innej, świeższej perspektywy.*

I nagle doznał olśnienia.

Tu nie chodziło o rzeczy dobrze widoczne dla niego, ale raczej o te, których oni dostrzec nie mogli. Kluczem okazały się wielkie oczy Bortelitów - takie, jakie zazwyczaj mają mieszkańcy planet krążących wokół małych albo oddalonych słońc. To dzięki nim mogli pracować bez problemów nawet w środku nocy. Zakładał, że robili to wyłącznie z chęci utrzymania swojej obecności w tajemnicy, ale teraz zrozumiał, jak bardzo się mylił. Przecież zinfiltrowali władze Roszponki i mieli ze sobą naprawdę nowoczesną broń. Nie musieli działać w ukryciu. Pracowali nocami, ponieważ w ciemnościach najlepiej widzieli.

Tak, od samego początku przyjmował złe założenia. Te istoty mogły poruszać się w mroku o wiele szybciej od niego. Ale za żadne skarby nie będą w stanie oddać jednego celnego strzału, jeśli rzuci się do ucieczki prosto w zachodzące słońce!

Cole ocenił, że pozostało mu jeszcze przynajmniej pół godziny, zanim słońce znajdzie się na najbardziej odpowiedniej wysokości. Uznał, że najlepszym wypełnieniem tego czasu będzie obserwacja wszystkich Bortelitów, którzy pojawią się w polu widzenia. Chciał tym sposobem ocenić, na jakich powierzchniach czują się pewniej, a które omijają. Szybko zrozumiał, że strome stoki nie były dla nich najmniejszą przeszkodą. Wbijali mocno kopytopodobne stopki w podłoże i parli naprzód, pochylając się czasem mocno dla uzyskania większej równowagi. Ale omijali za

to każde skupisko luźnych kamieni, osypiska i tym podobne miejsca, na których mogliby się potknąć. Gdy docierali do ostrego zakrętu, najpierw odwracali się, badając teren, dopiero potem ruszali dalej. Robili to całkowicie nieświadomie, niemal automatycznie, ale dzięki temu właśnie spostrzeżeniu Cole mógł zaplanować trasę ewentualnej ucieczki. Nie liczył się kąt nachylenia stoku, powinien wybierać miejsca jak najbardziej kręte i pokryte kamieniami.

*Muszę sprawdzić jeszcze jedną rzecz, żeby upewnić się, czy aby nie popełniam samobójstwa*, pomyślał. Zaczął się wolno przesuwając aż do momentu, gdy pomiędzy nim a zachodzącym słońcem znalazł się jeden ze strażników. Spojrzał na jasną gwiazdę przez szybę hełmu Bortelity. Nie była polaryzowana, zatem każde spojrzenie prosto w wiszący nisko, lśniący krąg musiał go oślepić.

Zostały mu jeszcze mniej więcej trzy minuty. *Czy wszystko już przemyślałem? Czy znam każdy sposób odwrócenia ich uwagi przez pierwsze dwadzieścia, trzydzieści sekund? Niech pomyślę... Wasze ramiona są jakieś takie sztywne, macie zupełnie inaczej zbudowane ręce niż ludzie. Idę o zakład, że nie potrafilibyście się podrapać po plecach, nawet gdyby od tego zależało wasze życie.*

Wsunął dłoń do kieszeni. Zabrali mu wszystko, co mogło posłużyć za broń. Obmacał dokładnie wnętrze materiału. Czy naprawdę nic mu nie zostawili? Nagle natrafił palcami na trzy monety. Zacisnął na nich dłoń, wyjął ostrożnie z kieszeni i stanął nieruchomo, czekając, aż słońce opadnie jeszcze o ułamek stopnia.

Gdy znalazło się tam gdzie trzeba, machnął ręką za plecami, posyłając monety wysoko w górę. Jedna z nich odbiła się

od hełmu żołnierza stojącego może czterdzieści stóp od Cole'a. Druga upadła na nadgarstek innego Bortelity. Obaj krzyknęli zaskoczeni Cole nie odwracał się, by spojrzeć w ich stronę, ale wszyscy strażnicy odwrócili się, jak na komendę. Skoro ich ciała nie pozwalały na wykonanie takiego ruchu, nie przypuszczali, że Cole może być do niego zdolny, więc nie z nim łączyli okrzyki zaskoczenia dobiegające z tyłu. Odwrócili się, by zobaczyć, o co chodzi, a gdy to zrobili, komandor ruszył prosto w zachodzące słońce.

Ten manewr dał mu jedynie trzy sekundy przewagi, ale to i tak było lepsze niż nic. Strzały z pulsarów ryły grunt wokół niego, jednak Bortelici nie zdołali jeszcze przywyknąć do słońca świecącego im prosto w oczy. On też miał problem z patrzeniem prosto przed siebie, więc nie ulegało wątpliwości, że przeciwnicy muszą cierpieć niewymowne katusze z tego powodu. Właśnie przeskakiwał nad niezbyt szeroką rozpadliną, gdy powietrze obok jego ucha przeciął promień lasera. Ale tuż przed nim rozciągał się już najbardziej kamienisty odcinek zbocza. Tutaj zaczął zygzakować.

Element zaskoczenia dał mu w sumie około piętnastu sekund przewagi, lecz przeciwnik już ruszył w pościg, prąc prosto w dół zbocza. Cole nie mógł biec dalej w zachodzące słońce, ukształtowanie terenu na to nie pozwalało. Zauważył kamienisty ugór około trzydziestu jardów przed sobą. Jeśli zdoła dotrzeć do tego miejsca, zmieni kierunek, zanim zdążą zauważyć, że to zrobił. Tym sposobem może zarobić kilka kolejnych sekund.

Usłyszał łomot upadającego ciała i odważył się na rzucenie szybkiego spojrzenia za siebie. Znajdujący się najbliżej niego Bortelita stracił równowagę na niestabilnym fragmencie osypiska, a jego kompan który biegł tuż za nim, nie wyhamował w



porę i wpadł na niego od tyłu, z całej siły. Teren był tak nierówny, że pozostali żołnierze nie zdecydowali się na przeskoczenie nad ciałami leżących i nerwowo poszukiwali innych dróg na osypisku. Cole zyskał tym manewrem o wiele więcej, niż mógł przypuszczać.

Dopadł kamienistego pagórka, skręcił ostro w lewo, minął cały szereg jaskiń. Na kamienistym gruncie nie zostawiał odcisków stóp, więc część żołnierzy z pościgu będzie musiała zatrzymać się, by zajrzeć we wszystkie te mroczne otwory, aby sprawdzić, czy nie siedzi skulony za którymś załomem.

Z prawej zobaczył las porastający zbocze, w pierwszym odruchu zamierzał skierować się prosto w gęstwinę i ukryć gdzieś między drzewami, ale po chwili dotarło do niego, że wystarczy, iż skierują na zarośla promienie laserów, a wszystko wokół, nie wyłączając jego samego, zamieni się w zwęglone szczątki.

Wiedział jednak, że za chwilę musi wykonać kolejną zmyłkę. Słońce zacznie zachodzić już za kilka minut i odbierze mu jedyną przewagę. Nadal będzie mógł poruszać się po kamienistych powierzchniach o wiele sprawniej od pościgu, ale w ciemnościach jego prześladowcy zaczną widzieć lepiej, co automatycznie oznaczać będzie o wiele celniejsze strzelanie.

Nie mógł tak po prostu uciekać. Bez względu na to, jak był szybki i pewnie stawiał stopy na głazach, nie prześcignie promieni lasera i energii pulsacyjnej. Rzucił okiem na otaczające go góry. Czy wystarczająco głośny okrzyk mógł wywołać lawinę? Wątpił w to. Zresztą, gdyby mu się udało, sam stałby się jej ofiarą.

Spojrzał raz jeszcze w stronę lasu. *Nie, to nie ma sensu, po prostu go podpalą, uznał, ale zaraz naszła go zupełnie nowa myśl. Zaraz, zaraz! Przez cały czas źle do tego podchodziłem!*

*Przecież ten pożar będzie najjaśniejszym źródłem światła po tej stronie planety.*

Skręcił w stronę zarośli i zbliżył się może na dziesięć jardów do skraju lasu, gdy pierwszy promień lasera trafił w stare drzewo, które natychmiast zamieniło się w wielką pochodnię. Nie zatrzymał się, nawet na moment nie zwolnił kroku. *Nie mogą teraz strzelać bezładnie w moją stronę, przynajmniej nie z broni laserowej. Będą oddawali pojedyncze strzały od czasu do czasu, do momentu w którym pożar nie rozszerzy się i nie zacznie żyć własnym życiem. Muszę teraz dbać wyłącznie o to, żeby być cały czas daleko przed nimi i mieć nadzieję, że ten las nie ma wielu mil szerokości.*

Nachylenie zbocza zwiększyło się, więc i Cole nabrał prędkości. Słyszał za sobą głośne trzaski gałęzi i listowia pożeranego przez szalejący ogień, czuł gryzący zapach palonego drewna, ale nie odwrócił się ani razu. Przebiegł ćwierć mili, zanim gorąco stało się nie do wytrzymania i zrozumiał, że już wkrótce ogień go prześcignie.

Wydawało mu się, że dostrzegł niewielką przecinkę tuż przed sobą, dlatego zmusił odrętwiałe nogi do jeszcze jednego wysiłku. Gdy dobiegł na miejsce okazało się, że to nie polana ani przecinka, lecz strumień płynący w wąskim wykrocie. Spadające mu na głowę płonące gałęzie nie pozwoliły nawet na chwilę zastanowienia. Rzucił się w wodę, nie dbając o to czy jest dostatecznie głęboka. Liczył jedynie, że prąd będzie wystarczająco szybki i poniesie go w dół zbocza, zanim pnie walących się drzew zatarasują ostatnią drogę ucieczki.

Woda była zimna, ale nie lodowata, głęboka na jakieś cztery stopy. Starał się cały czas płynąć w zanurzeniu, poza tymi krótkimi chwilami, gdy musiał wystawić głowę ponad po-

wierzchnię, by zaczerpnąć tchu. Ostre kamienie pocięły mu skórę na nogach i brzuchu, ale nie odważył się płynąć po powierzchni, dopóki nie uznał, że dzieli go od pościgu co najmniej mila. Bortelici z pewnością nie zdecydowali się płynąć korytem strumienia najeżonego ukrytymi przeszkodami, nie mogli też poruszać się wzdłuż niego przez piekło, które sami rozpętali. Musieli ominąć tereny zajęte pożarem, nie wiedzieli więc, czy Cole nie padł ofiarą pożogi. Na pewno nie przerwą z tego powodu poszukiwań, ale nie będą już tacy gorliwi. Zdołał zniknąć im z oczu, dopóki któryś z żołnierzy nie będzie miał tyle szczęścia, że dostrzeże go przez sensor, mógł się uważać za teoretycznie bezpiecznego. Miał też nadzieję, że wypadki potoczyły się na tyle szybko, iż żaden z wrogów nie pomyślał nawet o zabranii ze sobą tak specjalistycznego sprzętu, kiedy ruszali hurmem w pościg za zbiegiem.

Lecz wszystkie te domysły razem wzięte nie zmusiły go do zwolnienia albo zatrzymania się choć na chwilę. Przepłynął korytem strumienia jeszcze jedną milę, potem wdrapał się na stromy brzeg i ruszył szybkim, marszowym krokiem. Gdy zarośla przerzedziły się wystarczająco, oddalił się od wody i zaczął schodzić stromym, kamienistym zboczem.

Słońce zdążyło już zejść, dlatego musiał poruszać się znacznie wolniej i ostrożniej, zdając sobie cały czas sprawę, że w mroku Bortelici zyskują nad nim sporą przewagę. Zaczął odczuwać skurcze w mięśniach nóg. Starał się ignorować palący ból, dopóki mógł, ale przegrał z nim w końcu i musiał się zatrzymać. Policzył w myślach do dwustu, potem wstał i ruszył dalej, ale już o wiele wolniej.

Rozejrzał się po szczytach otaczających go gór, mając nadzieję, że dostrzeże jakikolwiek znak, dzięki któremu będzie w

stanie zorientować się, jak blisko jest pościg i w jakim tempie poruszają się prześladowcy, ale wokół panowały nieprzeniknione ciemności - Bortelici nie musieli używać świateł - więc niczego konkretnego się nie dowiedział. Zakładał, że żołnierze zdążyli już obejść miejsce pożaru i zauważyli, że nie wydostał się z pogorzelniska po drugiej stronie - nie było tam w końcu żadnych jego śladów - mieli więc wszelkie podstawy, aby uznać, że ogień go jednak doścignął. Ale któryś z nich mógł przecież zauważyć strumień i podzucić reszcie myśl, że Cole skorzystał z tej drogi ucieczki. Gdyby tak się stało, prześladowcy powinni posłać za nim przynajmniej dwóch żołnierzy, żeby sprawdzili i tę ewentualność, ale jeśli zdoła utrzymać dotychczasowe tempo marszu przez przynajmniej dwie godziny, wydostanie się z zasięgu ich działania ponieważ nie mogli oddalić się za bardzo od miejsca w którym zdoła wylądować wahadłowiec z zaopatrzeniem i tlenem, zwłaszcza w takim terenie. Może i tracił z każdą chwilą siły, ale Bortelitom w jeszcze większym tempie kończyło się powietrze w zbiornikach.

Nagle w dole ścieżki, którą szedł, usłyszał ciche szuranie.

*W jaki sposób zdołali mnie wyprzedzić? Wydawało mi się, że zostawiłem ich za sobą co najmniej o milę.*

Dźwięk powtórzył się i Cole zobaczył niewyraźną sylwetkę wielkiego czworonoga. Zwierzę węszyło przez chwilę nerwowo, zapewne wyczuwając jego zapach, potem nagle puściło się biegiem w przeciwnym kierunku, a komandor odetchnął z ulgą.

Jakiś kwadrans później zauważył na niebie obco wyglądający wahadłowiec, kierujący się w stronę najbliższej góry. Maszyna zawisała nad miejscem, w którym przetrzymywano go przez cały dzień, a potem zaczęła podchodzić do lądowania i zniknęła mu z oczu.

Zyskał w tym momencie pewność, że wszyscy Bortelici, którzy nadal podążali jego tropem, porzucą teraz pościg i wrócą na górę, aby uzupełnić zapasy tlenu. Za moment przekażą też załodze wahadłowca informację o jego ucieczce, co mogło oznaczać, że od tej pory będzie musiał liczyć się także z poszukiwaniami z powietrza, które obejmą również tereny niżej położone. Rozważył więc zmianę kierunku ucieczki, pozostanie na tej samej wysokości na odcinku przynajmniej kilku mil i dopiero późniejsze zejście w doliny, ale po namyśle odrzucił to rozwiązanie. Wahadłowiec mógł przeczesać także i te tereny, zanim zdoła je opuścić. Jedynym rozsądnym wyjściem wydawało się zatem szybkie zejście z góry, dopóki bortelicki prom nie poderwie się do kolejnego lotu.

W oddali dostrzegł kolejny strumień i natychmiast ruszył w jego stronę. Ten był o wiele szerszy od wcześniej napotkanego i woda płynęła w nim nieporównanie szybciej. Zrobił krok w nurt, potem następny i ocenił, że woda ma w tym miejscu głębokość co najmniej sześciu stóp, zdążyła też wyżłobić głęboką wyrwę w skałach. Położył się na jej powierzchni i pozwolił się nieść w dół zbocza, licząc na to, że nie ma przed nim zbyt wielu leżących na dnie głazów. Dotarł tym sposobem aż do podnóża góry, raz tylko zatrzymując się przy tamie z mułu i fragmentów drzew, wzniesionej najprawdopodobniej przez tutejsze zwierzęta.

Wydostał się na twardy grunt i pięć minut później uznał, że opuścił wrogą górę albo przynajmniej znalazł się w gęsto zalesionym terenie u jej stop. Wiedział, że Pinokio znajduje się na północny wschód od tego miejsca, oddalone o jakieś dwieście mil, może trochę więcej. Zdawał sobie też sprawę, że wygląda dość nietypowo jak na mieszkańca tych okolic, nie mógł więc

ruszyć po prostu przed siebie, zwłaszcza że spodziewał się wielu bortelickich posterunków i kontroli na drogach. Poza tym był wyczerpany ucieczką i nie miał nic w ustach od niemal dwudziestu czterech godzin oprócz odrobiny świństwa, którym uraczyli go tego popołudnia. Uznał więc, że przede wszystkim musi znaleźć jedzenie i schronienie, Pinokio może poczekać.

Znajdował się na straszonym odludziu, ale Roszponka nie należała do planet o wyjątkowo rzadkim zaludnieniu i braku infrastruktury. W okolicy powinny znajdować się drogi. Problem tylko w tym, że mogło go dzielić od nich dwadzieścia, trzydzieści albo i pięćdziesiąt mil - a jeśli nawet jakaś przebiegała choćby o milę od miejsca, w którym stał, miną godziny zanim dostrzeże ją w ciemnościach. Musiał poczekać do wschodu słońca.

*Ale z tych gór muszą także wypływać rzeki, pomyślał. Łańcuch tej wysokości powinien dawać początek przynajmniej jednej z tych największych, a niewykluczone, że i dwóm czy nawet trzem. Niestety, mogły wypływać z każdego miejsca na przestrzeni ponad tysiąca mil, na jakich ciągnęły się góry, a on nie miał bladego pojęcia, gdzie się znajdują.*

Zdecydował więc, że najrozsądniej będzie iść wzdłuż strumienia, bez względu na to, gdzie go doprowadzi. Przecież woda musi mieć gdzieś ujście. Co więcej, jeśli jacyś ludzie żyją w tych okolicach, czy to rolnicy czy rybacy, z pewnością będą się trzymali blisko źródeł wody pitnej.

Po ośmiu minutach poszukiwań trafił na głęboki parów wypełniony wodą i natychmiast ruszył z jej biegiem. Nagle w okolicy zrobiło się znacznie jaśniej, Cole spojrzął na powierzchnię wody i zobaczył odbijające się w niej dwa księżycy Roszponki. Oba poruszały się po rozgwieżdżonym niebie z wielką prędko-

ścią. Postanowił wykorzystać tę odrobinę dodatkowego światła do maksimum i przeszedł od marszu do truchtu. Wydawało mu się, że pokonał przynajmniej cztery mile, zanim oba księżyce zniknęły za horyzontem, jeden tuż po drugim, zmuszając go do ponownego zwolnienia kroku z obawy przed skręceniem kostki albo nawet złamaniem nogi w kompletnych ciemnościach.

Po kolejnej mili dotarł do miejsca, w którym strumień łączył się z drugim, znacznie szerszym, tworząc całkiem sporą rzeczkę. Tutaj Cole uzmysłowił sobie, że zbliża się już do kresu sił, dlatego rozejrzał się za jakimś zwalonym pnem, który zepchnął, choć nie bez problemu, do wody. Miał nadzieję, że zdoła wspiąć się na niego i popłynąć, jak swego czasu ludzie dosiadający dawno wymarłych koni, ale źle ocenił swoją wagę i dłużyca znikła pod wodą za każdym razem, gdy się na nią wdrapywał. W końcu uznał swoją porażkę, uczeplił się pnia na samym końcu, przy rozgałęzieniu, i pozwolił wodzie nieść się z prądem.

Płynął tak rzeczką aż do świtu. Wiele razy po drodze morzył go sen, ale woda nie pozwalała zasnąć. Ledwie opadała mu głowa, budził się z twarzą w zimnej cieczy, kaszląc, dławiąc się i desperacko walcząc o ponowne złapanie kłody. Nie miał pojęcia, jak daleko zdołał odpłynąć. Góry, tak mu się przynajmniej wydawało, pozostały dwadzieścia mil za nim, ale rzeka płynęła sporymi zakolami, mógł więc w sumie przebyć o wiele większą odległość.

Tuż po świcie stanął wobec konieczności podjęcia kolejnej decyzji: musiał wybrać, gdzie bardziej będzie się rzucał w oczy - na powierzchni wody czy podczas marszu brzegiem rzeki? Wciąż zastanawiał się nad tą kwestią, gdy po raz kolejny dopadła go senność, tym razem zanurzył się znacznie głębiej, natykał się też tyle wody, że, chcąc nie chcąc, musiał wypełznąć na brzeg, aby

oczyścić płuca. Wtedy uznał, że powrót do zimnej wody nie ma większego sensu, nie wytrzymałby w niej dłużej bez odpoczynku, musiał też choć przez chwilę się przespać. Rozejrzał się. Około pięćdziesięciu jardów od miejsca, w którym stał, zauważył kępę gęstych krzewów wysokości dorosłego mężczyzny. Dochołgał się do nich i ułożył tak, by oddziaływały go od rzeki. Zasnął, zanim przytknął głowę do twardej ziemi.

Nie miał pojęcia, jak długo spał, ale gdy się zbudził, wcale nie czuł się bardziej wypoczęty. Przez chwilę nie potrafił sobie uzmysłwić, dlaczego otworzył oczy tak szybko, przecież słońce wciąż stało wysoko na niebie. Zważywszy na wydarzenia ostatnich trzydziestu sześciu godzin, liczył na to, że zdoła przespać przynajmniej do nadejścia zmroku.

I nagle zrozumiał, co sprawiło, że wyrwał się ze snu. Ktoś trącił go w plecy lufą karabinu sonicznego.



## Rozdział siódmy

- Co tutaj robisz? - Cole usłyszał ochryply głos. Usiadł, usiłując odzyskać ostrość widzenia.

- Gdzie ja jestem? - zapytał wciąż oszołomiony.

- To ja tu jestem od zadawania pytań. Gadaj, skąd się wzięłeś i co tutaj robisz?

- Daj mi sekundę na zebranie myśli, a odpowiem na wszystkie pytania - poprosił Cole.

- Nieźle jesteś poobijany. Gdzie zgubiłeś rynsztunek?

- Rynsztunek? - powtórzył Cole.

- Przecież masz na sobie mundur. A w każdym razie jego resztki.

- Mój okręt znajduje się o całe lata świetlne od tej planety - powiedział Cole.

- A ty jesteś czymś na kształt jednoosobowej armii najeźdźców?

Cole zdołał w końcu skupić wzrok na mężczyźnie, który zadawał pytania. Był to człowiek w średnim wieku, raczej szczupły, nosił całkiem drogie, choć już mocno znoszone rzeczy, a jego obliczu przydałby się kontakt z golarką.

- Nie, jestem jednoosobowym zbiegiem - wyjaśnił po chwili milczenia.

- Z tej góry? Widziałem na niej kilku owadziokich, jak pracowali.

- Owadziokich?

- Bortelitów.

- Tak, to od nich uciekłem. Mężczyzna podał mu rękę i pomógł wstać.

- Kilka z tych rozcięć jest dosyć głębokich i wygląda nieciekawie - ocenił. - Chodźmy do mojej chaty, spróbuję cię opatrzyć.

- Mieszkasz w tej okolicy? Mężczyzna pokręcił głową.

- Nie. Ale przyjeżdżam na to odludzie, kiedy najdzie mnie ochota na dobrą rybkę.

- A tym ją ogłuszasz, jak sądzę... - powiedział Cole, wskazując na soniczną fuzję.

- Nigdy nie wiadomo, na co człowiek może się nadziać w takiej okolicy - odparł mężczyzna. - Diabłokoty, owadzioocy - nagle uśmiechnął się - nawet zbiegowie. Masz jakieś nazwisko?

- Wilson Cole.

- Bardzo zabawne - podsumował mężczyzna, natychmiast poważniejąc. - A teraz gadaj, jak naprawdę się nazywasz.

- Przecież już powiedziałem.

- I oczekujesz, że uwierzę, iż ktoś taki jak Wilson Cole pojawi się na zadupiu porównywalnym z Roszponką? Pokaż jakieś dokumenty.

- Bortelici odebrali mi wszystkie.

- Niech ci będzie. Kimkolwiek jesteś, już sam fakt, że uciekasz przed nimi, wystarczy, żeby ci pomóc. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Nazywam się Carson Potter. Miło mi cię poznać - wyciągnął rękę, a Cole uścisnął ją bez wahania.

- Gdzie ta twoja chata?

- Jakąś milę stąd.

- Raczej nie masz w niej radia podprzestrzennego?

- A po jaką cholere mi radio podprzestrzenne w chacie rybackiej?

- W takim razie muszę się dostać do Pinokio - powiedział Cole. - Możesz mnie tam zawieźć?

- Jak tylko cię opatrzę - odparł mężczyzna. - Chcesz się skontaktować ze swoim statkiem? Cole pokręcił głową.

- Ten okręt nie zboczy nawet o cal z wyznaczonej trasy, żeby mnie ratować. Mój kapitan za cholere nie nagnie regulaminu, ale przy pierwszym oficerze mógłby uchodzić za mięczaka.

- A niech mnie - wtrącił zaniepokojony Potter. - Nadlatuje jeden z ich wahadłowców.

- Nie zatrzymuj się - pouczył go Cole, machając jednocześnie ręką w stronę przelatującej jednostki.

- Marzy ci się bohaterska śmierć? - odciął się Potter. - Przecież oni nie mnie szukają.

- Nie ukryjemy się przed ich sensorami, nawet gdybyśmy próbowali. Jeśli będziemy zachowywali się normalnie, pomachamy im przyjaźnie, mogą nas wziąć za parę myśliwych albo rybaków. Jeśli jednak zaczniemy się chować, uznają od razu, że jesteśmy wrogami.

- Wyglądasz mi na człowieka, który ma spore doświadczenie w podobnych sprawach.

- Raczej niewielkie.

- Naprawdę jesteś Wilsonem Cole?

- Przecież ci powiedziałem, że ja to ja.

- Ale co robisz, u licha, na samym końcu Obrzeży? Przecież wszystkie najważniejsze bitwy tej wojny toczą się nie dalej niż w połowie drogi do Jądra Galaktyki.

- Lecę tam, gdzie mi każą - odparł Cole.

- A niech ich cholera, jeśli każą takim oficerom, jak Wilson Cole, dekować się na Obrzeżach. Wierz mi, że od dawna nie wierzę w potencjał intelektualny gogusiów, którzy prowadzą nas przez tę pieprzoną wojnę.

- Witam w klubie - powiedział Cole. Dotarli na szczyt przełęczy i zobaczyli tuż przed sobą niewielką chatkę.

- To tutaj - oznajmił Potter. - Może nie wygląda najlepiej z zewnątrz, ale w środku jest całkiem, całkiem. No i mam tam apteczkę. - Przyjrzał się uważniej uciekinierowi. - Kiedy ostatni raz jadłeś?

- Chwila już minęła.

- Mam nadzieję, że lubisz ryby.

- Nienawidzę ryb.

Potter wzruszył ramionami.

- Niech ci będzie. W takim razie mam nadzieję, że lubisz umierać z głodu.

- Jak chcesz się dostać do Pinokio?

- Za chatą mam mały autolot. Powinniśmy nim dolecieć za dwie godziny.

- Dobrze.

- Dwie godziny od startu, nie od tej chwili. Najpierw opatrzę cię tak, jak umiem, a potem dam ci skosztować najsmaczniejszych stworzeń z płetwami, jakie kiedykolwiek stworzył nasz Pan.

- Rany i apetyt mogą poczekać, aż dostaniemy się do Pinokio - powiedział Cole.

- Wolalbyś nie dostać infekcji na tej planecie - ostrzegł go Potter. - Twój organizm nie wytworzy odpowiednich przeciwciał, aby ją zwalczyć, o ile nie zostałeś odpowiednio zaszczepiony, a mogę iść o zakład, że nie pomyślałeś nawet o takich pierdołach.

- Dwie godziny nie zrobią wielkiej różnicy.

- Opatczenie ran też nie potrwa długo, a uwierz mi, nie chciałbym znaleźć się w podręcznikach historii jako człowiek, który pozwolił umrzeć Wilsonowi Cole - powiedział twardo Po-

tter. - Nawet jeśli jesteś innym Wilsonem Cole, niż ten, o którym myślę.

- Niech ci będzie - mruknął komandor, gdy dotarli do drzwi chaty. - Zrób to jak najszybciej i zwijajmy się z tego zadupia.

- Zdejmij tunikę, a ja poszukam apteczki - powiedział Potter, otworzył drzwi i zniknął we wnętrzu kabiny.

Cole podążył za nim. W środku zobaczył nowoczesny holowizor, szeroki ślizgacz, który służył za łóżko, dwa krzesła powlekane skórą i jedno z obcego gatunku drewna. Był tam też automat kuchenny, jeden z takich, które potrafią wypatroszyć, wyfiletować i usmażyć każdą rybę bez udziału rąk człowieka. Uznał, że to miejsce jedynie z wyglądu przypominało wiejską chatę, wyposażenie było bez wątpienia miastowe.

- Wygląd zewnętrzny jest rzeczywiście nieco mylący - przyznał Cole. - To lokum musiało cię kosztować niezłą fortunę.

- Stać mnie, to sobie kupiłem - odparł Potter. - Żona zmarła kilka lat temu, a obie córki zginęły podczas bitwy o Diabło III.

- Na służbie czy w cywilu? - Jedna na służbie, jedna w cywilu.

- Z tego, co słyszałem, to była prawdziwa rzeźnia.

- Z punktu widzenia mojego rodu na pewno - rzucił Potter.

- Ale teraz nie mam na kogo wydawać pieniędzy, więc dogadzam sobie. - Otworzył apteczkę. - Siadaj i pozwól mi ocenić stopień poranienia.

Potter spryskiwał i opatrywał kolejne rany, istnienia niektórych Cole nawet nie podejrzewał. Po mniej więcej dziesięciu minutach gospodarz kazał komandorowi nałożyć tunikę.

- A co z nogami i biodrami? - zapytał Potter. - Nie masz tam poważniejszych obrażeń?

- Tylko kilka nacięć.

- Jak ja nienawidzę tych wszystkich zaciętych, milczących macho. Zdejmuj spodnie i pokaż, co tam masz. - Cole nadal nie był pewien, czy powinien to zrobić. - Zdejmuj, przecież będę cię opatrywał, nie obmacywał.

Komandor zsunął spodnie.

- Na biodrze masz cholernie paskudną ranę - poinformował go Potter. - Gdzieś się jej nabawił?

- Chyba kiedy spływałem w dół z boczka strumieniem.

- Nikt ci nie powiedział, że w górskich strumieniach roi się od kamieni?

- Mówili, ale na wszystkich ścieżkach w okolicy roiło się od Bortelitów. No, przynajmniej na tej górze było ich pełno.

- Ale co ty, u licha, porabiasz na Roszponce? Jednego dnia nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy, że istnieją takie owadziookie stwory, a następnego dnia budzimy się i wokół krążą ich setki, jeśli nie tysiące. Cholernie zarozumiałe z nich dranie. I jestem pewien, że raczej nikt ich tutaj nie zapraszał.

- Pochodzą z planety, na której kończą się źródła energii. Wydaje mi się, że chcą podłączyć się do waszych zapasów.

- Mówiąc podłączyć się, miałeś na myśli ich kupno?

- Miałem na myśli to, co powiedziałem.

- Te słowa zabrzmiały w moich uszach jak znakomity powód do wypowiedzenia wojny.

- Toczemy już tę wojnę, gdybyś jeszcze nie zauważył.

- Nie z nimi - zaprzeczył Potter. - Są neutralni. - Już nie są - sprostował Cole. - Tydzień temu przyłączyli się do Federacji Teroni.

- A wy przybyliście, by przepędzić ich z naszej planety?

- A widziałeś kogoś ze mną? - zapytał Cole, uśmiechając się ironicznie.

- Zatem sami musimy się tym zająć i wyrzucić stąd drani - powiedział Potter.

Cole pokręcił tylko głową.

- Po przeciwnej stronie planety wylądował ich okręt, mają na nim tyle broni, że mogą zniszczyć Roszponkę w ciągu sekundy.

- To co mamy robić? Może coś zasugerujesz? - dopytywał się Potter. - Chcesz, żebyśmy siedzieli na tyłkach i czekali, aż nas obrobiją?

- Pracuję nad tą częścią planu.

- Raczej wygląda mi na to, że to oni pracują nad tobą - powiedział Potter. Zakończył odkażanie biodra i zaczął się przypatrywać lewej goleni, potem przeniósł wzrok na prawe kolano i zerknął na kostkę. W końcu wstał. - Dobrze, nie umrzesz mi, zanim dotrzemy do Pinokio. Przynajmniej nie od tych ran.

- To ruszajmy.

- Jesteś pewien, że nie chcesz przedtem nic zjeść?

- Nie cierpię ryb... - przerwał. - Masz może piwo?

- Nie piję.

- No to ruszajmy w drogę. Tylko nie zapomnij zabrać ze sobą broni. Tak na marginesie, nie masz jeszcze czegoś do strzelania?

- Mam palnik, ale zostawiłem go w sklepie - odparł Potter.

- Miał chyba wyciek energii z baterii, nie mogłem dojść, dlaczego.

- Nie ma sprawy. Zadowolimy się tym, co jest pod ręką. - Cole wyszedł na zewnątrz i okrążył chatę. Tam zatrzymał się naprzeciw niewielkiego autolotu. - Naprawdę wierzysz, że to coś uniesie nas obu? - zapytał z powątpiewaniem.

- Raz udało mi się przetransportować nim pięćsetfuntowego diabłoroga do wypychacza zwierząt w Pinokio.

- Nie wątpię - odparł Cole. - Tak samo jak nie wątpię w to, że przytroczyłeś tego diabłoroga do maski.

- Za dużo czasu spędzasz w przestrzeni kosmicznej - ocenił Potter, wsiadając do wnętrza pojazdu. - Patrz.

Wydał komendę głosową i po lewej stronie pojazdu uformowała się całkiem wygodna przyczepka. - Wskakuj i ruszajmy wreszcie do domu.

- Nigdy nie widziałem czegoś podobnego - oświadczył zaskoczony Cole.

- Nie mów, myślałem, że wszystkie pojazdy wojskowe są wyposażone w coś takiego.

- Nie walczymy za dużo na powierzchniach planet.

- Na Obrzeżach też zbyt często nie walczyliście. Ale to się chyba teraz zmieni?

- Ta decyzja nie ode mnie zależy - odparł Cole, gdy autolot zawisł jakieś dwie stopy nad ziemią. - Lecę tam, gdzie mnie wysyłają.

- Oszczędź sobie całego tego gadania o tym, że nie walczyliście zbyt wiele na ziemi i że lecisz tam, gdzie cię posyłają. Teraz jesteś tutaj, rozumiesz?

- Pozwól, że cię poprawię - poprosił Cole. - Lecę tam, gdzie oni powinni mnie posyłać.

- Tak, teraz powiedziałeś coś w stylu Wilsona Cole, o którym tyle słyszałem - powiedział Potter. - Co zamierzasz zrobić, jak już dotrzemy do Pinokio? Wzniesiesz rewoltę?

- Żeby zginęło kolejne pięćdziesiąt tysięcy ludzi? Nie żartuj.

- Co masz zatem zamiar zrobić?

- Ukryję się.

- Skoro tak, mógłbyś się przecież ukryć w mojej chacie.



- Tak, mógłbym.

- Ale nawet nie chciałeś - kontynuował Potter. - Z jakiegoś powodu pragniesz dostać się do Pinokio. Masz zamiar przyłączyć się do swojego tajnego oddziału, prawda?

Cole pokręcił głową.

- Naczytałeś się za wiele taniej sensacji. Mówiłem, zamierzam się tam ukryć.

- W Pinokio mamy całkiem spory arsenał - zasugerował Potter.

- Jeśli nawet jest tam coś podobnego, nie chcę o tym wiedzieć.

- Skoro nie masz zamiaru walczyć z nimi - zachnął się Potter - co w takim razie robisz na Roszponce?

- Uciekam przed nieprzyjacielem.

- Rozumiem, to tajemnica wojskowa, a ty mi nie ufasz - powiedział Potter urażonym tonem. - Jestem w stanie to zaakceptować.

- Słuchaj. Ja nie mam przed nikim żadnych tajemnic. Jak tylko dotrzemy do Pinokio, chcę wysłać sygnał przez radio podprzestrzenne...

- Do naszej floty?

- Nie, do kogoś, kto przebywa na powierzchni tej planety. Potem skorzystam jeszcze z wideofonu i zapadnę się na jakiś czas pod ziemię.

- Na jak długo?

- Nie na długo.

- A co zrobisz potem?

- Potem wrócę grzecznie na pokład „Teodora Roosevelta” i podejmę obowiązki drugiego oficera na trasie patrolu.

- Służysz na „Roosevelcie”? - zapytał Potter. - Ktoś wysoko postawiony musiał się naprawdę nieźle na ciebie wkurzyć.

- Raczej cała masa takich ktosiów - odparł oschle Cole.

- Dam ci znać, jeśli w polu widzenia pojawi się coś ciekawego - zaproponował Potter. - Ale przez najbliższe czterdzieści mil pejzaż nie powinien się specjalnie zmienić.

- I dobrze - powiedział Cole - bo zamierzam się troszkę zdrzemnąć.

- Nie krępuj się.

Kiedy Cole poczuł łagodne szarpnięcie za ramię, w miejscu, w którym najmniej było otarć i ran, miał wrażenie, że zamknął oczy zaledwie przed kilkoma sekundami.

- Dolecieliśmy.

- Gdzie? - zapytał Cole mrugając gwałtownie oczami. - Chcesz mi pokazać coś ciekawego?

- Jesteśmy w Pinokio - powiedział Potter. - A ty wyglądasz, jakbyś bardzo chciał spać.

Cole rozejrzał się i zobaczył, że wylądowali w samym centrum wielkiego miasta, wokół stały wysokie biurowce ciągnące się na przestrzeni kilku przecznic w każdym kierunku.

- Gdzie jest najbliższy punkt kontaktu podprzestrzennego? - zapytał.

- Chyba we wszystkich budynkach mają takie punkty - odparł Potter. - Sam zdecyduj, który wybierzesz.

Wysiedli z autolotu i Cole wmaszerował do najbliższego biurowca. Robot odźwierny wskazał mu pobliski punkt kontaktu podprzestrzennego, a gdy tam dotarł, zza biurka powitał go wzrok siwowłosej kobiety.

- Dzień dobry - powiedział Cole. - Chciałem wystać wiadomość.

- Stanowisko numer trzy jest wolne. Proszę wejść, poczekać na zakończenie skanowania odcisku kciuka i siatkówki oka

celem ustalenia stanu pańskiego konta i powiedzieć automa-  
towi, z kim chce się pan połączyć.

- To sprawa wojskowa - oświadczył Cole.

- Nie ma sprawy, proszę okazać stosowne dokumenty i  
rozmowa pójdzie na rachunek rządu.

- Niestety, nie mam przy sobie dokumentów. - Zatem musi  
pan zapłacić sam.

- Czy ten mundur już nic nie znaczy?

- Mogę sobie kupić ładniejszy w sklepie na naszej ulicy,  
choć nigdy nie byłam w wojsku.

Nagle zza ucha Cole'a dobiegł głos Pottera.

- Nic się nie stało, możesz skorzystać z mojego konta.

- W takim razie musicie obaj wejść na stanowisko - poin-  
struowała ich kobieta.

- Rozumiem.

- Jest jeszcze jeden problem - wtrącił Cole.

- O co znowu chodzi? - Kobieta spojrzała na niego z nie-  
chęcią.

- Chciałbym, aby rozmowa odbywała się w najszerszym  
paśmie z możliwych i była skierowana nie w przestrzeń, ale w  
stronę łańcucha górskiego znajdującego się na południowy  
wschód od tego miasta oraz na kosmodrom po przeciwnej stro-  
nie planety.

- Do tego nie potrzebuje pan transmisji podprzestrzennej -  
wyjaśniła poirytowanym głosem białowłosa.

- A właśnie że potrzebuję - nie odpuszczał Cole. - Chodzi o  
to, by została odebrana na pokładzie okrętu i wahadłowca ob-  
cej konstrukcji. Wiem, że jednostki te odbierają transmisje pod-  
przestrzenne, nie mam jednak pojęcia, czy mają na pokładach  
inne środki komunikacji.

Zmarszczyła brwi i przywołała instrukcję obsługi na holowizor, przewinęła tekst, a potem zatrzymała się na jednej ze stron. Na małym skrawku papieru zapisała czterocyfrowy numer i pchnęła go po blacie w stronę Cole'a.

- To pasmo, w którym musi pan nadawać - stwierdziła oziębłe. - Chce pan ode mnie czegoś jeszcze, czy mogę wracać do pracy?

- Skoro pani już o tym wspomniała, jest jeszcze jedna sprawa - powiedział Cole. - Czy możemy przesać tę wiadomość przez sieć pobliskich planet tak by wróciła na powierzchnię Roszponki, nie pozwalając odbiorcom na zidentyfikowanie prawdziwego źródła?

- Rozpracowanie takiego połączenia to tylko kwestia czasu, ale zaprogramuję stanowisko trzecie tak, by wiadomość krążyła po pobliskich planetach Republiki, zanim wróci tutaj.

- Dziękuję pani.

- Czy to naprawdę już wszystko?

- Przepraszam raz jeszcze, że zająłem tak wiele cennego czasu.

- Jestem tu, by służyć pomocą - kobieta odpowiedziała mu znudzonym, wręcz automatycznym głosem, wracając do pracy na komputerze.

Cole i Potter weszli do budki oznaczonej cyfrą trzy, gdzie nastąpiła weryfikacja stanu konta Roszpończyka.

- Lepiej zostań tutaj - poprosił komandor. - Przyda mi się świadek. Ale po tej rozmowie musisz się ukryć razem ze mną. Nie chciałbym, żeby cię zabili za pomaganie zbiegowi.

- Rób, co masz robić i nie przejmuj się moim losem. Nie dość, że to najbardziej podniecające zajęcie, jakie miałem od kilku lat, to jeszcze mam przeczucie, że trzymając się ciebie, będę mógł pomścić śmierć córek.

Cole postępował zgodnie z instrukcją, którą znalazł w budce, potem przesłał wiadomość przez T-tor, aby nikt nie mógł zidentyfikować jego głosu.

- Wiemy, że Wilson Cole jest waszym jeńcem. Czy umożliwicie mu bezpieczny odlot z powierzchni planety i powrót na macierzystą jednostkę? - Komandor wyłączył T-tor i rozparł się wygodnie na krześle. - Wiadomość dotrze do nich za kilka minut, a potem tyle samo poczekamy na ich odpowiedź.

- Marnujesz czas - stwierdził Potter. - Wiesz przecież, co ci odpowiedzą. Jesteś zbiegiem i nie dostaniesz pozwolenia na opuszczenie powierzchni Roszponki.

- Wiem. Ale chcę mieć to nagrane.

I pięć minut później nagrał, co chciał, kiedy Bortelici, domyślając się, kto jest autorem wiadomości, oznajmili, iż Wilson Cole jest wojskowym szpiegiem i nigdy, pod żadnym warunkiem, nie opuści powierzchni tej planety.

- Świetnie - powiedział Cole, przerywając połączenie. - A teraz znajdziemy wideofon.

- Są tutaj, w holu - powiedział Potter, wskazując automaty.

Cole podszedł do najbliższego, potem odwrócił się do towarzysza.

- Tak, wiem, nie masz ani dokumentów, ani pieniędzy.

- Nie mam. Ale zanim zapłacisz za rozmowę, powiedz mi jeszcze, jaka jest największa sieć informacyjna na tej planecie, bez względu na rodzaj, może być wideo albo holo.

- Największa jest chyba Francesco Organization, ale mamy tutaj także oddział lokalny New Sumatra News. Może na Roszponce to nie potęga medialna, ale mają swoje przedstawicielstwa na kilkuset planetach w regionie.

- I czegoś takiego było mi trzeba. Połącz mnie z nimi.

Potter przeszedł tę samą procedurę identyfikacji co poprzednio, potem połączył się z biurem New Sumatra News i odsunął się, by Cole mógł przemówić prosto do kamery.

- Proszę o połączenie z działem wiadomości.

- Miejskim, planetarnym czy międzysystemowym?

- Nieważne. Daj mi na linię najbardziej kompetentnego reportera, jakiego znasz. Mam tutaj historię na temat dnia.

Po chwili na ekranie pojawiła się twarz młodej kobiety.

- Mówi Cynthia Duvall. W czym mogę pomóc?

- Moja droga, nie mam przy sobie dokumentów, ale proponuję, byś uważnie przyjrzała się mojej twarzy. Mogę ci także przesłać skan mojego kciuka, jeśli zechcesz.

- A po co mi on?

- Żebyś mogła dokonać mojej identyfikacji.

- Myślałam, że kontaktuje się pan ze mną w sprawie jakiejś wiadomości, tak przynajmniej mi przekazano.

- I dobrze ci przekazano. To ja jestem tą wiadomością. A raczej sprawa, o której ci zaraz opowiem.

Jej oczy nagle się rozszerzyły.

- Nawet nie drgnij! - zawołała i chwilę później pojawili się obok niej mężczyzna i kobieta. Cała trójka wpatrywała się w ekran z tamtej strony połączenia.

- Tak, to na pewno on - powiedziała ta druga kobieta.

- Tak, nie mam wątpliwości, że to on - dodał mężczyzna. - Zrobiłem chyba z tuzin materiałów na jego temat w ciągu ostatnich kilku lat. Jak pan się miewa, kapitanie Cole?

- Komandorze - poprawił go Cole. - Chciałbym was prosić o nienamierzenie źródła tego połączenia. Ukrywam się teraz przed Bortelitami, którzy schwytali mnie nie dalej jak wczoraj. Udało mi się uciec z niewoli, ale wróg oświadczył, że nie pozwoli mi się wydostać z tej planety.

- A co pan na niej robi?

- To ściśle tajna informacja.

- Więc dlaczego kontaktuje się pan z nami?

- To świat należący do Republiki, a ja jestem oficerem floty republikańskiej, ściganym przez wrogów naszego systemu. To chyba wystarczająco ważna wiadomość dla każdej sieci informacyjnej? Muszę już uciekać. Proszę, nie szukajcie mnie. Od tego może zależeć moje życie.

Przerwał połączenie.

- W porządku - powiedział do Pottera. - A teraz zmiatajmy z tego budynku, bo jestem pewien, że wbrew obietnicom namierzili nas i zwałą się tutaj za mniej niż pięć minut.

- Gdzie chcesz się teraz udać?

- Gdzieś na przedmieścia. Po drodze musisz zdobyć trochę gotówki, oni mogą nas zlokalizować przez transakcje kredytowe. Wynajmiemy jakiś pokój na kilka dni, może na tydzień.

- Dlaczego nie pojedziemy do mnie?

- W tym momencie wiedzą już, że zapłaciłeś za moje połączenia. To będzie miejsce, od którego zaczną poszukiwania.

- Nie ma sprawy, niech będą przedmieścia - powiedział Potter. - Może tam powiesz mi, o co tutaj, do cholery, chodzi.

- Służę pod niezwykle surowymi, wręcz podręcznikowymi oficerami - wyjaśnił Cole - którzy będą dowodzili, że przekroczyłem uprawnienia, biorąc wahadłowiec i lecąc nim na Roszponkę, gdyż wykryłem na jej powierzchni aktywność nieprzyjaciela. To ludzie, którzy nigdy nie podejmą decyzji o starciu z Bortelitami, jeśli to będzie tylko od nich zależało. Nawet teraz, gdy wiedzą, że Bortel II przeszedł na stronę Federacji Teroni. Gdybym czekał na oficjalne zatwierdzenie rozkazów, Bortelici zdążyliby ogołocić wasze góry i odlecieć z tej planety. A ponieważ znajdują się z nami w stanie wojny, mogą przecież przed

odlotem skazić atmosferę albo wody Roszponki. Dlatego musimy wyrzucić pewną presję na flotę, by szybciej zajęła się sprawą.

- Opowiadając o wszystkim prasie?

- W tym momencie niemal nikt nie zdaje sobie sprawy z tego, że Bortel II nie jest już neutralny, a na powierzchni Roszponki stacjonują jego wojska. Ale już jutro na setkach światów wiadomością dnia będzie to, że schwytali mnie zaraz po wylądowaniu, ale uciekłem im i teraz grożą, że nie pozwolą mi na opuszczenie powierzchni planety. Do jutrzejszego wieczora przynajmniej kilka milionów ludzi zacznie żądać od admiralicji wyjaśnień, dlaczego flota nie robi nic, by uwolnić najczęściej odznaczanego oficera Republiki. A flota, jak to flota, zignoruje te naciski przez dzień albo dwa, ale w końcu będzie musiała ulec i wbrew swojej woli podejmie aktywność, wysyłając siły szybkiego reagowania.

- Naprawdę uważasz, że to zadziała? Cole uśmiechnął się.

- Ja to wiem. Admiralicja nie zamierza mnie ratować, może nawet mieć w dupie, co stanie się z planetą tak mało ważną w sensie strategicznym, ale możesz mi wierzyć, zrobią wszystko, byle ocalić własny image.



## Rozdział ósmy

Znaleźli przytulny, niespecjalnie wyróżniający się dom do wynajęcia w dzielnicy, o której każdy zapomina, ledwie ją minie. Potter zapłacił właścicielowi gotówką za miesiąc z góry, potem razem zaopatrzyli się w żywność na cały tydzień. Cole kupił także kilka cywilnych ubrań. Na koniec zostawili autolot na jednym z podziemnych prywatnych parkingów i korzystając z transportu miejskiego, udali się do nowego lokum.

- Brzydki jak cholera - Potter krytycznie odniósł się do wystroju, gdy rozkładali w kuchennych szafkach jedzenie i jednorazowe naczynia. - I mały.

- Powinieneś pomieszkać jakiś czas na pokładzie okrętu wojennego - odparł Cole z niewinnym uśmiechem.

- Powiedz mi, jak wam się udaje zachować zdrowe zmysły po miesiącach, a nawet latach pobytu w takim ścisku?

- Pracujemy przez cały czas - odparł Cole, zmieniając ubranie. - Wyszukujemy sobie zajęcia, dzięki którym nie mamy ani chwili wolnego czasu, więc nie mamy kiedy zastanawiać się nad tym, że pomimo tego, iż przemierzamy całą galaktykę wzdłuż i w szerz, nasz osobisty wszechświat został zredukowany do siedmiu pokładów o maksymalnych wymiarach sześćset siedemdziesiąt trzy na czterdzieści cztery stopy. - Wrzucił porwany mundur do kuchennego atomizera, usuwając go z tego świata na dobre.

- Wydawało mi się, że wasze okręty są nieco większe.

- Bo są, i to o wiele większe. Ale resztę powierzchni zajmują napędy nadświatłne i przedziały bojowe. - Cole uśmiechnął się w zadumie. - Nawet nie wiesz, jak zazdrościmy załogom luksu-

sowych pasażerskich liniowców tych wszystkich basenów, siłowni i sal balowych.

- Dostęp do których musieli opłacić utratą ręki, nogi, oka albo i kilku członków naraz - dodał Potter.

- Zaciągnij się chociaż na miesiąc na okręt wojenny, potem pogadamy, czy nie uznałbyś tej ceny za wyjątkowo niską.

Wstawili na miejsce ostatnią paczkę.

- Powinniśmy wynająć dom z automatycznym butlerem - powiedział Potter. - Takim, który gotowałby i sprzątał po nas.

Cole pokręcił głową.

- Roboty są za drogie.

- Przecież ci już mówiłem - sam nie wiem, na co wydawać pieniądze.

- Nie zrozumiałeś, o co mi chodziło - przerwał mu Cole. - Wynajęliśmy taką ruinę tylko dlatego, że wygląda jak ruina. Agencja nieruchomości doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Wzięli gotówkę, nie pytając nawet o dokumenty. Wynajmując zrobotyzowany dom, musiałbyś dać przynajmniej tysiąc kredytów zadatku, którego nie zwrócono by ci, dopóki pracownicy agencji nie dokonaliby przeglądu wszystkich automatów.

- I co z tego?

- Masz w kieszeni tysiąc kredytów? - zapytał Cole.

- Dobra, rozumiem twój punkt widzenia. Jeśli płacę czymś innym niż gotówką, mogą mnie wyśledzić... - przerwał. - Naprawdę uważasz, że owadzioocy mają wystarczająco duże wpływy, żeby się o tym dowiedzieć?

- Nie muszą mieć żadnych wpływów - wyjaśnił komandor.

- Media wygrzebią każdą informację na ten temat i podadzą ją do publicznej wiadomości. Bortelici po prostu pójdą ich śladem.

- O tym nie pomyślałem.

- Nikt od ciebie tego nie wymagał. Nigdy wcześniej nie musiałeś uciekać, by ratować życie.

- Jak to jest, kiedy uciekasz?

- O wiele gorzej, niż próbują ci to wmówić tanie czytała i marne filmidła. Jeśli ci się uda, dopada cię potworna nuda, a jeśli nie zdołasz uciec, marzysz o tym, żeby ci było nudno.

Potter rozejrzył się po nowym domu.

- Myślę, że mieścimy się w pierwszej części twojej definicji.

- I miejmy nadzieję, że w niej pozostaniemy.

- Cóż - dodał Potter - jest tylko jeden sposób, abyśmy się o tym przekonali.

Włączył holowizor wbudowany w ścianę przestronnego salonu. Całą przestrzeń pomieszczenia wypełniły widoki rzadkich zwierząt zamieszkujących planetę Peponi.

- Wiadomości - zażądał.

- Dziennik czy programy publicystyczne? - zapytało holo.

- Dziennik.

- Cole ukrywa się na Roszponce! - zagrzmiały głośniki. - Parlament podnosi podatki. Blastery rozorały Szańce w dogrywce.

- Zatrzymaj. Głos umilkł.

- Daj mi więcej wiadomości na temat sprawy Cole'a.

- Skrótowe czy szczegółowe?

- Na początek mogą być skrótowe.

- Właśnie dowiedzieliśmy się, że Wilson Cole, najczęściej odznaczany oficer floty republikańskiej, przebywa na Roszponce. W ekskluzywnym wywiadzie udzielonym reporterom New Sumatra News, komandor Cole przyznał, że ścigają go żołnierze Bortelu II, planety, która w ostatnich dniach zgłosiła swój akces do Federacji Teroni. Jak sam oświadczył, Bortelici zagrozili mu śmiercią, jeśli spróbuje opuścić powierzchnię planety. Trwają

poszukiwania komandora Cole'a, aby potwierdzić jego oświadczenie.

- Oświadczenie, oświadczenie, oświadczenie! - zachnął się Potter. - Przez takie określenia można pomyśleć, że jesteś kłamcą!

- Według ich źródeł Bortelici przybyli na Roszponkę jako neutralni goście, ale ty już wiesz, że to nieprawda. Co ważniejsze, flota też zaraz się dowie. To na razie tylko lokalna wiadomość, ale za parę godzin któryś z dziennikarzy przeszukujących doniesienia z odległych planet zwróci uwagę na moje nazwisko i zacznie się piekielko - komandor pozwolił sobie na uśmiech. - Biedny Góra Fuji. Nie minął nawet dzień od mojego zamustrowania na pokładzie „Teddy'ego R.”, a już musi brać udział w działaniach bojowych.

- Góra Fuji?

- Kapitan Makeo Fujijama - wyjaśnił Cole. - Dowódca „Teodora Roosevelta”.

- Chcesz posłuchać teraz szczegółowego opisu tej wiadomości? - zapytało holo.

- Nie - powiedział Cole i odwrócił się do Pottera. - Powiedzą to samo, tylko ubogacą wiadomość morzem przymiotników i ozdobników.

- Być może - przyznał Potter. - Wracając do Góry Fuji, dlaczego człowiek, który boi się starcia z wrogiem, dowodzi okrętem wojennym?

- Nie boi się - odparł Cole. - Nie zostaniesz dowódcą okrętu wojennego, jeśli jesteś tchórzem. Po prostu nie widzi potrzeby narażania całej jednostki tylko dlatego, że przekroczyłem uprawnienia.

- A przekroczyłeś?

- Nie sędzę... ale mogę się założyć o cokolwiek, że on tak uważa.

- A jeśli to człowiek, który nie dba o opinię publiczną?

- Mam całkowitą pewność, że nic go ta opinia nie obchodzi, ale ktoś na wyższym stanowisku, z ambicjami politycznymi, na pewno poczuje pismo nosem. Dajmy mu kilka dni na ich podbudowanie i... szlag!

- O co chodzi? - zapytał Potter.

- Spójrz na ekran.

Wielki autolot z całą masą sprzętu transmisyjnego sunął przez przedmieścia Pinokio. Zatrzymał się dokładnie na wprost drzwi niczym niewyróżniającego się domku.

- Już tu są! - ryknął Potter. - To nasza kryjówka!

- Uciekajmy tylnym wyjściem - rzucił Cole, znajdujący się już w połowie drogi na zaplecze.

Przebiegli przez podwórko, do alejki pomiędzy dwoma sąsiednimi domami. Nie zdołali nawet dotrzeć do sąsiedniej ulicy, gdy z tyłu usłyszeli głośną eksplozję.

- Co to było, do cholery? - zapytał Potter, stając.

- Nie zatrzymuj się. Powiem ci, jeśli wydostaniemy się stąd cali i zdrowi.

Komandor wybiegł na ulicę i zatrzymał przejeżdżającą nią autolot.

- Bardzo nam się spieszy - powiedział, gdy pojazd zawisł przed nimi, kołysząc się leniwie nad krawężnikiem. - Zapłacimy dwieście kredytów, jeśli zawiezie nas pan do centrum miasta.

- Nie wezmę pieniędzy za pomoc Wilsonowi Cole - oświadczył kierowca. - Wsiadajcie!

- Znasz mnie? - zapytał komandor, gdy wepchnęli się na ciasne tylne siedzenie autolotu.

- Twoje holo wisi chyba wszędzie - wyjaśnił kierowca. - Czy ten wybuch na sąsiedniej ulicy ma coś wspólnego z waszą ucieczką?

- Tak - przyznał Cole. - Znaleźli nas szybciej, niż sądziłem.

- Ale jak? - zapytał Potter.

- Reporterzy musieli śledzić twój autolot, a potem sprawdzili, czy ktoś w ciągu ostatnich kilku godzin nie wynajął domku w tej okolicy. A Bortelici podążali śladem mediów. - Cole skrzywił się. - Wydawało mi się, że dotarcie do tego cholernego autolotu zajmie im co najmniej kilka dni. Musieli dać za tę informację jakąś nagrodę. Miałbym do tych pismaków o wiele większy żal, gdyby nie zginęli przez własną głupotę.

- Gdzie mam pana zawieźć, kapitanie Cole?

- Nie jestem kapitanem - poprawił go Cole. - Czy w Pino-  
kio macie jakieś slumsy?

- Obawiam się, że nie mamy - odparł kierowca. - Może nie jesteśmy najbogatszą miejscowością, ale wszędzie jest czysto i schludnie... Na południu mamy bazę wojskową, może tam pana zawiozę?

- Nie. Proszę po prostu jechać przez miasto. Powiem panu, gdzie się zatrzymamy.

- Dlaczego nie chcesz ukryć się w bazie wojskowej należącej do Republiki? - zapytał Potter.

- Bo nie chcę znaleźć się w sytuacji, gdy znowu zaczną mi wydawać rozkazy. Dopóki przebywam na powierzchni Roszponki, muszę mieć swobodę działania.

- Jeśli chce pan zorganizować partyzantkę, zgłaszam się na ochotnika - oświadczył kierowca. - Chyba wszyscy znajomi też się przyłączą.

- Sami zobaczcie, ja robię wszystko, żeby przeżyć, a wy marzycie o własnej śmierci - powiedział Cole. - Doceniam waszą

odwagę i patriotyzm, ale na Roszponce wylądował okręt wojenny Bortelu II, który roznieś w sekundę każde siły, jakie przeciw niemu rzucicie.

- Dlaczego oni pana ścigają?

- Najpierw chcieli mnie uciszyć - wyjaśnił Cole. - Teraz chyba mszczą się za to, że powiadomiłem całą planetę o ich niedawnym przystąpieniu do Federacji Teroni.

- Słyszałem o tym w dziennikach - przyznał kierowca - ale było w tym więcej gdybania i domniemań niż faktów.

- Może dlatego, że ktoś z waszego rządu zawarł z nimi cichą umowę i nie chce z niej zrezygnować tylko dlatego, że stali się wrogami.

- Czy to sprawdzona wiadomość? - zapytał dość ostro kierowca.

- Niestety, tylko domniemanie. Ale prawdopodobne. Może większość waszych przywódców to dobrzy, moralni, bogobojni ludzie, ale pamiętaj, że wystarczy jedna czarna owca w tym gromie, by sprzedać was przeciwnikowi.

- Cóż, jeśli Bortelici oglądają te same wiadomości, znikną stąd, zanim w okolicy pojawią się okręty Republiki.

- Nie sędzę - powiedział Cole.

- Dlaczego?

- Macie na Roszponce coś, czego oni desperacko pragną - wyjaśnił Cole. - Bortelici wiedzą, że jeśli teraz tego nie zdobędą, nigdy nie będą mogli po to wrócić.

- Uważasz zatem, że będą siedzieli na tyłkach i czekali na pojawienie się naszej floty?

- Nie mam bladego pojęcia, co zrobią - przyznał komandor. - Na pewno są na tyle głupi, żeby uznać, iż mogę być idealnym materiałem na zakładnika. Moje życie w zamian za to,

czego potrzebują - zaśmiał się ironicznie. - Szkoda tylko, że flo-cie na mnie tak nie zależy.

- Cały czas staram się dojść do tego, w jaki sposób udało im się znaleźć nas tak szybko - wtrącił Potter.

- Jak tylko dziennikarze dowiedzieli się, że to ty opłaciłeś moje rozmowy podprzestrzenne, wszystko zaczęło im pasować - powiedział Cole. - I to był nasz błąd. Oni nie wzięli pod uwagę tylko tego, że Bortelici idą za nimi krok w krok.

- Wojna toczy się z dala od Roszponki - powiedział Potter.  
- Tutaj nikt nie myśli jej kategoriami.

- Skoro uciekacie przed naszym wspólnym wrogiem, może zatrzymacie się na jakiś czas u mnie? - zaproponował kierowca.

- Masz rodzinę? - zapytał Cole. - Żonę i trójkę dzieci.

- W takim razie dzięki za dobre chęci, ale nie będziemy niepotrzebnie ich narażali. - To żaden kłopot.

- Zapomnij o tym.

- To mój obowiązek! - oświadczył z uporem kierowca.

- Coś ci powiem. Skontaktuj się ze swoją żoną i oświadcz jej, że zamierzasz sprowadzić do domu człowieka, którego poszukuje każdy Bortelita na tej planecie. Zapytaj, czy z chęcią poświęci za mnie życie trojga własnych dzieci. Jeśli się zgodzi, pomieszkamy u ciebie z radością.

- Zanim dojedziemy, aktywuje wszystkie systemy obronne domu i ustawi je na zabijanie - mruknął kierowca. - Ale ja muszę coś zrobić! To jest wojna. Nie mogę przecież odwrócić się plecami do człowieka, na którego poluje nasz wspólny wróg.

- Możesz coś zrobić - uspokoił go Cole. - Które miasto leży najbliżej Pinokio? Nie chodzi mi o przedmieścia, ale osobną miejscowość.

- Cynamon, jakieś czterdzieści mil na północ.



- Dobry Boże, kto wam wymyślał te nazwy? - jęknął Cole.  
- Niech będzie. Kiedy nas wypuścisz, nie odjeżdżaj od razu, poczekaj przynajmniej dwadzieścia minut, żebyśmy zdążyli oddalić się na wystarczającą odległość. Potem skontaktuj się ze wszystkimi wielkimi redakcjami i poinformuj je, że widziałeś, jak udawaliśmy się do Cynamonu... - przerwał. - Nie, czekaj. Będą potrzebowali przynajmniej godziny, żeby ustalić ponad wszelką wątpliwość, że nie zginęliśmy w eksplozji. Zdejmijmy ich sobie z pleców na tak długo, jak się da. Poczekaj, aż w wiadomościach pojawią się informacje o tym, że zniknęliśmy bez śladu i nikt nie wie, co się z nami stało. Dopiero wtedy o wszystkim im opowiedz. - I nie mogę zrobić dla was nic więcej?

- Uwierz mi, że to jedna z największych przysług, jakie mi kiedykolwiek zrobiono - zapewnił go Cole.

Jechali w kompletnej ciszy przez kilka następnych minut.

- Proszę powiedzieć, kiedy - poprosił kierowca, gdy zbliżyli się do centrum.

- Teraz - oznajmił Cole po chwili.

Pojazd zatrzymał się i ostrożnie opadł na nawierzchnię ulicy. Cole pochylił się i uścisnął dłoń kierowcy.

- Możliwość poznania pana była dla mnie prawdziwym zaszczytem - oświadczył tamten. - Gdyby potrzebował pan pomocy, wystarczy zapytać o...

- Nie! - Cole ryknął tak głośno, że wszyscy podskoczyli.

- Co się stało?

- Jeśli nie znam twojego nazwiska, nikt go ze mnie nawet siłą nie wydobędzie - wyjaśnił komandor i odwrócił się do Pottera. - Z tego też powodu nie przyglądaj się autolotowi, gdy będziemy odchodzili. Lepiej, żebyśmy nie znali jego numeru rejestracyjnego ani marki. - Potem znów odezwał się do kierowcy:

- Dzięki ci, przyjacielu, za okazaną pomoc. Postaraj się uzyskać połączenie, którego nie da się od razu namierzyć. A potem zapomnij, że nas w ogóle widziałeś.

Wysiadł z pojazdu i ruszył przed siebie szybkim krokiem. Potter ruszył w ślad za nim.

- Gdzie idziesz? - zapytał po chwili.

- Byle dalej od ulicy - odparł Cole. - Pozbyłem się munduru, ale moja twarz jest podobno wszędzie.

Przystanęli za rogiem sporego biurowca, gdzie Cole, wykorzystując publiczny holowizor, połączył się z jego centralą.

- Mają biuro do wynajęcia na piętnastym piętrze - oświadczył - a gdzieś tu w pobliżu, chyba w piwnicy, powinny być pomieszczenia dla sprzętaczy. Po zapadnięciu zmierzchu raczej nikt nie będzie z nich korzystał, ale na dłuższą metę nie da się tam ukrywać. Będziemy potrzebowali też jedzenia, ale nie widzę na planie budynku żadnej kafeterii ani restauracji.

- Rozumiem, że chcieli cię dopaść gdzieś na przedmieściach - wtrącił Potter - ale naprawdę nie sądzę, żeby mogli zaatakować w samym centrum.

- Zmiotli z powierzchni ziemi całą załogę wozu transmisyjnego, i to najprawdopodobniej podczas relacji na żywo - przypomniał mu Cole. - Naprawdę uważasz, że po czymś takim zależy im jeszcze na utrzymaniu w tajemnicy, iż przystąpili do Federacji Teroni?

Wjechali windą na piętnaste piętro. Drzwi prowadzące do pustego biura były otwarte. Weszli do środka, zamknęli je za sobą i usiedli.

- I co teraz? - zapytał Potter.

- Teraz będziemy czekali, aż zorientują się, że nie zdołali nas zabić, a potem nasz wybawca nakarmi ich kitem o wyprawie do Cynamonu.

- Cholera! - jęknął Potter. - Uciekaliśmy w takim pośpiechu, że zapomniałem zabrać fuzji sonicznej. Dopiero teraz zorientowałem się, że jej nie mam.

- Jeśli już musisz żałować, że coś zostawiłeś niech to będą nasze zapasy jedzenia.

- Nie jestem głodny.

- Ja też nie jestem, ale już wkrótce poczujemy głód i będziemy musieli wyleźć z tej kryjówki, żeby zdobyć cokolwiek do jedzenia.

- Przecież mogę wyjść sam, przyniosę ci coś.

- Nie miałeś do czynienia ze zbyt wieloma podobnymi sytuacjami, prawda? - zapytał Cole. - Przecież nie mnie namierzili na trasie z agencji wynajmu, tylko ciebie. Wszyscy już wiedzą, jak wyglądasz.

- W mediach tak, ale owadzioocy wcale nie muszą tego wiedzieć.

- I uważasz, że dziennikarze zostawili taką wiadomość tylko dla siebie? - zdziwił się komandor. - Do tej pory twoja gęba zdążyła pojawić się na wszystkich dyskach i holowizorach tej planety.

- Ale to są ludzie! - zaprotestował Potter. - Nie pomagaliby wrogowi!

- Czy fakt, że relacje z pola walki pomagają naszym wrogom, kiedykolwiek przeszkadzał mediom? - zapytał Cole. - Zostaniemy tutaj do zmroku a potem wyjdziemy po cichu, żeby nie natknąć się na roboty sprzątające budynek. Kto wie, kogo zaalarmują, jeśli wykryją obecność ludzi w pomieszczeniu, które jest przeznaczone do wynajmu?

Jakąś godzinę później biura na piętrze zaczęły pustoszeć. Poczekali do chwili, kiedy ostatnie zostało dobrze zamknięte, aby nikt ich nie zauważył i nie doniósł władzom, a potem zje-

chali windą pneumatyczną prosto na parter. Tam Cole zaczął się rozglądać za schodami prowadzącymi do piwnicy albo inną drogą, którą mogliby się tam dostać. W holu nadal panował spory ruch i szybko zauważył, że staje się obiektem zainteresowania wielu osób.

Nagle wydobywający się z T-tora, obco brzmiący głos przerwał wszechobecną ciszę.

- Zostań tam, gdzie jesteś, Wilsonie Cole - z maszyny popłynęły mechanicznie monotonne słowa. - I trzymaj ręce na widoku.

Tłum rozstał się, a pojedynczy Bortelita uzbrojony w terrorński karabin pulsacyjny ruszył ku zbiegom od strony głównego wejścia.

- Wszyscy uznali, że uciekliście do Cynamonu - ciągnął żołnierz - ale to był tylko wybieg. Oszukałeś nas już raz, przy pierwszej próbie ucieczki, więc założyłem, że zrobisz to po raz kolejny. Pomyślałem, że ukryjesz się tam, gdzie nikt się ciebie nie spodziewa, czyli w centrum Pinokio. - Machnął bronią w stronę tłumu. - Zabiję każdego, kto spróbuje się do mnie zbliżyć. Ten człowiek jest zbiegłym jeńcem i zabieram go ze sobą.

- Gówno prawda! - krzyknął ktoś w tłumie i Cole usłyszał brzęczenie palnika. Nie widział, skąd strzelano laserem, ale broń Bortelity w momencie rozgrzała się do czerwoności i musiał ją puścić. Sekundę później jego ciało zniknęło w kłębowisku rozwścieczonych mężczyzn i kobiet, którzy zaczęli okładać go tak zaciekle, że gdy odstępili, z trudem dało się rozpoznać zwłoki.

- Nigdy nie lubiłam tych owadziokoch pokrak - oznajmiła któraś z kobiet, otrzepując się z pyłu. - Obrzydliwe stwory.

- Jeśli Bortel II chce wojny, to ją dostanie! - krzyknął ktoś inny.

Cole zauważył wysokiego mężczyznę, któremu zza paska wystawała kolba pistoletu laserowego, gdy ten ruszył ku niemu.

- Przepraszam pana bardzo - powiedział tamten. - Nie wiem, dlaczego ta pokraka wzięła pana za Wilsona Cole, który, jak wszyscy wiedzą, stacjonuje gdzieś w Jądrze Galaktyki.

- Słyszałam, że przenieśli go do papierkowej roboty na De-lurosie VIII - wtrąciła ochoczo jedna z kobiet.

- Cóż, gdziekolwiek komandor by teraz przebywał, z pewnością nie jest to Roszponka - dodała inna. - Jak ten Bortelita mógł wpaść na tak idiotyczny pomysł?

- Niech ktoś wezwie ekipę sanitarną i posprząta ten burdel - zaproponował mężczyzna w średnim wieku, wycierając okrwawione kostki w lśniąca białą chusteczkę do nosa. - Nie chcecie chyba, żeby policja zamknęła nasz biurowiec z powodu przekroczenia norm sanitarnych.

- Posprzątajmy i zbierajmy się do domu, zanim wpadnie tutaj jeszcze jakiś śmieć - powiedziała trzecia kobieta, odwracając się do Cole'a. - Wygląda mi pan na obcego w naszym mieście, sir. Pozwoli pan, że okażę mu szczyptę naszej rozpońskiej gościnności i zaproszę pana razem z przyjacielem na kolację do mojego domu.

- Ja też zapraszam - dodał zaraz ktoś inny i po chwili wszyscy obecni w holu zaczęli się przekrzykiwać, chcąc ugościć Cole'a i Pottera.

- Jestem niezwykle wdzięczny za te wszystkie oferty - w końcu sam komandor zdołał zabrać głos. - Ale wystarczająco wiele dla nas już zrobiliście. Nie chcę ściągać większych kłopotów na wasze głowy... a zwłaszcza na głowy waszych małżonków - dodał z sardonicznym uśmiechem.

- Zatem chodźcie do mnie - odezwała się pierwsza kobieta. - Ja nie mam męża.

- To może być niebezpieczne dla pani - ostrzegł ją Cole, robiąc poważną minę.

- Czyż odrobina niebezpieczeństwa nie jest podstawą bytu każdego oficera armii? - zapytała przekornie.

Cole wzruszył ramionami.

- W takim razie dziękuję, przyjmujemy zaproszenie.

- Mieszkam w obrębie centrum, dlatego korzystam z transportu miejskiego, ale w dzisiejszych czasach nie wiadomo, na kogo się człowiek może natknąć na przystanku, a mnie zależy na pokazaniu miasta od najlepszej strony, dlatego mam pytanie, czy ktoś może podrzucić naszych gości, oczywiście w drodze wyjątku, do mnie?

Zasypano ją ofertami, wybrała najlepszą spośród nich i chwilę później mały łysawy facecik zaparkował wóz tuż przed wejściem do biurowca. Ruszył z kopyta, ledwie Cole, Potter i kobieta wsiedli do środka.

Jazda do jej apartamentu zajęła mniej niż pięć minut - mieszkała na siódmym piętrze - i dosłownie chwilę później Cole mógł się rozkoszować pierwszym posiłkiem od momentu ucieczki z bortelickiego obozu.

- A teraz marsz spać - zakomenderowała kobieta, gdy skończyli jeść i przeszli do salonu. Sama usiadła przy oknie. - Ja stanę na warcie.

- Ale obudzi nas pani, jak tylko zobaczy coś niezwykłego, na przykład Bortelitów albo innych obcych?

- Obiecuję.

Cole spojrzał na Pottera.

- Ty bierzesz pokój gościnny, ja prześpię się tutaj, na kanapie.

- W gościnnym wystarczy miejsca dla was obu - wtrąciła kobieta.

- Jeśli zostanę tutaj, będę gotowy do działania o kilka sekund wcześniej, oczywiście gdyby coś się działo.

Wzruszyła ramionami.

- Jak pan uważa, panie Smith.

Cole przyglądał jej się może przez minutę.

- Dobrzy ludzie mieszkają na Roszponce. Gdybym był oficerem floty republikańskiej, czułbym ogromną dumę, mogąc służyć takiemu narodowi.

Potter wyszedł do drugiego pokoju. Cole zamierzał posiedzieć jeszcze chwilkę i porozmawiać z gospodynią, ale zmęczenie pokonało go błyskawicznie. *Zamknę oczy tylko na chwilkę, żeby odpoczęły, obiecał sobie, potem z nią porozmawiam. Tyle tylko mogę zrobić dla tej dzielnej kobiety, która zaryzykowała dla mnie swoje życie.*

Obudziło go łagodne szarpnięcie za ramię. Rzucił okiem za okno. Wciąż było ciemno.

Natychmiast zerwał się na równe nogi.

- Gdzie oni są? - zapytał. - Zdołali już dostać się na to piętro? Ilu ich pani widziała?

Uśmiechnęła się.

- Spokojnie, kapitanie Cole. Już po wszystkim. Mogę nawet wyjawić panu moje imię. Jestem Samantha.

- O co tu chodzi? - zapytał zdziwiony.

- Widziałam wszystko w holo - wyjaśniła. - Flota uderzyła, kiedy pan spał. Zniszczyła okręt Bortelitów i zabiła z setką ich żołnierzy w górach. Reszta się poddała, tak na prowincji, jak i tutaj, w mieście... - przerwała. - Jedynym powodem, dla którego pana zbudziłam było to, że flota ogłosiła, iż całą operację przeprowadzono, by pana uratować. Skontaktowałam się więc z naszym rządem i poinformowałam, że znajduje się pan u

mnie. - Uśmiechnęła się do niego. - Wydawało mi się, że lepiej będzie, jeśli nie przywita pan delegacji zaspary.

- Dziękuję.

- Mam nadzieję, że wyślą po pana przynajmniej gwardię honorową - dodała Samantha.

- O to mogę się założyć - mruknął Cole.



## Rozdział dziewiąty

Cole siedział w sekretariacie, nudząc się nieziemsko od co najmniej godziny. Zrobili to celowo - tego był pewien - żeby zaczął się bać albo denerwować, ale ten plan raczej im nie wypadł. Czuł bowiem wyłącznie narastającą irytację.

Znajdował się aktualnie na pokładzie „Kserksesa”, okrętu flagowego floty, który pojawił się na Obrzeżach ledwie piętnaście godzin wcześniej. Cholernie piękny okręt, tak podsumował go Cole. W jego wnętrzu z łatwością zmieściłoby się sześć jednostek porównywalnych rozmiarami z „Teodorem Rooseveltem”, no i wciąż wyglądał jak wyjęty spod igły. Na pokładzie miał wyłącznie najnowocześniejszą broń, a wystrój wewnątrz był tu naprawdę imponujący. Naszła go nawet myśl, że wewnątrz gigantycznego kadłuba „Kserksesa” próżno by szukać choć jednego kłaczka kurzu.

Spojrzał na ścianę pomieszczenia. Wisiało na niej holo Johna Ramsaya, bezsprzecznie najlepszego Sekretarza Republiki oraz nieco mniejsze trójwymiarowe wizerunki pięciu ostatnich admirałów floty, poprzedników kobiety siedzącej teraz w gabinecie po drugiej stronie szczelnie zamkniętych drzwi. Przeniósł wzrok na sierżanta okupującego biurko pod przeciwną ścianą. Młody człowiek odpowiedział mu uśmiechem.

- Masz może coś do czytania? - zapytał Cole.

- Obawiam się, że nie, komandorze.

- A kawę?

- Może pan sobie kupić w mesie, po zakończeniu spotkania

- odparł sierżant.

- A jeśli zaślinię z głodu i pragnienia, zanim zdążę tam dotrzeć?

- Spokojnie, komandorze. Admirał zaraz pana poprosi. - Na jego biurku rozbłysła kontrolka. - Prawdę powiedziawszy, prosi pana już teraz.

Cole wstał, poczekał, aż soczewkowane drzwi rozsuną się i wszedł do gabinetu admirał Susan Garcii. Było to bardzo małe pomieszczenie, jeśli brać pod uwagę standardy planetarne, ale jak na okręt kosmiczny miało ogromne rozmiary. Piętnaście na piętnaście stóp powierzchni podłogi i najmarniej osiem do sufitu. Za wielkim biurkiem z drewna obcego gatunku, które unosiło się nad wykładziną, siedziała admirał - kobieta już po czterdziestce o uderzającym wyglądzie, czarnych jak węgiel włosach, niewiele jaśniejszych oczach, które przesywały Cole'a od momentu wejścia, łagodnych ustach i mocno spiczastej brodzie.

Jeszcze przez chwilę wpatrywała się w niego ze sporą rezerwą.

- Zranił się pan w rękę, panie Cole - zapytała - czy po prostu zapomniał pan, jak wygląda przepisowy salut?

Zamaszyście przytknął dłoń do czoła.

- Tak, panie Cole - kontynuowała admirał floty - widzę, że znów pan to zrobił.

- Słucham?

- Kto powiedział, że do pańskich kompetencji należy zabranie wahadłowca i dwóch oficerów z pokładu „Teodora Roosevelta”, aby dokonać wypadu na Roszponkę?

- Melduję, że w tym czasie pełniłem funkcję oficera dyżurnego - odparł Cole. - Oficer pokładowy dostrzegła okręt wojenny Bortelitów zbliżający się do Roszponki. Jak powszechnie wiadomo, planeta ta należy do światów Republiki, a Bortel II przystąpił w minionym miesiącu do Federacji Teroni. Zważywszy na te okoliczności, uznałem, iż moim obowiązkiem jest sprawdzenie, czego wróg szuka na naszym terytorium.

- Czy obowiązek nakazał panu także opuszczenie waha-  
dłowca natychmiast po lądowaniu i wystąpienie przeciw dwóm  
setkom uzbrojonych po zęby Bortelitów?

- Czy oficerowie nie powinni wykazywać się inicjatywą? -  
odparował Cole.

- Niekoniecznie - zgasiła go admirał. - Zazwyczaj ktoś po-  
tem płaci życiem za ich wyskoki.

- Zapamiętam to sobie na przyszłość, madam. - Zamknij  
się pan, do cholery, panie Cole – nie wytrzymała w końcu.

Staął na baczność i czekał na dalszy ciąg.

- Dlaczego zaalarmował pan całą lokalną prasę o zaistnia-  
łej sytuacji? - zapytała po dłuższej chwili.

- Na ich planecie pojawili się żołnierze wroga. Uznałem, że  
mają prawo o tym wiedzieć.

- Oni wiedzieli o pobycie Bortelitów na Roszponce długo  
przed tym, zanim pan tam się pojawił, panie Cole - spoglądała  
na niego, z trudem powstrzymując złość. - Nie pomylę się, jeśli  
powiem, że zrobił pan to tylko dlatego, by podgrzać sytuację,  
licząc w duchu, iż rosnące naciski zmuszą w końcu admiralicję  
do podjęcia stosownych działań?

- To nie tak, madam - odparł. - W czasie wojny można po-  
święcić każdą jednostkę, nie ma też ludzi niezastąpionych.

- Potrafi pan kłamać w wielkim stylu, panie Cole - powie-  
działa. - Ale proszę nie obrażać mojej inteligencji kontynuowa-  
niem tej gierki.

- Zapewniam panią, madam, że...

- Dość tego, panie Cole! - podniosła głos. - Naprawdę nie  
chce pan, abym została pańskim wrogiem. Dlatego radzę po  
dobroci, skończ, człowieku, pleść bzdury i opowiedz, krótko i  
dokładnie, dlaczego to wszystko zrobiłeś?

- Tak jest, madam! Dostrzegłem potencjalnie niebezpieczną sytuację i zareagowałem.

- Dlaczego nie poinformował pan o wszystkim kapitana Fujiama?

- Kapitan spał, madam.

- A pan uznał, że informacja o tym, iż do jednej z naszych planet zbliża się wrogi okręt wojenny, nie jest na tyle ważna, aby go obudzić?

Cole mierzył ją przez chwilę wzrokiem, zastanawiając się jednocześnie, na ile może być szczerzy w tej rozmowie. W końcu powiedział:

- Zarówno pani, jak i ja doskonale wiemy, że kapitan Fujiama i komandor Podok nie zaryzykowałiby bezpieczeństwa „Teodora Roosevelta” w takiej sytuacji. Z pewnością doszliby do wniosku, że na powierzchni planety czeka na nas jeszcze dziesięć innych okrętów wroga. Wiedząc, czym by się to skończyło, wolałem wybrać lot wahadłowcem.

- Rzykując zestrzelenie i rozpylenie na atomy przez nieporównywalnie potężniejszą jednostkę.

- Nie ryzykowaliśmy niczym, madam - wyjaśnił Cole. - Wahadłowiec nie stanowił dla nich zagrożenia. Mamy tutaj, na Obrzeżach, ogromną przewagę liczebną nad wrogiem. Gdyby zniszczyli nasz pojazd, musieliby się liczyć z natychmiastową odpowiedzią. - Admirał przyglądała mu się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. - No, ale mogli rozważyć i takie rozwiązanie - dodał szybko.

- Proszę kontynuować, panie Cole.

- Po wylądowaniu załatwiłem możliwość bezpiecznego opuszczenia planety przez komandora Forrice'a i porucznik Mboję, aby nikt inny nie narażał się na ryzyko.

- Oboje zostali już dokładnie przesłuchani, panie Cole, znam więc każdy szczegół załatwienia im możliwości bezpiecznego opuszczenia Roszponki.

- Oficerowie zobowiązani są do improwizowania, zwłaszcza w szczególnych okolicznościach, madam.

- Co czasami bywa o wiele bardziej niebezpieczne od wykazywania przez nich inicjatywy - wtrąciła oschle. - Proszę kontynuować.

- Po ucieczce i przedostaniu się do Pinokio, zrozumiałem, że muszę powstrzymać Bortelitów, zanim zdołają wykonać swoją misję, więc zaaranżowałem wszystko tak, aby flota dowiedziała się o moim pobycie na Roszponce.

- Precyzyjniej to ujmując, doprowadził pan do sytuacji, w której dziesiątki miliardów obywateli Republiki dowiedziało się, że pan tam jest, a co więcej, ryzykuje życiem i walczy, licząc na to, że naciski płynące z ich strony zmuszą mnie do wydania rozkazu rozpoczęcia misji ratunkowej.

- Czuję się niezwykle poruszony, że tak wielu ludzi interesuje się moją skromną osobą - powiedział Cole. - Ale wiem też, że flota pozostaje obojętna na uczuciowe uniesienia zwykłych obywateli. Jestem pewien, że atak na Roszponkę przeprowadzono wyłącznie, aby uniemożliwić naszym wrogom zdobycie dodatkowych źródeł energii, której tak im brakuje.

Znów zapadła długa chwila milczenia, podczas której admirał przyglądała mu się uważnie.

- Niech pan nie próbuje bawić się w polityka, panie Cole. Obawiam się, że Galaktyka nie jest jeszcze na to gotowa.

- Nie interesuje mnie polityka, madam - odparł Cole. - Ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby pokonać Federację Teroni.

- To chyba pierwsze prawdziwe stwierdzenie, jakie padło dzisiaj z pańskich ust - powiedziała admirał floty. - Ale powiem panu jedno. W moich uszach i tak zabrzmiało jak kolejny frazes.

- Przykro mi, że tak pani uważa, madam. - Może pan sobie darować takie uwagi, panie

Cole - uprzedziła go. - Sprawiał pan, że wzięto flotę pod lupę, nie po raz pierwszy zresztą. Zaczynam podejrzewać, że miał pan całkiem spory udział w przeniesieniu moich szacownych poprzedników na wczesne emeryturki. - Już miał zamiar sprostować, ale uniosła rękę w ostrzegawczym geście. - Ani słowa, panie Cole. - Westchnęła głośno, otworzyła szufladę biurka i wyjęła niewielkie pudełeczko. - Wie pan, co się w nim znajduje?

- Nie mam pojęcia, madam.

- Akurat - powiedziała. - To Medal za Odwagę. Pański czwarty, jeśli się nie mylę.

- Dziękuję, madam - odparł Cole. - To dla mnie prawdziwy zaszczyt.

- Osobiście wolalabym pana zdegradować, niż nagradzać kolejnym odznaczeniem, ale prasa podchwyciła już tę historyjkę, a ciemny lud wszystko kupi, bo pragnie bohaterów. Dlatego trafiłam w to miejsce, oddalone o pół galaktyki od frontów, na których toczy się prawdziwa wojna, aby wręczyć panu medal za tak jaskrawy przejaw braku subordynacji. Kimkolwiek był człowiek, który jako pierwszy powiedział, że wojna jest piekłem, z pewnością nie rozumiał głębi śmieszności tego powiedzenia. Wojna to obłąd. - Odstawiła pudełko na blat biurka. - Otrzyma pan to odznaczenie podczas oficjalnej ceremonii, jeszcze dzisiaj wieczorem. Tylko proszę się tak nie puszyć przed reporterami.

- Gdzie odbędzie się ceremonia wręczenia medalu?

- Na Roszponce, a gdzieżby indziej. Kapitan Fujijama także otrzyma medal, a reszta załogi „Teodora Roosevelta” oficjalnie

pochwały z wpisem do akt... - przerwała na chwilę. - Oczywiście w uzasadnieniach przyznania medali i pochwał nie znajdzie się nawet słowo o tym, że zostali zmuszeni wbrew swojej woli do dokonywania tych heroiczych czynów ani wspomnienie o takim drobiazgu jak odwołanie ze strategicznych misji trzech innych okrętów, aby stanowiły wsparcie dla „Roosevelta”. Pan, komandorze Cole, pozostanie do czasu lądowania na pokładzie „Kserksesa”. Na dół zabierze pana mój osobisty wahadłowiec.

- Pod strażą? - zapytał kwaśno.

- Można tak powiedzieć - odparła poważnym głosem. - Nie będzie pan z nikim rozmawiał i żadnego bratania się z tłumami ani przed, ani po ceremonii. Nauczy się pan też, i to na pamięć, przemówienia, które przygotowali moi ludzie. Jeśli dostarczy pan flocie jeszcze jeden powód do wstydu, nie tylko zdegraduję pana, ale i skażę na służbę na najgorszej krypie. Proszę spojrzeć mi prosto w oczy i powiedzieć, że uważa pan te słowa za żart.

- Sądzę, że mówi pani całkiem serio, madam. - Ja, w odróżnieniu od pana, nie jestem cierniem w nikim tyłku. A teraz proszę przebrać się w mundur galowy i nie zapominać, że w obecności reporterów jesteśmy parą dobrych przyjaciół.

- Nie ma problemu, madam.

- I zamknij się pan wreszcie, panie Cole - dodała szybko. - Ani pan, ani ja nie musimy udawać naszej przyjaźni aż do ceremonii. Może pan odejść.

Odwrócił się i opuścił gabinet admirała floty. Dopiero w windzie pneumatycznej, gdy jechał do swojej tymczasowej kwatery, przypomniał sobie, że nie zaskłutował na pożegnanie.

## Rozdział dziesiąty

O co chodzi, chorąży Marcos? - powiedział Cole. - Powinien pan zapytać o pozwolenie wejścia na pokład, sir - odparła Rachel.

- Wydaje mi się, że już raz odbywaliśmy rozmowę na ten temat. Mój wahadłowiec znajduje się w odległości tysiąca mil od tego okrętu. Gdzie indziej mógłbym sobie pójść?

Wzruszyła ramionami.

- Witam na pokładzie, sir - uścisnęła mu dłoń. - I dziękuję za pochwałę.

- Jeśli dobrze pamiętam, wtedy też uścisnąłś moją dłoń - przypomniał jej. - Zakładam, że wciąż mam tę samą kabinę?

- Oczywiście, a gdzieżby pan miał się podziać?

- Sam nie wiem, może w anclu? Roześmiała się.

- Ale pan ma specyficzne poczucie humoru, sir. *Mam nadzieję, że Góra Fuji też je ma*, pomyślał

Cole i dodał na głos:

- Cały ja, istna beczka śmiechu.

- Tak na marginesie, kapitan chce pana zobaczyć, i to natychmiast po zaokrętowaniu.

- Dobrze - odparł Cole. - Ale najpierw muszę zanieść do kabiny kilka rzeczy.

Zasalutowała.

- Cieszę się, że znów jest pan z nami.

Cole zjechał windą. W jednym z wąskich korytarzy na dolnym pokładzie natknął się na porucznika Sokołowa.

- Witamy ponownie na naszej jednostce! - zawołał oficer. - Kapitan pana szuka.



- Dziękuję za informację - odparł Cole. Dotarł do swojej kabiny, poczekał, aż skanery w drzwiach zidentyfikują go i wszedł do wnętrza. Zdjął mundur galowy, odwiesił go do szafy, a potem schował medal do szuflady bieliźniarki, gdzie spoczął obok trzech innych, identycznych odznaczeń. Ktoś zapukał do drzwi. Wydał rozkaz, aby się otworzyły i do kajuty wkroczył Forrice.

- Ucieszyłem się, kiedy powiedzieli, że mimo wszystko przeżyłeś - oznajmił Molarianin. - Nie dawałem ci zbyt wielu szans, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni.

- Widzę, że strasznie się tutaj emocjonowaliście tymi wydarzeniami - powiedział Cole. - Ale przecież na tym polega nasza robota, u licha.

- Zanim zapomnę, Góra Fuji chce cię widzieć.

- Jezus! Czy on mówi o tym każdemu członkowi załogi, którego spotka?

- Pewnie chce ci podziękować za to, że odznaczono go medalem. - Forrice przyglądał mu się przez moment. - Kiedy już załatwisz z nim swoje sprawy, powinieneś zajrzeć do porucznik Mboyi.

- Tak?

- Starateś się jej coś przekazać na Roszponce chyba jakiś kod, ale ona tego nie rozumiała. To znaczy wie, że chciałeś jej powiedzieć, co ma zrobić, ale nie potrafiła domyślić się, o co ci chodziło. Była pewna, że jest winna twojej śmierci, kiedy dostaliśmy wiadomość o tym, iż poszukuje cię cały kontyngent planetarny Bortelitów. Ale ja już wtedy wiedziałem, że znów się wywiniesz.

- Dobrze, porozmawiam z nią i wyjaśnię, że to nie była jej wina... - przerwał. - Starateś się powiedzieć jej, co powinna zrobić po waszym uwolnieniu, ale zbyt szybko nas rozdzielono i

nie zdążyłem niczego wyjaśnić. Gdyby Bortelici domyślili się, że wydaję wam jakieś polecenia, nigdy nie pozwoliliby wam odlecieć z Roszponki, dlatego starałem się przekazać tę wiadomość w sposób zawołowany. Tak, żeby nie mogli jej zrozumieć i wychwycić. Wydaje mi się teraz, że sam zbyt zagnatwałem całą sprawę.

- Ja też cię słuchałem, ale niczego takiego nie zauważyłem - przyznał Forrice. - A co dokładnie chciałeś nam powiedzieć?

- Rzuciłem do niej luźną uwagę o pierwszych stronach gazet. Miałem nadzieję, że domyśli się, iż chodziło mi o to, by pójść z tymi rewelacjami do prasy, a nie admiralicji. Ale już na zajutrz byłem pewien, że mnie nie zrozumiała.

- Ja bym jej za to nie winił - powiedział Molarianin. - Właśnie powiedzieliś mi to wprost, ale nadal nie widzę, w jaki sposób miałoby mnie to zachęcić do kontaktu z mediami?

- Celowo użyłem anachronizmu - wyjaśnił Cole. - Przecież od setek lat nie drukuje się już gazet. Nie ma już więc czegoś takiego jak pierwsze strony.

- I tu się mylisz. Przecież każdy serwis ma teraz pierwszą stronę, po prostu przejęli nazewnictwo z gazet.

- Dobrze, rozumiem. Mogłem znaleźć lepszą odpowiedź. Ale miałem do dyspozycji tylko trzy sekundy na wymyślenie czegoś, czego Bortelici nie mogliby od razu zrozumieć.

- No i wymyśliłeś - przyznał Forrice, posyłając mu ekwiwalent uśmiechu. - Tak czy inaczej, cieszę się, że wróciłeś. Nie zdawałem sobie nawet sprawy z tego, jak nudną mamy służbę tu na Obrzeżach, dopóki nie pojawiłeś się na pokładzie i nie pokazałeś mi, jak mogłoby być.

- To nie ja przyuważyłem ten okręt - przypomniał mu Cole - tylko porucznik Mboya.

- Ale nie powiesz mi, że choć przez sekundę wierzyłeś, iż Góra Fuji albo komandor Podok zrobiliby cokolwiek w tej sprawie, gdyby akurat znajdowali się na stanowisku dowodzenia.

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło - przyznał Cole. - Co wcale nie znaczy, że dążę za wszelką cenę do starcia z wrogiem, zwłaszcza liczniejszym i o wiele lepiej wyposażonym. Wolałbym przeżyć tę wojnę.

Terminal komputera ożył nagle i przed komandorem pojawiła się holograficzna postać Sharon Blacksmith.

- Witaj w domu, Wilsonie - powiedziała. - Ta przygoda wcale nie sprawiła, że wyglądasz gorzej.

- Posiedziałem sobie na jakiejś cholерnej planetce przez parę dni i tyle - odparł.

- Będziesz musiał opowiedzieć mi o tym dokładniej, ale nie teraz - oznajmiła. - Zasuwasz natychmiast do kabiny kapitana. Już wie, że wszedłeś na pokład.

- Na tym okręcie chyba nic nie utrzyma się w tajemnicy - zachnął się Cole i wstał. - Dobrze. Już do niego idę.

- Zajrzę do ciebie później - powiedział Forrice.

- Możesz mnie odprowadzić do windy.

- Cóż, wprawdzie zamierzałem tu zostać i podwędzić ci wszystkie medale, ale skoro nalegasz...

- Dlaczego nie zaproponujesz za nie uczciwej ceny? - zapytał Cole. - Na pewno doszlibyśmy do porozumienia.

- Powiedziałeś to takim tonem, jakbyś traktował tę propozycję poważnie.

- Nie wstępowałem do marynarki, żeby kolekcjonować medale. Chciałem kopać tyłki złym facetom... - przerwał. - I wciąż mam nadzieję, że więcej ich znajdę w Federacji Teroni niż w Republice.

- A ja cię zawsze miałem za realistę - westchnął Forrice.

Dotarli do szybu windy, gdzie się rozdzielili, a chwilę później Cole stał już przed drzwiami gabinetu Fujiama, czekając na zakończenie skanowania siatekówek i struktury kostnej. Kilka sekund później drzwi otworzyły się i wszedł do środka, nie zapominając o regulaminowym oddaniu honorów.

Makeo Fujiama siedział za biurkiem. Gdy Cole przekroczył próg, kapitan wstał, okrążył zwalisty mebel, stanął przed komandorem, i będąc od niego wyższym o więcej niż stopę, spojrział z góry.

- Zanim przejdziemy do innych spraw, komandorze Cole, chciałbym panu podziękować za medal dla mnie i pochwały dla członków załogi, którymi, jak podejrzewam, obdzielono nas wyłącznie za pana sprawą.

*A może powinienem mu powiedzieć, że przyznanie tych wszystkich wyróżnień dla mnie także było zaskoczeniem? Nie, sytuacja, w której dowódca uważa, że coś mi zawdzięcza, na pewno nie zaszkodzi.*

- Z pewnością zasłużył pan sobie na nie, sir.

- Czuję niewysłowioną dumę zarówno z tego medalu, jak i z całości działań „Teodora Roosevelta” podczas niedawno przeprowadzonej akcji.

- Sądzę, że to właśnie powinien pan teraz czuć, sir.

- Chciałem to panu powiedzieć prosto w oczy, zanim zapomnę - dodał Fujiama. - A teraz proszę mi wyjaśnić, co pan sobie myślał, u licha, wyruszając samotnie promem na wielki okręt wojenny, i to bez mojego rozkazu?

- Nie chciałem narażać „Teodora Roosevelta” na niebezpieczeństwo, sir. Dlatego wziąłem jeden wahadłowiec, którego strata byłaby dla floty dopuszczalna, i wyruszyłem nim tylko w towarzystwie dwojga ochotników.

- Nadal nie odpowiedział pan na moje pytanie, komandorze Cole. Dlaczego podjął pan działania bez wiedzy bezpośredniego przełożonego?

- Po zakończeniu służby przez komandor Podok zostałem oficerem dyżurnym tej jednostki, co oznaczało przejęcie kontroli nad mostkiem i *de facto* dowodzenie okrętem - odparł Cole.

- Pan chyba nie zna regulaminu floty! - wrzasnął Fujiama.  
- Przepisy nakazują uzgadnianie nieregulaminowych posunięć z dowódcą okrętu.

- Znam regulamin floty - odparł Cole. - Napisano w nim też, że w przypadkach wymagających natychmiastowej reakcji, takich jak podjęcie pościgu albo nagły ostrzał ze strony wroga, powinienem kierować się własnym osądem i działać odpowiednio do zaistniałych okoliczności.

- Jaki znowu pościg? - zapytał kapitan. - Ten cholerny bortelicki złom wylądował na powierzchni Roszponki, zanim wszedł pan na pokład „Kermita”!

- Szybkość mogła mieć podstawowe znaczenie, gdyby Bortelici planowali atak z zaskoczenia na mieszkańców tej planety.

- Gdyby planowali tak zdradzieckie posunięcie, nie musieli lądować na kosmodromie, skoro posiadali okręt wystarczająco potężny, aby zniszczyć całe życie na Roszponce, nie schodząc z orbity. Z czterystoma żołnierzami na pokładzie trudno podbija się całe planety.

- Ma pan całkowitą rację, sir - przyznał Cole. - Może dlatego jest pan kapitanem okrętu, a ja tylko drugim oficerem.

- Daruj pan sobie to włązdupstwo i śliskie odpowiedzi, panie Cole - powiedział Fujiama. - „Roosevelt” to stary okręt, stary i sponiewierany. Nie widzę większego sensu, aby wyruszać nim

przeciw nowoczesnym jednostkom. Naprawdę nie rozumie pan, do czego mogłoby to doprowadzić?

- Mam powiedzieć prawdę, sir?

- To byłaby miła odmiana.

- Dobrze. Mogłem po prostu zostać na trasie patrolu i złożyć raport o bortelickim okręcie do dowództwa sektora, skąd ta informacja trafiłaby w następnej kolejności do sztabu na Deluros VIII, który znajduje się po przeciwnej stronie galaktyki i zajmuje się prowadzeniem prawdziwych działań wojennych. Potem mógłbym jedynie czekać, licząc na to, że mój raport przejdzie się przez wszystkie biurokratyczne przeszkody i Republika zareaguje w jakiś sposób na jego treść - a obaj doskonale wiemy, jak problematyczna mogłaby być taka decyzja. W tym czasie na Roszponce nie pozostałby już ani jeden żyjący człowiek, którego można by uratować... - przerwał. - Mogłem postąpić w taki sposób. Ale postanowiłem działać, powstrzymać nieprzyjaciela przed założeniem przyczółka na jednej z naszych planet i pozbawić go szans na zdobycie nowych źródeł energii, których tak mu brakuje. Powiadomiłem Republikę o zaistniałej sytuacji i umożliwiłem panu uderzenie na ten okręt w chwili, gdy był wystawiony jak przysłowiowy cel na strzelnicy. Udało mi się dokonać tego wszystkiego bez utraty choćby jednego człowieka. Wiem, dlaczego Federacja Teroni tak bardzo chciałaby widzieć mnie martwym. Nie rozumiem jednak, dlaczego większość naszego dowództwa podziela to pragnienie.

- Siadaj pan, panie Cole - powiedział Fujiama, wskazując mu krzesło.

- Wolę stać, sir.

- Siadaj pan, do jasnej cholery! - wrzasnął kapitan.

Cole usiadł na wskazanym miejscu.

- Wiem, co pan sobie o mnie myśli, panie Cole, i domyślam się, jakie zdanie ma pan na temat „Teodora Roosevelta”. - Kapitan zawisł nad nim i spoglądał z góry złowieszczo. - Ale pragnę pana zapewnić, że na pokładzie mojego okrętu nie ma ani jednego tchórza. Za to jest wielu strasznych popaprańców, którzy odbywają zasłużone kary wygnania na Obrzeża. Od czterech lat nie byliśmy tak blisko teatru działań wojennych jak podczas pańskiego ryzykownego wypadu na Roszponkę. Nikt z nas nie wstępował do marynarki, żeby pełnić rolę dozorczy grupy słabo zamieszkałych planet, które nawet nasz wróg ma głęboko w dupie, ale dopóki dowództwo sektora nie będzie mogło liczyć na to, że wykonamy każdy rozkaz, pozostaniemy tutaj. Czy dotarł już do pana, panie Cole, powód i temat tego spotkania?

- Tak jest, sir! - zapewnił go Cole. - Dotarł, chociaż muszę przyznać uczciwie, że nigdy nie patrzyłem na naszą sytuację z takiej perspektywy. Ale z drugiej strony, przysięgałem bronić Republiki i walczyć z wrogiem do ostatniej kropli krwi. W przysiędze nie było jednak nic na temat powstrzymywania się od działania.

- Dobrze powiedziane - przyznał Fujijama. - Ale są w niej także zdania o słuchaniu rozkazów i szacunku dla przełożonych, lecz ignorowanie ich jakoś nie przeszkadzało panu we wcześniejszym przebiegu służby. Nie zamierzam tolerować w przyszłości takich zachowań. Szlag mnie trafia, kiedy pomyślę, że wojna toczy się tam a my tkwimy tutaj. Zarówno ludzie, jak i obcy służący na tym okręcie gnuśniej na potęgę, choć zasługują na to, by brać udział w walce - zmarszczył brwi. - Na ironię zakrawa fakt, że pan jest chyba najbliższy realizacji naszego marzenia. Skoro prasa i lud nie pozwoliły panu zginąć na Ro-

szponce, tym bardziej będą się teraz interesować, dlaczego flota trzyma pana na takim zadupiu, skoro wojna toczy się pięćdziesiąt tysięcy lat świetlnych od tego miejsca. Zatem, pomimo iż jest to dla mnie obrzydliwe, musimy dojść do obustronnego porozumienia.

- Nie za bardzo mnie pan lubi, prawda? - zapytał komandor.

- A czy to dla pana taki wielki problem, panie Cole?

- Prawdę mówiąc, nie, chociaż wolałbym być człowiekiem lubianym.

- Widzi pan, prawda jest taka, że nie znam pana na tyle dobrze, by wiedzieć, czy pana lubię, czy też wręcz przeciwnie - wyznał Fujijama. - Za to, kiedy o panu myślę, czuję niepokój i zazdrość. Zazdroszczę panu osiągnięć i zdolności narzucania innym swojej woli w nietypowych sytuacjach, a obawiam się tego, co przez te zdolności czeka mnie i mój okręt w najbliższej przyszłości. Czy to wystarczająco szczere wyznanie, panie Cole?

- Tak, sir, w zupełności mi wystarczy.

- Czy chce pan coś jeszcze powiedzieć?

- Nie, sir.

- Zatem skoro rozumiemy się wzajemnie tak dobrze, czy może mi pan obiecać, że nie narazi na niebezpieczeństwo „Roosevelta”, jego wahadłowców ani nikogo z załogi bez uprzedniego skontaktowania się ze mną?

- Tak jest, sir! - zapewnił Cole. - Teraz kiedy rozumiemy się tak dobrze, nie podejmę podobnych działań bez uprzedniego poinformowania pana o nich!

- Dlaczego mam uczucie, że pogrywa pan sobie ze mną w semantyczne gierki? Mam nadzieję, że nie próbuje pan niczego takiego, bo ja nie będę się w nic bawił, jeśli dowiem się, że złał pan dane mi słowo i pozbawię pana wszystkich funkcji na



pokładzie, a co więcej, zostanie pan natychmiast osadzony w areszcie domowym aż do końca służby na Obrzeżach.

- Wierzę panu, sir - powiedział Cole. Fujijama podszedł do szafki i machnął na nią ręką. Na ten znak drzwiczki zniknęły, a kapitan wyjął do połowy opróżnioną butelkę cygnijskiego koniaku oraz dwa kieliszki.

- Zatem napijmy się dla podtrzymania naszej iluzorycznej przyjaźni - powiedział.

- Brzmi nieźle, sir - odparł Cole, przyjmując kieliszek i zastanawiając się, jak szybko ta iluzja pryśnie.

## Rozdział jedenasty

Cole leżał wygodnie na koi, czytając książkę na wyświetlaczu, gdy nagle tekst zniknął z ekranu i zamiast niego zobaczył twarz Sharon Blacksmith.

- Jesteś zajęty? - zapytała.

- Czy wyglądam na zajętego?

- Oszczędź mi tej ironii - poprosiła. - Właśnie przyszły nowe rozkazy. I tak byś się o nich dowiedział prędzej czy później, ale ponieważ podejrzewam, że dostaliśmy je wyłącznie dzięki twojej postawie, pomyślałam, że ci o nich powiem od razu, oczywiście jeśli przysięgniesz, że będziesz trzymał gębę na kłódkę i wyglądał na równie zaskoczonego jak inni, gdy zostaną w końcu publicznie ogłoszone.

- O co chodzi?

- To rozkazy z samej góry. „Teddy R.” w ramach rotacji zostanie przeniesiony do gwiazdozbioru Feniksa, gdzie na spółkę z dwoma innymi okrętami będzie patrolować całą cholerną gromadę.

- To niemal tak samo odległy region jak Obrzeża - ocenił szybko Cole. - Ile zamieszkałych planet znajduje się w tamtej gromadzie?

- Kilkaset, z czego większość naszych.

- Dlaczego powiedziałaś, że jestem odpowiedzialny za te przenosiny?

- Czyżbyś już zapomniał o swoim bohaterskim czynie? Lud nie chce, by bohaterowie gnuśnieli na zadupiach, gdzie nic się nie dzieje, więc marynarka wpadła na pomysł i przenosi nas do gwiazdozbioru Feniksa - uśmiechnęła się - gdzie dzieje się jeszcze mniej.

- Czy tam w ogóle jest coś, czego możemy bronić? Wzruszyła ramionami.

- Głównie planety z kopalniami, kolonie rolnicze i trzy wielkie centra handlowe. Na Dalmatianie II podobno aż roi się od domów publicznych, jeśli cię to interesuje.

- Zapytałbym, skąd o tym wiesz - wtrącił Cole - ale obawiam się, że mogłabyś mi odpowiedzieć.

Roześmiała się.

- Pamiętaj, kiedy Góra Fuji albo Podok ogłoszą treść rozkazów, masz wyglądać na zaskoczonego.

- Będę jak ten słup soli - obiecał. - Mogę nawet omdleć, jeśli trzeba.

- Wciąż masz niebieską wachtę?

- Tak. Zaczynam za jakieś dwie godziny.

- Zamierzam zrobić sobie krótką przerwę za kilka minut - poinformowała go. - Jeśli nie masz nic lepszego do roboty, przyjdź do mesy oficerskiej, postawię ci kawę.

- Jasne, dlaczego nie - zgodził się. - Właśnie leżałem i próbowałem czytać tę cholerną książkę.

- To służba nie czyta ci książeczek?

- Czasami. Do zobaczenia w mesie. Przerwał połączenie, podszedł do umywalki i przemył twarz. Chwilę później opuścił kabinę.

Za każdym razem, gdy mijał w korytarzu któregoś z członków załogi, miał nieodparte wrażenie, że gapią się na niego, nie wiedział jednak, czy w tych spojrzeniach jest duma z tego, czego dokonał na Roszponce, czy raczej czysta zawiść. Starał się nie zapominać o salucie w odpowiedzi na pozdrowienie każdego marynarza albo chorążego. W mesie już czekała na niego Sharon.

- Całkiem dobrze wyglądasz - zauważyła. - Mrożące krew w żyłach przygody niewątpliwie ci służą.

- Daj już temu spokój - zachnął się i zamówił kawę przy pomocy konsoli znajdującej się przy krawędzi blatu. - Jak tam się miewasz, pokładowy podglądaczu, a raczej podglądaczko?

- Okropnie - powiedziała, nagle poważniejąc.

- Co się dzieje?

- To samo co zawsze - odparła. - Módl się, żeby w ciągu najbliższych dwóch godzin nikt nas nie zaatakował, bo pierwszy z trójki oficerów uzbrojenia, którzy właśnie pełnią służbę, już wystartował, a dwaj pozostali zaraz odlecą. Prosto w niebyt.

- Skąd oni biorą towar? - zaciekawiał się Cole. - Przecież nie przyziemiliśmy od kilku miesięcy.

- A jak myślisz? Ktoś sukcesywnie obrabia izbę chorych.

- Przy wszystkich zabezpieczeniach, jakimi dysponujesz?

- To bardzo kreatywna osoba - odparła. - A raczej nie osoba tylko cała banda.

- Słyszałem, że mamy na pokładzie problem z narkotykami... - zaczął Cole.

- My tu ze wszystkim mamy problemy - przerwała mu Sharon. - W laboratoriach nikt się nie pojawił od trzech dni. Jedna z chorążych została zgwałcona w kapliczce pokładowej - wyobrażasz sobie zuchwałość tych ludzi? - gdyby twój przyjaciel Forrice nie pojawił się tam przypadkiem. Tutaj już nie chodzi o okradanie okrętu, ale wzajemne robienie sobie krzywdy - westchnęła ciężko. - Włożenie wszystkich zgniłych jaj do jednego koszyka nie było najlepszym pomysłem w historii floty.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że jest aż tak źle - przyznał Cole. - Wprawdzie Cztery Oczy i kapitan wspominali o tym, ale myślałem, że to tylko takie zwyczajowe biadolenie.

Pokręciła głową.

- Jest bardzo źle, Wilson.

- Cóż, skoro utknąłem na tej krypie na dobre, a moje życie zależy od zachowań tych palantów, może faktycznie powinienem zadbać o podniesienie poziomu dyscypliny, skoro nawet kapitan nie raczy tego zrobić.

- Góra Fuji spoczywa przez większość czasu w swoim gabinecie albo kabinie i unika jak może spotkań z załogą. Wydaje mi się, że wpadł w skrajną depresję po utracie żony i dzieci. – Dziobnęła kawałek ciasta. - A kiedyś był takim dobrym i odważnym człowiekiem. Prawdę powiedziawszy - dodała - sprawdziłam akta wszystkich członków załogi i jedno mogę powiedzieć, żaden z nich nigdy nie był tchórzem.

- To nie ma najmniejszego znaczenia - powiedział Cole. - Nie trzeba wielkiej odwagi, by walczyć na wojnie. Jeśli ktoś zaczyna strzelać do ciebie, a ty nie masz gdzie uciec, odpowiadasz ogniem... a w przestrzeni kosmicznej niemal nigdy nie ma drogi ucieczki. Ale gdy zaczyna brakować dyscypliny, wszyscy na tym tracą. Chcesz strzelić z działła pulsacyjnego, a tu okazuje się, że nie jest sprawne, ponieważ nie zrobiono przeglądu, chcesz wykonać manewr i dowiadujesz się, że nikomu nie chciało się załadować aktualnych map sektora do komputerów nawigacyjnych, zaczyna ci brakować oddechu, bo ktoś odpowiedzialny za uprawy hydroponiczne zawalił sprawę i zapasy tlenu są na wyczerpaniu... - zamilkł. - Niepośluszeństwo wobec głupoty przełożonych to jedno i jeśli flota uważa, że może je nazwać brakiem dyscypliny, nie widzę w tym problemu, ale kiedy ludzie podczas wojny zapominają o utrzymywaniu w gotowości bojowej broni, wyposażenia, a nawet okrętu, mamy do czynienia z zupełnie inną sprawą. To jest prawdziwy brak dyscypliny, któremu musimy położyć kres.

- Zgadzam się z tobą w całej rozciągłości - poparła go Sharon. - Ale sprawy wymknęły nam się z rąk do tego stopnia, że nie wiem, czy zdołamy wrócić do normalności.

- Każdy problem ma swoje rozwiązanie - zapewnił ją Cole.

- Z czym mamy do czynienia oprócz narkotyków?

- Jest sporo seksu, nawet międzygatunkowego - nagle się uśmiechnęła. - Prawdę mówiąc, obawiam się, że z tą sprawą zostaniesz zaznajomiony w bardzo krótkim czasie.

- Co takiego?

- Trzy kobiety z załogi założyły się o to, którą posiadasz jako pierwszą - powiedziała tonem wielkiego zadowolenia. - Chcesz poznać ich nazwiska?

- Nie. Obawiam się, że i tak dowiem się tego bardzo szybko. Czy o czymś jeszcze powinienem wiedzieć?

- Tak. Uważaj na Podok.

- Dlaczego?

- Chciała, żeby wpisano ci naganę za niewykonanie rozkazu i złamanie przepisów regulaminu, a ty zamiast tego zostałeś udekorowany Medalem za Odwagę. Wprawdzie nie jestem w stanie pojąć wszystkich zawłości umysłu Polonoi, ale mam wewnętrzne przeczucie, że ona cię po prostu znienawidziła.

- Dzięki za ostrzeżenie.

Nagle na wszystkich monitorach okrętu, nie wyłączając mesy, pojawiła się twarz kapitana.

- Mówi kapitan Fujiana - usłyszeli. - „Teodor Roosevelt” otrzymał nowe rozkazy. O godzinie siedemnastej zero zero, czyli za trzydzieści siedem minut opuszczamy Obrzeża i udajemy się do gwiazdozbioru Feniksa, gdzie u boku „Bonapartego” i „Maracaibo” będziemy pełnić służbę patrolową w dwustu czterdziestu jeden zamieszkałych systemach planetarnych. Na czas przelotu otrzymaliśmy rozkaz utrzymywania ciszy radiowej, jeśli

więc ktoś ma wiadomość podprzestrzenną do wystłania, niech zrobi to niezwłocznie.

Kapitan zniknął z ekranów.

- Jak długo będziemy tam lecieli? - zapytał Cole.

Sharon wzruszyła ramionami.

- To nie moja działka. Ale mogę się dowiedzieć jeśli uważasz, że to takie ważne.

- Nie trzeba. Po prostu byłem ciekawy... - przerwał. - Ale jest coś, o co chciałbym cię poprosić.

- Mów.

- Obserwuj mnie dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Czyżbyś aż tak wysoko cenił swoje techniki seksualne? - zapytała z uśmiechem na ustach.

- Nie wygłupiaj się. Zamierzam zadbać o podniesienie dyscypliny na pokładzie, i to dyscypliny w moim tego słowa rozumieniu, nie podręcznikowej. A to może spotkać się z oporem. I jeśli ktoś ma mnie poczęstować nożem, chciałbym mieć pewność, że nie uniknie karzącego ramienia sprawiedliwości.

- Rozumiem - powiedziała Sharon. - Chodź ze mną do sekcji bezpieczeństwa, popracuję nad tobą, żebyśmy mieli pełen podgląd bez względu na to, gdzie się znajdziesz.

- Dobrze. - Dopił kawę. - Ja jestem już gotowy, a ty?

- Jeszcze nie - odparła. - Ty jesteś tylko bohaterem, a to - wskazała na ciastko - jest grzesznie rozkoszną mieszaniną czekolady, kremu i dwóch albo i nawet trzech innych składników, których nawet szef bezpieczeństwa nie jest w stanie rozszyfrować. - przełknęła kolejny kęs. - Zastanawiam się, czy powinienam jeść, dopóki nie zdołam zidentyfikować wszystkich użytych tutaj składników.

- Jak ty to robisz, że jesz tak kaloryczne rzeczy i zachowujesz smukłą sylwetkę? - zapytał Cole.

- Chwilka ćwiczeń dziennie i masa nerwów - odparta. - A zwłaszcza masa nerwów - spojrzała na niego uważniej. - Choć nie jest to tak efektywny sposób na utratę wagi jak to, co zastosowałeś na Balmoralu IV.

- Wiesz nawet o takich rzeczach?

- Na tym polega moja praca. Znam przebieg twojej służby nie gorzej niż ty sam. Dlatego nie potrafię pojąć, dlaczego pozwoliłeś się złapać. To była tak oczywista pułapka.

- Wiem, że była oczywista. Ale nikt nie miał pojęcia, gdzie Teroni przetrzymują Gerharda Sigardsona. Dlatego uznałem, że jedynym sposobem na dowiedzenie się tego będzie wejście w matnię.

- Jak długo wytrzymałeś bez jedzenia?

- Chwilę - przyznał niechętnie. - Ale liczyło się tylko to, że uwolniliśmy Sigardsona. Znał rozmieszczenie naszych sił i wiedział, gdzie mamy zamiar uderzyć w najbliższym czasie. Był twardym sukinsynem, ale nikt nie może się opierać w nieskończoność. Prędzej czy później złamaliby i jego.

- W wiadomościach podawano, że już nie żył, kiedy do niego dotarłeś - powiedziała Sharon. - Ale ja nigdy nie kupiłam tej wersji wydarzeń.

- Żył jeszcze. Ale znęcali się nad nim od wielu tygodni. Był zbyt słaby, aby uciec ze mną, a ja miałem za mało sił, żeby go wynieść.

- I dlatego go zabiłeś? Skinął głową.

- Wiedział, że muszę to zrobić. Do licha, sam mnie o to błagał - mięśnie na szczęce Cole'a zaczęły drżeć. - Ale nadal czuję się podle, kiedy o tym myślę.

- Widziałam holo z wręczenia ci medalu za tę akcję. Wyglądałeś cholernie ponuro na tej ceremonii.



- Stare dzieje - powiedział niepewnym głosem. - Przełknij te ostatnie dziesięć tysięcy kalorii i popracuj nade mną, żebyś miała podgląd, gdziekolwiek się udam.

- Myślę, że i tak mogę cię mieć na oku - oznajmiła Sharon.

- Ale wolałbym, żebyś miała pewność.

- Dobrze - powiedziała, kończąc ciastko. - No to w drogę.

Poszedł za nią do windy i już chwilę później siedzieli w jej biurze. Wydała polecenie, okienka w drzwiach stały się nieprzezroczyste.

- Zdejmij tunikę. Zrobił, o co prosiła.

- Nieźle - stwierdziła, oglądając go okiem eksperta. - Chyba też powinnam wejść w ten zakład.

- Jeśli to zrobisz, zakabluję cię bezpiecznie.

Roześmiała się i wyjęła niewielki instrument. Cole nigdy wcześniej nie widział niczego podobnego.

- Nie ruszaj się przez chwilę - poprosiła. - To potrwa tylko minutkę.

Poczuł ostry, kłujący ból w prawym ramieniu, który minął po paru sekundach.

- To chip, którego wszyscy będą szukali - wyjaśniła. - Da się go wykryć każdym skanerem, a wyjęcie go będzie bolało o wiele bardziej niż umieszczenie pod skórą. Daj mi teraz dłoń.

Wyciągnął lewą rękę, a Sharon spryskała mu kciuk roztworem, który doprowadził do natychmiastowego znieczulenia całego palca.

- Nie musisz na to patrzeć, jeśli nie chcesz - poradziła mu. - To nie będzie bolało, ale większość ludzi cofa rękę instynktownie, gdy widzi, co zamierzam zrobić.

- Jak długo to potrwa?

- Może ze trzy minuty.

- Zaczynaj.

Zobaczył, że przystawia mu do kciuka ostry instrument medyczny i poszedł za jej radą, odwracając wzrok. Nie bał się bólu, na pewno nie takiego, ale zgadzał się, że mimowolne drgnięcie ręki może tylko wydłużyć czas operacji.

- I już po wszystkim - powiedziała, gdy skończyła.

Spojrzał na dłoń, ale nie zauważył żadnej różnicy.

- Co mi zrobiasz?

- Wsunęłam ci mikrochip pod paznokieć. W dziewięciu na dziesięć przypadków nie zostanie wykryty przez skanery, większość ludzi nigdy nie wpadnie na myśl, żeby go tam szukać, zwłaszcza gdy znajdą chip w twoim ramieniu. - I co to cudo robi?

- Odbiera wszystkie dźwięki wydane w promieniu pięćdziesięciu metrów, a jeśli będą wystarczająco głośne, nawet z większej odległości. Wysyła także sygnał namiarowy co pięć sekund, dlatego będę wiedziała nie tylko, co słyszysz, ale i gdzie się znajdujesz... - zamilkła. - Nie mam sprzętu wizualnego, który mogłabym umieścić w tak niewielkiej przestrzeni, jaka znajduje się pod paznokciem, ale holokamery systemu są wszędzie, nawet w toaletach.

- Jesteś starą zbereźnicą, wiesz?

- Raczej młodą zbereźnicą - poprawiła go. - Chociaż muszę przyznać, że przy tej robocie człowiek starzeje się bardzo szybko. Zwłaszcza na pokładzie takiego okrętu jak „Teddy R.”. - Podeszła do rzędu komputerów zajmujących tylną ścianę kabiny i sprawdziła jeden z nich. - Odbieram twój sygnał i nagrywam wszystko, co od tej pory powiesz. Czyli robota skończona. Załóż koszulę, żeby kobiety nie rzucały się na twoje powaby i wracaj do zajęć, czyli do dobrych książek albo złych kobiet, przynajmniej do czasu objęcia dowodzenia podczas niebieskiej wachty.

- Zbyt często podglądasz ludzi w chwilach intymnych - powiedział Cole. - Masz tylko seks w głowie.

- Poważniej mówiąc, już po trzeciej zmianie w tej robocie zaczynasz przechodzić nad tym do porządku dziennego.

- Dzięki za chipy - powiedział, kierując się do drzwi. - Spotkamy się później.

Przeszedł na koniec korytarza, potem zjechał windą do przedziału bojowego i wszedł na jego teren. Trzej sierżanci mieli służbę o tej porze - człowiek, Polonoi i Molarianin. Żaden z nich nie trzymał się zbyt pewnie na nogach.

Człowiek zauważył Cole'a i niezdarnie mu zasalutował. Polonoi wydawał się tkwić w transie, a Molarianin po prostu kołysał się miarowo przed konsolą komputera.

- Czeszę się, że pana widzem - wybełkotał człowiek. - Aleś pan dał przedstawienie tam na tej... jak jej tam było.

- Jak się nazywacie, sierżancie? - zapytał Cole.

- Eric Pampas, sir - usłyszał w odpowiedzi. - Ale wszyscy mówią na mnie Dziki Byk.

- Dlaczego?

- Żebym to ja wiedział - odparł sierżant z łobuzerskim uśmiechem. - Ale tak między nami facetami, już nie jestem taki jurny jak kiedyś, sir.

- Jak to wzrok potrafi człowieka zmylić - podsumował go ironicznie Cole. - A to kto? - zapytał, wskazując na Polonoi.

- Kudop, sir - wyjaśnił Pampas. - Powtarzam mu w kółko, że Polonoi nie powinien zażywać ziarenek alfanelli, ale on ciągle ma jakieś w pysku. A potem wygląda tak przez długie godziny.

- Mamy na pokładzie ancel? - zapytał Cole.

- Tak jest, sir - odparł Pampas z uśmiechem. - Zamierza go pan przytknąć?

- I tak nie na wiele wam się tu przyda - powiedział komandor. - A nie wsadzę go przecież do izolatki, gdzie będzie miał łatwiejszy dostęp do narkotyków.

- Pomogę panu dostarczyć go do paki, sir - zaofiarował się Pampas. Pochylił się, by chwycić Polonoi za nogi i nagle zachwiał się. - Hej! - zawołał tłumiąc chichot. - Jestem trochę wyższy, niż mi się wydawało.

- A co z tamtym? - zapytał Cole, wskazując palcem Molarianina.

- To pan sierżant Solaniss - przedstawił go Pampas.

- To ja... - potwierdził Molarianin, nadal chwiejąc się na nogach.

- Jak sądzicie, sierżancie, jeśli ściągniemy tu na dół tobograw, uda wam się wspólnie z Pampasem przewieźć Kudopa do ancla?

- Jasne - uznał Molarianin.

- Ale jaja, wyobraża pan sobie jego zdziwienie, jak obudzi się w takim miejscu? - dodał Pampas.

- Dobrze - powiedział komandor. - Za moment dostarczą wam tobograw.

- A nie musi pan zadzwonić, żeby go przywieźli? Cole uznał, że może wytłumaczyć ten fenomen sierżantowi.

- Ta rozmowa jest monitorowana. Oni tam na górze już wiedzą, czego potrzebujemy.

Chwilę później jedna z podwładnych pułkownik Blacksmith wprowadziła do przedziału bojowego pusty tobograw i przekazała go Cole'owi.

- Czy chce pan, żebyśmy została i służyła pomocą, sir? - zapytała, spoglądając w stronę trójki naćpanych sierżantów.

- Nie, dziękuję, nie sądzę, żeby to było konieczne.

- Jest pan pewien, sir?

- Jestem pewien.

Zasalutowała, odwróciła się i wyszła.

Cole uruchomił tobograw i zaprogramował go tak, by zawisł dwie stopy nad powierzchnią pokładu. Kierował ruchami Solanissa i Pampasa, którzy usiłovali ułożyć Kudopa na noszach, ale dość szybko uznał, że sami sobie z tym nie poradzą, więc włączył się do akcji. Gdy Polonoi spoczęł na tobograwie, zmienił ustawienie na wysokość czterech stóp i kazał sierżantom przetransportować towarzysza do największej windy.

Zjechali nią do pomieszczeń więziennych. Nikogo tutaj nie było. Pole siłowe oddzielające cele od reszty pokładu wyłączono już wcześniej, więc dostali się do środka bez większych problemów. Tam Cole rozkazał tobograwowi opuścić się na poziom podłogi, a Pampasowi i Solanissowi wydał rozkaz postawienia Kudopa na nogi. Gdy z widocznym trudem wykonywali jego polecenie, komandor wycofał się na korytarz.

- Aktywować pole siłowe - powiedział cicho i natychmiast usłyszał charakterystyczny pomruk.

Zanim człowiek i Molarianin postawili Kudopa w pionie, minęła co najmniej minuta. Gdy ruszyli w stronę korytarza, niewidzialna siła powstrzymała ich przed wyjściem i odrzuciła w głąb celi.

- Co tu się, u licha, wyprawia? - zapytał Pampas, rozglądając się nerwowo.

- Ktoś włączył pole siłowe - wyjaśnił mu Cole.

- Po co?

- Może dlatego, że mu rozkazałem - rzekł komandor. - Szczerze powiedziawszy, nie widzę innych przyczyn jego włączenia.

- Po jaką cholere kazał pan to zrobić?

- Po taką, że trwa wojna, a żaden z was nie jest w stanie wypełniać swoich obowiązków, nie mówiąc już o obsłudze broni.

- Daj pan spokój, sir - poprosił Pampas. - Od miesiąca nie widzieliśmy terońskiego okrętu.

- A ja widziałem - odparł Cole. - Nie dalej niż parę dni temu.

- Gdyby jakiś pojawił się w naszej okolicy, rozpieprzylibyśmy go na milion kawałków - bełkotał dalej sierżant.

- W takim stanie nie trafilibyście w ścianę z dziesięciu kroków. W razie ataku moje życie zależy wyłącznie od tego, czy potrafcie utrzymać maksymalną sprawność bojową, ale widziałem wystarczająco wiele, żeby podejrzewać, iż na pokładzie „Teddy'ego R.” od lat nie było mowy o jakiegokolwiek sprawności bojowej. Wiele razy narażałem życie, ale zapewniam was, nie stracę go tylko dlatego, że zaniedbujecie swoje obowiązki.

- Jak długo zamierza nas pan tutaj trzymać? - zapytał Solaniss.

- Jak długo będzie trzeba.

- To znaczy?

- Sami się domyślcie.

Ruszył korytarzem, ścigany ich krzykami i złorzeczeniami.

- Zakładam, że wszystko się nagrało - powiedział, mając pewność, że Sharon cały czas go monitoruje. - Ustaw też barierę dźwiękową, żeby nikt ich nie usłyszał. Pozostali członkowie załogi nie muszą cierpieć tylko z tego powodu, że ci dwaj mają zamiar hałasować. I daj im połowę racji dziennej. Są tak naćpani, że z pewnością nie poczują dzisiaj głodu, szkoda więc marnować jedzenie. Zmontuj też nagranie, począwszy od momentu, gdy dostarczyliśmy Polonoi do aresztu, a skończywszy

na moim odejściu i puszczaj je w sieci pokładowej co piętnaście, dwadzieścia minut przez cały dzień.

Gdy mijał centrum komunikacyjne, nagle zobaczył hologram Sharon Blacksmith.

- Czy mam kierować ten przekaz także na komputer Góry Fuji? - zapytała.

- Dlaczego nie? - odparł Cole. - A co on może zrobić w tej sprawie? Przecież nie powie mi, żebym ich przywrócił na stanowiska, skoro znajdują się w takim stanie.

- Tego nie uczyni na pewno. Ale fakt, że zrobiłeś to z własnej inicjatywy, postawi go w złym świetle.

- To jego problem, nie mój. Słuchaj, powiedziałem Pampasowi i jego kumplom czystą prawdę. Jeśli nawet akcja na Roszponce nie miała żadnego innego znaczenia, to dowiodła jednoznacznie, że w każdej chwili możemy spodziewać się tutaj sił wroga. Jestem gotów umrzeć za Republikę, jeśli będę musiał, ale nie dlatego, że podległa mi załoga jest zapita w trupa albo odleciała w niebyt po jakichś ziarenkach.

- Miejmy tylko nadzieję, że nasza załoga nie postanowi wyręczyć Federacji Teroni w usunięciu cię z tego świata.

- Uważasz, że istnieje taka możliwość? - Wsadź do ancla jeszcze kilku, a założę się z tobą o to i postawię niemałe pieniądze - odpowiedziała szczerze.

## Rozdział dwunasty

- Panie Cole, proszę się zgłosić na mostek, na jednej nodze!  
Cole przybył na miejsce po dwóch minutach i zastał oczekującą go komandor Podok. Nie rozpoznał Molarianina pełniącego obowiązki oficera pokładowego. Christine Mboya siedziała w przedziale komunikacyjnym i najwyraźniej nie zamierzała odrywać się od pracy.

- Zakładam, że to pani chciała mnie widzieć - powiedział Cole, podchodząc do Polonoi. - Czym mogę zatem służyć?

- Może pan zacząć od przepisowego salutu i tytułowania mnie komandorem Podok.

Strzelił dłonią w salucie.

- Czym mogę panią uszczęśliwić, komandorze?

- Komandorze Podok - poprawiła go.

- To chyba jakieś wygłupy - zachnął się Cole. - Do ilu komandorów mógłbym zwracać się w tym momencie?

- Albo zacznie pan zwracać się do mnie per komandorze Podok, albo umieszczę pana w raporcie.

- Dobrze, komandorze Podok - powiedział w końcu. - Czy przysługuje mi prawo dowiedzenia się, w jakim celu zostałem tutaj wezwany, komandorze Podok?

- Osadził pan w areszcie trzech sierżantów odpowiedzialnych za uzbrojenie - stwierdziła Polonoi.

- Wiem o tym, komandorze Podok - odparł Cole. - Mam nadzieję, że nie wzywała mnie pani tutaj tylko po to, bym wysłuchał tej wiadomości.

- Kto wydał panu pozwolenie na osadzenie tych marynarzy w areszcie?



- Cała trójka znajdowała się pod wpływem środków odurzających, komandorze Podok.

- Mamy tylko czterech sierżantów w przedziale uzbrojenia, panie Cole. Pan osadził w areszcie trzech z nich, czym zagroził pan bezpieczeństwu tego okrętu i jego załogi.

- Okręt znajdował się w o wiele niebezpieczniejszej sytuacji, gdy inkryminowani sierżanci pełnili służbę, zarządzając bronią i amunicją pod wpływem narkotyków - odparł Cole.

- Jest pan gotowy zająć ich miejsce? - zapytała Podok.

- Jeśli zostaniemy zaatakowani, uczynię to z ochotą - oświadczył Cole. - Ale wydaje mi się, że o wiele sensowniejszym rozwiązaniem jest, abym zajął się wyplenieniem narkomanii z pokładu „Teddy'ego R.”, zanim sytuacja wymknie się całkowicie spod kontroli. Na Ramenesie VI są kolonie narkomanów, w których jest mniej ćpunów niż na pokładzie naszego okrętu, są tam też burdele, w których o wiele mniej się dzieje niż nocą na „Teddym R.”.

- Czy chce pan jeszcze coś skrytykować?

- Owszem, ale tę krytykę skieruję prosto do kapitana.

- Przekroczył pan swoje uprawnienia, aresztując tych członków załogi podczas białej wachty - oznajmiła Podok. - Nakażę wypuszczenie całej trójki. Nie możemy zostać bez techników odpowiedzialnych za uzbrojenie.

- Bez względu na to, czy ci sierżanci są na wolności czy w anclu, i tak nie ma pani na pokładzie sprawnych techników od uzbrojenia. Kudop żuł ziarna alfanelli i będzie nieprzytomny do wieczora. A pozostali dwaj nie są wcale w lepszym stanie.

- Czy pan chce mi wydawać rozkazy, panie Cole?

- Tylko dobrze radzę.

Podok posłała mu lodowate spojrzenie.

- To ja dam panu dobrą radę. Jeśli zmieni pan któryś z moich rozkazów, źle się to dla pana skończy.

- Nie wiem wprawdzie, dlaczego mnie pani nie lubi, ale tak na wszelki wypadek, chciałem przypomnieć, że walczymy po tej samej stronie.

- Sprowadził pan zagrożenie na nasz okręt już pierwszego dnia po zamustrowaniu - powiedziała Podok. - Zmusił nas pan swoim działaniem do podjęcia walki. Fakt, że odnieśliśmy zwycięstwo, nie usprawiedliwia łamania regulaminu... - przerwała, by wlepić w niego kolejne lodowate spojrzenie. - Nie minął dzień od pańskiego powrotu, a osadził pan w areszcie trzy czwarte załogi przedziału bojowego, chociaż wie pan doskonale, że otrzymaliśmy rozkaz przejścia na nowe, potencjalnie wrogie terytorium. Czy to wystarczająca odpowiedź na pańskie pytanie?

- Bortelici należą do Federacji Teroni - przypomniał jej Cole. - Czuje pani żal, że musieliśmy ich przegonić z Roszponki?

- Czuję żal z powodu podjęcia tej akcji bez rozkazu z dowództwa i z pominięciem drogi służbowej.

- Co za niedorzeczność. Nie ja wydałem rozkaz ataku na okręt Bortelitów, tylko admirał floty Garcia.

- Dość tego. Nagina pan prawdę identycznie, jak przepisy. Nie będę z panem rozmawiać w ten sposób.

- To po jaką cholerę wezwwała mnie pani na mostek, komandorze Podok?

- Żeby panu oznajmić, jak bardzo jestem z pana niezadowolona i powiadomić, że nakazałam wypuszczenie wszystkich aresztantów.

- Zamknę ich ponownie.

- Rozkazuję panu tego nie robić.

- Pod żadnym pozorem?

- Pod żadnym pozorem.

- Nawet jeśli naćpają się jeszcze bardziej i Polonoi wpadnie ponownie w katatonię?

- Słyszał pan, co powiedziałam.

- Tak, słyszałem wyraźnie - sam teraz podniósł głos. - I zakładam, że w pionie bezpieczeństwa także panią usłyszano.

Przed nim pojawił się hologram Sharon Blacksmith.

- Usłyszano i nagrano.

- Dobrze, komandorze Podok - powiedział Cole. - Teraz i pani znajduje się w archiwach bezpieki. Nadal jest pani pewna, że chce uwolnić wszystkich aresztantów?

Podok spoglądała na niego twardo. Cole nie posiadał wystarczającej znajomości mimiki Polonoi, żeby ocenić uczucia miotające wojowniczką, ale jej wyraz twarzy kojarzył mu się jednoznacznie z głęboką niechęcią.

- Więźniowie pozostaną w celi - oświadczyła w końcu Podok. - Jest pan bardzo niebezpiecznym człowiekiem, panie Cole.

- Jestem tylko oficerem, który stara się wypełniać swoje obowiązki najlepiej jak umie, komandorze Podok - odparł Cole spokojnie. - Chce pani czegoś jeszcze czy mogę odejść?

- Odejdź. Odwrócił się.

- Ale najpierw zasalutuj!

Zrobił w tył zwrot, zasalutował przepisowo i ruszył do windy. Gdy dotarł na pokład mieszkalny i skierował się w stronę kabiny, otoczyła go grupka marynarzy, na oko z tuzin, sami ludzie, i zgotowali mu gorące owacje. Niektórzy nawet klepali go po przyjacielsku po ramionach.

Poczuł się niezręcznie, ale podziękował im i szybko poszedł do kwatery. Gdy drzwi zamknęły się za nim, stanął przed umy-

walką, przemył twarz i zasiadł za biurkiem. Po chwili zjawił się Forrice.

- Niezła robota - pochwalił Molarianin.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

- Masz wielu przyjaciół w dolnej części statku - rzekł Cztery Oczy, pogwizdując ze śmiechu. - Sharon Blacksmith transmitowała twoją potyczkę z Podok na cały okręt.

- Cudownie - mruknął. - Jakby Podok nie miała mnie już dosyć.

- Pani komandor to najmniejszy z twoich problemów - powiedział Molarianin.

- Doprawdy?

- Cała załoga już wie, co robisz z ludźmi, którzy ćpają na wachcie. Ci, którzy powitali cię okrzykami przy windzie to więcej niż połowa marynarzy, którzy nie biorą stymulantów.

- Sprawa z narkotykami nie będzie problemem - powiedział Cole. - Z tego, co mi powiedziano, nie mamy na pokładzie tchórzy i dezertów. Oni po prostu żałują, że trafili właśnie tutaj i zabija ich wszechobecna nuda. Sądzę, że nie będą protestowali przed wprowadzeniem pewnej dyscypliny, zwłaszcza kiedy zrozumieją, że nie jest to działanie bezcelowe. Prawdę powiedziawszy, uważam, że powitają taką odmianę z wielką radością. Wydaje mi się, że zdecydowana większość chciałaby być dobrymi marynarzami. Po prostu od dawna nikt niczego od nich nie wymagał, a połowa rozkazów wydawanych przez oficerów nie miała najmniejszego sensu.

- Obyś miał rację, przyjacielu.

- Tym się nie martw. Jeśli się mylę, mam całodobowy nadzór pokładowej służby bezpieczeństwa.

- Co znaczy tylko, że będą od razu wiedzieli, kto jest winnym morderstwa - powiedział Forrice. - Zawsze jesteś takim optymistą?

- Muszę nim być - wyjaśnił Cztery Oczy. - Chciałbym, żeby sprawców twojej śmierci spotkała zasłużona kara.

- Poczułem prawdziwe wzruszenie - powiedział Cole. - Ale wyjaśnij mi, na wypadek gdyby jednak zdecydowano się na zabijanie naprawdę złych facetów, czy mamy na pokładzie kogoś, kto mógłby zastąpić tych sierżantów z przedziału bojowego?

- Znajdę kogoś takiego - odparł Forrice. - Teraz, kiedy mam z głowy niebieską wachtę, niespecjalnie potrafię ustalić zakres moich obowiązków.

- Jak i reszta obecnych na pokładzie tego okrętu. I tu dotykamy prawdziwego problemu.

- Cóż, przynajmniej wiemy, że tydzień temu nasze działo pulsacyjne było sprawne. To, którym przywaliliśmy w bortelicki okręt.

- Tak, przywalenie w okręt, który znajduje się na ziemi, w sytuacji, gdy nikt nie wie, że będzie zaatakowany, jest faktycznie najtrudniejszym z możliwych testów broni - zakpił Cole.

- Masz rację - przyznał Forrice. - Ale z drugiej strony lepsze to, niż nietrafienie w cel.

Światło zamrugało, rozległ się dźwięk dzwonów.

- To chyba do ciebie - powiedział Molarianin.

- Nastawiłem budzenie na dziesięć minut przed końcem białej wachty - wyjaśnił Cole, ale nie wstał. - Czas zbierać się do roboty.

- Jakoś nie widzę, żebyś gonił na złamanie karku w kierunku mostka - zauważył Cztery Oczy.

- Jeśli przyjdę tam za wcześnie, Podok i tak mnie nie wpuści. A jeśli pojawię się zbyt późno, postawi mnie do raportu. Dlatego wyjdę za moment, ale postoję przed drzwiami i pojawię się na stanowisku punkt szesnasta.

- Naprawdę przejmujesz się, że pójdziesz do raportu? - zapytał zaskoczony Forrice. - Wiesz przecież doskonale, że flota nie ukarze cię za nic, zwłaszcza po akcji na Roszponce.

- Flota jest na mnie wkurzona w o wiele większym stopniu, niż przypuszczasz - stwierdził oschle Cole. - A co do wspomnianej kwestii, jeśli nawet ukróczę wszelkie akty przemocy, na jakie natrafię na pokładzie i wsadzę najgorszych drani do ancla, to i tak umieszczenie w raporcie będzie swoistym sygnałem do ataku, mimo tego że wszyscy będą wiedzieli, iż wpis ten jest dziełem zazdrosnej oficer, która ze mną rywalizuje.

Cole wstał i poczekał, aż Molarianin, stawiając wdzięcznie swoje trzy nóżki, okręci się wokół własnej osi i wydostanie na korytarz. Potem ruszył w stronę windy i wjechał nią na pokład mostka. Zaczekał tam, aż automat odgwiżdże oficjalny koniec białej wachty i wkroczył do przestronnej sali, zanim przebrzmiąły ostatnie tony sygnału. Wyprężył się na baczność i oddał wychodzącej Podok przepisowy salut, zastanawiając się jednocześnie, czy wojownicza Polonoi była zdolna do dostrzeżenia sarkazmu.

W przedziale komunikacyjnym nie było już Christine Mboyi. Zastępowała ją Jacillios, molariańska samica, o której Cztery Oczy mawiał, że jest najseksowniejszą istotą w tej galaktyce, chociaż Cole nie potrafił zrozumieć, czym jego przyjaciel tak się zachwycał. Oficerem pokładowym był porucznik Malcolm Briggs, niedawno przeniesiony z „Prosperity”, na którym pobił innego oficera z jeszcze nieznanymi przyczyn. Z jego akt wynikało jednak, że do tego zdarzenia był sumiennym i dobrym oficerem,

wojskowym w trzecim pokoleniu, pełnym energii i pewności siebie, trochę upartym, ale rokującym nadzieje, mającym przed sobą wspaniałe perspektywy, a w każdym razie na pewno o wiele lepsze niż służba na „Teodorze Rooseveltie”.

Cole powitał oboje oficerów z należnym szacunkiem, odpowiedział niedbałym ruchem na sprężysty salut Briggsa, a potem ruszył w stronę pilota.

- Witaj, Wxakgini - powiedział. - Co tam porabiasz?

- Silniki popychają nas z pięciokrotną prędkością światła.

Ale zważywszy na parametry tunelu czasoprzestrzennego, w którym aktualnie się poruszamy, przemieszczamy się z prędkością równą tysiącu dziewięciuset prędkości światła, sir - odparł Bdxeni ze swojego kokonowatego gniazda.

- Niezupenie o to mi chodziło, ale niech ci będzie - powiedział Cole. - Kontynuuj lot. *Jakbyś mógł robić cokolwiek innego, z mózgiem wpiętym w obwody komputera nawigacyjnego.*

Podszedł do Jacillios.

- Wszystko w porządku, chorąży?

- Tak jest, sir! Odwrócił się do Briggsa.

- Nie wiem, kogo Cztery Oczy przydzielił do przedziału bojowego, ale myślę, że rozsądniej będzie dezaktywować wszystkie główne systemy uzbrojenia, przynajmniej do czasu dotarcia do gwiazdozbioru Feniksa. Wolalbym, żeby któryś z nowicjuszy nie zabawiał się nimi teraz, gdy mkniemy z tak zawrotną wielokrotnością świetlnej. Obawiam się, że w takich warunkach zestrzelilibyśmy sami siebie.

- Tak jest, sir! - Briggs potwierdził odebranie rozkazu. - Według moich obliczeń dotrzemy do celu za mniej niż dwie godziny. Czy zaraz po wyjściu z nadprzestrzeni mam je ponownie aktywować?

- Tak, proszę je włączyć, gdy uruchomią się mechanizmy hamujące i pojawimy się w normalnej przestrzeni. - Podniósł głowę i spojrzał na Wxakgini. - Zakładam, że spotkamy „Bonapartego” i „Maracaibo” zaraz po dotarciu do celu?

- Tak jest, sir - odparł pilot. - Skontaktujemy się z nimi natychmiast po dotarciu do gwiazdozbioru, aby ustalić dokładne miejsce spotkania. „Bonaparte” i „Maracaibo” przybędą na miejsce odpowiednio trzy i dwie godziny przed nami. Wyjdziemy z tunelu czasoprzestrzennego w okolicach systemu McDevitt, tam mają na nas czekać, to znaczy w promieniu roku świetlnego od tego systemu.

- Doskonale. Czy jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć? Wxakgini, Jacillios, Briggs?

- Test jeszcze jedna rzecz, sir - powiedziała Molarianka. - Wydział bezpieczeństwa chce się upewnić, czy więźniowie mają nadal dostawać po pół racji żywieniowej.

- Tylko dzisiaj - odparł Cole. - Nie mamy do czynienia ze zdrajcami, robili to z nudów. I niech ktoś z bezpieczeństwa zaprowadzi ich na gruntowne badania do izby chorych tuż przed rozpoczęciem następnej białej zmiany. Jeśli wypalili sobie choć jeden neuron za dużo, chcę o tym wiedzieć, zanim Podok spróbuje raz jeszcze przywrócić ich do służby. I niech szczególnie uważają na tego przeżuwacza ziarenek. Widziałem na własne oczy, co to świństwo robi z umysłem.

- Tak jest, sir!

- A skoro o racjach mowa, sam nic nie jadłem od sześciu godzin - oznajmił Cole. - Idę po jakąś przekąskę.

Zszedł z mostka i udał się prosto do mesy. Nie było tam jednak ani Sharon Blacksmith, ani Forrice'a, a nie znał nikogo z obecnych na tyle, żeby się do nich przysiądać. Znow nagrodzono go brawami, gdy zajmował miejsce przy stoliku, ale tym razem



o wiele mniej burzliwymi niż wtedy przed windą. Skinął głową, by wiedzieli, że je usłyszał, i skoncentrował się na menu, przynajmniej do chwili, gdy ktoś nie stanął tuż przed nim.

- Nie będzie miał pan nic przeciw temu, że się przysiadę, sir?

Podniósł głowę i zobaczył Rachel Marcos.

- Zapraszam - powiedział, wskazując wolne miejsce na przeciw.

- Dziękuję, sir. Chciałam panu tylko powiedzieć, że dokonał pan dzisiaj niezwykle odważnego czynu.

- No, niezupełnie - odparł, uśmiechając się. - Podok żyje według regulaminu. Nigdy nie zastrzeliłaby kolegi oficera.

Rachel również się uśmiechnęła.

- Mówię o wsadzeniu tych trzech sierżantów do ancla. Kapitan nie miał odwagi, by zrobić cokolwiek w sprawie narkotyków.

- Góra Fuji nie wygląda mi na tchórza.

- Wydaje mi się, że jemu już na niczym nie zależy.

- Zależy mu, zależy, przynajmniej na tyle, że zacytował mi kilka paragrafów podchodzących pod zabranie „Kermity” i manipulowanie prasą na Roszponce.

Wzruszyła ramionami.

- Zatem myliłam się co do niego.

- Obserwowałaś go o wiele dłużej, niż ja miałem okazję - powiedział Cole. - Jeśli uważasz, że masz rację, powinnaś jej bronić.

- Miałabym się sprzeczać z panem, sir? - zdumiała się. - W życiu.

- Jak tam sobie chcesz. - Obserwował ją, jedząc sojowy stek.  
*Czy to uwielbienie dla bohatera, czy może mam do czynienia z jedną z tych trzech kobiet, przed którymi ostrzegła mnie Sha-*

*ron? Nie mogę cię, złotko, o to zapytać, dlatego myślę, że rozsądniej będzie utrzymywać większy dystans między nami, przynajmniej dopóki ta sprawa się nie wyjaśni.*

- Jeszcze nigdy nie byłam w gwiazdozbiorze Feniksa - mówiła tymczasem Rachel. - Wprost nie mogę się doczekać.

- Naprawdę?

Skinęła głową.

- Mam nadzieję, że dadzą nam przepustki i zejdziemy w końcu na ląd. Podobno w New Jamestown mają cudowną dzielnicę teatrów.

- Jeśli w tym gwiazdozbiorze jest tak nudno, jak powiadają, nie będzie żadnych powodów do przepustek.

- W Dalekim Londynie też mieliśmy niezłe teatry... - dodała w zadumie.

- Stamtąd pochodzisz? - zapytał Cole. - Tak.

- Słyszałem, że jest tam niesamowite muzeum sztuki.

Spędziła następne pół godziny na przybliżaniu mu uroków Nowego Londynu, a potem od razu wróciła na dyżur. Cole dokończył kawę, wrzucił kubek i tackę do atomizera i zjechał na najniższy pokład, aby dokonać inspekcji przedziału bojowego.

Forrice prowadził właśnie szkolenie. Czwooro kursantów - dwóch ludzi, Polonoi i Mollutei - zajmowało się właśnie poznawaniem tajników obsługi broni. Szło im całkiem niezle. Zadowolony Cole postanowił wracać na mostek.

- Mam nadzieję, że smakowało panu jedzenie - powiedział Briggs.

- Obawiam się, że nazwanie produktów sojowych „smaczonymi” byłoby wielką przesadą. „Jadalne”, to jedyne określenie, jakie do nich pasuje.

- Powiadają, że na Dalmatianie II są świetne restauracje - podpowiedział Briggs.

- Z tego, co słyszałem, Dalmatian II nie tylko z tego słynie - odparł Cole.

Na twarzy młodego porucznika pojawił się uśmiech świadczący o poczuciu winy.

- Wie pan, sir, jeść też czasem trzeba.

- Dobrze, że pan o tym pamięta - powiedział komandor. - Większość zdrowych kobiet i mężczyzn zbyt często zapomina o potrzebach organizmu.

- Ale nie powiedziałem, że stawiam jedzenie na pierwszym miejscu - dodał Briggs, nie przestając się uśmiechać.

- Dobrze wiedzieć, poruczniku, że ma pan tak doskonale poustawiane priorytety.

Wyjściu z tunelu czasoprzestrzennego towarzyszył niemal niewyczuwalny wstrząs.

- Jesteśmy w gwiazdozbiornie Feniksa - oznajmił Wxakgini.

- Znakomicie - powiedział Cole. - Chorążcy Jacillios, proszę nawiązać kontakt z „Bonapartem” oraz „Maracaibo” i ustalić termin spotkania.

Molarianka podniosła na moment wzrok.

- Coś jest nie tak, sir. Nie mogę ich namierzyć.

- Może dlatego, że pojawiliśmy się na miejscu przed nimi?

- Nie, sir - zaprzeczyła. - Sprawdziłam dane dotyczące wszystkich trzech kursów, dotarliśmy na miejsce jako ostatni, co najmniej dwie godziny po pozostałych okrętach. Cole zmarszczył brwi.

- Spróbujcie jeszcze raz. Jacillios wysłała kolejny sygnał.

- Żadnej odpowiedzi, sir.

- Chorążcy, kto na naszym okręcie jest najlepszym fachmanem od sensorów?

Zanim zdążyła podać odpowiedź, odezwał się Briggs.

- Ja nim jestem, sir.

- Jakie ma pan kwalifikacje?

- Kwalifikacje, sir?

- Skoro mam powierzyć w pańskie ręce los wszystkich istot na pokładzie tego okrętu, wolałbym mieć pewność, że podejmuję właściwą decyzję.

Briggs po prostu gapił się na niego.

- Prawdę powiedziawszy, sir... - zaczął.

- Nie przepraszaj - przerwał mu Cole. - Nie ma niczego złego w pewności siebie. Zadałem pytanie nie tej osobie, co trzeba.

- Nie znam odpowiedzi, sir - powiedziała Jacillios.

- Ale na mostku jest ktoś, kto ją zna - stwierdził komandor.

- Ktoś, kto jest przywiązany do naszego okrętu jak nikt inny.

Ktoś, kto zna go tak dokładnie, że będzie wiedział najlepiej,

kim jest osoba, której szukam. - Ruszył w stronę gniazda pilota.

- Potrzebuję twojej rady, Wxakgini. Kto jest najlepszym specem od sensorów na „Teddym R.”?

- Porucznik Mboya, sir - odparł pilot.

- Dziękuję - Cole odwrócił się do Briggsa. - Poruczniku, proszę wezwać ją na mostek.

- Właśnie skończyła białą wachtę, sir - odparł oficer pokładowy. - Może już spać.

- No to ją obudź.

Christine Mboya pojawiła się na mostku kilka minut później i Cole pokrótce wprowadził ją w sytuację.

- A teraz siadaj do sensorów i zobacz, czy tą drogą czegoś się dowiemy - zakończył.

Spędziła ponad dziesięć minut, skanując, sprawdzając i weryfikując ponownie wszystkie uzyskane dane. W końcu podniosła wzrok.

- Nie mogę dowieść ze stuprocentową pewnością, że to „Bonaparte” - powiedziała - ale znalazłam tam całą masę

szczątków, małych i większych, w odległości około dwudziestu lat świetlnych od miejsca, w którym się znajdujemy. Charakterystyczny ślad po okręcie, który został trafiony salwą z dział pulsacyjnych.

- A co z „Maracaibo”?

- Nie ma po nim śladu.

- Więc dlaczego uważasz, że te szczątki należą akurat do „Bonapartego”?

- Po obecności tytanu - wyjaśniła. - „Maracaibo” jest jedną z nowszych jednostek. A my zaprzestaliśmy stosowania stopów tytanu jakieś pięć lat po zbudowaniu „Bonapartego”.

- W tym gwiazdozbiornie nie powinno być wrogich okrętów - zdumiał się Cole. - Co tu się zdarzyło, u licha?

- Nie mam pojęcia - odparła Christine. Nagle twarz jej stężała. - Ale zaraz wydarzy się ponownie.

- O czym ty mówisz?

Wskazała mikroskopijną plamkę widoczną na wyświetlaczu.

- Pancernik Teroni.

- Nie pytam nawet, czy mamy broń albo tarcze, którymi możemy mu się przeciwstawić - powiedział

Cole.

- Nie ma na to najmniejszych szans - odparła z ponurą miną.

## Rozdział trzynasty

- Pilocie, zabieraj nas stąd, i to już! - rozkazał Cole, widząc, że wrogi okręt nie zmienił kursu na przejście. Komandor odwrócił się do Christine Mboyi, gdy „Teddy R.” zawrócił i rozpoczął wykonywanie uniku. - Jaki zasięg może mieć ich broń?

- Nie mam pojęcia, czym dysponuje ta klasa okrętów, sir - przyznała. - Ale na pewno mają na pokładzie na tyle potężne systemy uzbrojenia, żeby zniszczyć „Bonapartego”, a kto wie, może i „Maracaibo”.

- Domyślam się, że w tym sektorze nie stacjonują inne okręty Republiki.

- Nie, sir - odpowiedział Briggs. - Pozostałe trzy jednostki zostały przeniesione kilka dni temu.

- Sir, mogę wysłać sygnał sos - zasugerowała Jacillios.

- Ani mi się waź! - oświadczył stanowczym głosem Cole. - Jeśli poczują krew, nie popuszczą i będą nas ścigali, dopóki nie dopadną. Połącz mnie z Cztery Oczy.

- Ma pan na myśli komandora Forrice, sir?

- Nie gadaj, tylko łącz.

Po kilku sekundach Cole zobaczył hologram Molarianina.

- Co macie takie ponure gęby? - zapytał Cztery Oczy, rozglądając się po mostku. - O co chodzi?

- „Bonaparte” i „Maracaibo” zostały zniszczone - wyjaśnił Cole - a okręt, który tego dokonał, leci teraz w naszą stronę. Chcę, żebyś został na stanowisku w przedziale bojowym i za-trzymał tam wszystkich kursantów. Wyślemy wam dodatkowe racje żywniowe, poproszę też lekarza, żeby wpadł za kilka godzin i podał wszystkim środki pobudzające.

- Widziałem tę jednostkę na wyświetlaczach - odparł Forrice. - Komputer twierdzi, że znajduje się poza naszym zasięgiem. Nie ma sensu strzelać, zanim nie podleci bliżej.

- Nie macie do niczego strzelać, zresztą nasze główne systemy i tak są teraz nieczynne - przerwał mu Cole. - Nie możemy równać się z jego siłą ognia. Zanim podejdziemy na odległość skutecznego trafienia, jego baterie rozniosą nas na strzępy.

- Rozumiem. W takim razie proszę o pozwolenie na odmeldowanie się i sprawdzenie, czy wszystkie systemy są w pełni sprawne i czy zostały aktywowane.

- Zezwalam - powiedział Cole i przerwał połączenie. - Jak nam idzie, pilocie?

- Ja też mam imię - odparł Wxakgini.

- Wiem... ale zanim nauczę się je poprawnie wymawiać, ta wojna dobiegnie końca. Czy oni nadal lecą za nami?

- Namierzali nas - odparł Bdxeni - ale nie wygląda na to, żeby zamierzali się zbliżyć.

- Rozumiem. Dziękuję. - Cole odwrócił się do Jacillios. - Czy nieprzyjaciel nadaje jakiegokolwiek komunikaty? Ostrzeżenia, rozkazy, pytania?

- Nie, sir.

- Zatem nie zbliżają się, tylko nas namierzają - podsumował, marszcząc brwi. - A przed chwilą zniszczyli dwa nasze okręty.

- Zakładamy, że to zrobili, sir - poprawiła go porucznik Mboya. - Nie wiemy tego na pewno.

- Ale prawdę możemy poznać jedynie, kiedy ich zapytamy... - powiedział komandor. - To ja już wolę uznać moje domysły.

- Przecież to nie ma najmniejszego sensu - zaprotestował porucznik Briggs. - Dlaczego niszczą dwa nasze okręty, a potem

pozwalają nam uciec, wiedząc doskonale, że zameldujemy o nich i flota natychmiast przyśle tutaj ogromne siły.

- Dobrze pytanie - przyznał Cole. - Znam przynajmniej trzy powody takich zachowań, ale może być ich znacznie więcej.

Briggs zachmurzył się.

- Mnie przychodzi na myśl wyłącznie to, że właśnie zbierają się do odlotu z tego gwiazdozbioru i mają gdzieś, czy nasza flota pojawi się tutaj jutro.

- To dopiero nie ma sensu, poruczniku - powiedział Cole. - Trwa wojna. Zniszczyli nam dwa okręty. Mają szansę na zniszczenie „Teddy'ego R.”. I uważa pan, że darowaliby sobie taki sukces tylko dlatego, że opuszczają już ten sektor?

- Przepraszam, sir.

- Za to, że się pan pomylił? - zapytał Cole. - Za coś takiego nie trzeba przeproszać.

- Nie, przepraszam za to, że gadam bez zastanowienia. Szczerze powiedziawszy, chciałem panu czymś zaimponować.

- Za szczerłość tym bardziej nie powinien pan przeproszać, panie Briggs - odparł Cole. - Zastanów się pan teraz przez chwilę, przemyśl pan temat, a zobaczysz to, co i ja widzę. - Przeszedł do stanowiska Molarianki. - Chcę porozmawiać z lekarzem. Nie, czekaj, połącz mnie z wydziałem bezpieczeństwa.

W powietrzu zawisł hologram wysokiej, kanciastej istoty z Pelleanoru. Miała szarawą skórę, przenikliwe, pomarańczowe oczy i tak wystające kości policzkowe, że równie dobrze można by je wziąć za skrzydła. O tym, jakiej była płci wiedzieli wyłącznie inni Pelleanorczyki.

- Gdzie jest Sharon Blacksmith? - zapytał Cole.

- Zasnęła - odparł Pelleanorczyk. - Pracowała od połowy czerwonej wachty aż do końca białej.



- Nie znamy się jeszcze - powiedział Cole. - Czy wiesz, kim jestem?

- Oczywiście - oświadczył mechanicznym głosem T-tor Pelleanorczyka. - Monitorowałem pana wielokrotnie od czasu, gdy pojawił się pan na pokładzie.

- Doskonale. Chcę, żebyś postawił na nogi tak wielu podległych ci agentów, ilu uznasz za stosowne i doprowadził więźniów do izby chorych albo odwrotnie, lekarza do nich. Jeśli doktoręk uzna, że potrafi w ciągu dwóch godzin oczyścić z toksyn organizm kogoś i postawić go na nogi, pozwólcie mu to zrobić.

- A jeśli uzna, że nie może?

- To zamknijcie wszystkich sierżantów w celi i dopilnujcie, żeby lekarz podał środki stymulujące marynarzom, którzy ich zastępują.

- Tak będzie - oświadczył Pelleanorczyk i przerwał połączenie.

- Pilotcie, czy oni nadal nas namierzają? - zapytał Cole.

- Zwiększyłem nieco dystans pomiędzy nami - odparł Wxakgini - ale w istocie rzeczy nie wiem, czy stało się tak dlatego, że lepiej manewrujemy, czy oni nam na to pozwolili.

- Nadal nie ma żadnych komunikatów?

- Ani jednego, sir - potwierdziła Jacillios.

- To by się zgadzało.

- Z czym, sir?

Cole nie odpowiedział, skinął tylko głową.

- Sir? - odezwał się nieśmiało Briggs.

- Co tam znowu?

- Przemyślałem sobie sprawę tych trzech wyjaśnień dotyczących aktualnego zachowania Teroni - powiedział młody oficer.

- I do czego pan doszedł?

- Pierwsza możliwość jest taka, że „Bonaparte” albo „Maracaibo” doprowadziły do poważnych uszkodzeń tego pancernika. Na pewno nie załatwiły go całkowicie, bo wtedy nie mógłby nas namierzyć, ale na tyle uszczupliły jego systemy bojowe, że dowódca nie może albo i nie chce podjąć kolejnej walki, pomimo iż dysponuje o wiele większym i potężniejszym okrętem.

- To pierwsze wyjaśnienie, panie Briggs. Czy wpadł pan na inne?

- Wiedzą już, że Republika wysłała trzy okręty do gwiazdozbioru Feniksa. Mogą się obawiać, że w drodze są kolejne, może nawet wiele, i nie dadzą sobie rady. A my możemy być tylko przynętą, która ma ich zatrzymać w tej gromadzie.

- Moglibyśmy być przynętą - przyznał Cole, choć z wyrazu jego twarzy można było wywnioskować, że nie uwierzyłby w taką ewentualność nawet przez ułamek sekundy.

- Obawiam się, że życia by mi zabrakło, żeby wymyślić trzecią możliwość.

- To może być także blef, którego powodów jeszcze nie znamy. Mogli stracić zasilanie systemów bojowych, jeden Bóg tylko wie, ilu sabotażystów kręci się po pokładach przeciwnej strony. Część oficerów tego pancernika mogła się udać na którąś z planet. A może cała ta gromada gwiazd, to jedna wielka pułapka i pozwalają nam uciec, żeby wciągnąć w nią znacznie większe siły Republiki, które tu ściągniemy. Może też być tak, że religia im zabrania niszczenia więcej niż dwóch okrętów akurat tego dnia tygodnia. Nasz problem polega wyłącznie na tym, żeby wybrać ten powód, który jest prawdziwy. I nie możemy się przy tym ani razu pomylić.

- Ale jak to zrobić? - zapytała Jacillios.

- Potrzebujemy trochę więcej danych - powiedział Cole. - I jestem pewien, że je zdobędziemy. Wydaje mi się, że powinniśmy powiadomić o wszystkim kapitana.

- Nie informował go pan o niczym podczas wypadu na Rozponkę - zauważył Briggs.

- Ale wtedy zabrałem tylko jeden wahadłowiec z dwoma ochotnikami na pokładzie, żeby nie narażać całej załogi i „Teddy'ego R.” - wyjaśnił Cole. - W tym przypadku okrętowi grozi niebezpieczeństwo bez względu na to, co zrobimy, dlatego dowódca musi zdecydować o kolejnych ruchach... - przerwał. - Chorąży Jacillios, proszę wezwać także pierwszego oficera.

- Czy mam nadać sygnał czerwonego alarmu, sir? - zapytała Molarianka.

- Tylko nie czerwony alarm - upomniał ją Cole. - A co, jeśli zaatakują nas za jedenaście godzin, albo piętnaście czy dwiętnaście? Wolałbym, żeby ktoś był wtedy na tyle przytomny, by to zauważyć. Pozwólmy spać tym, którzy mają wolne. Chcę porozmawiać wyłącznie z kapitanem.

- Komandorze! - zawołał wyraźnie zdenerwowany Wxakgini.

- O co chodzi? - zapytał Cole.

- Nieprzyjaciel zawraca.

- Potwierdzam - dodał Briggs, nie odrywając oczu od ekranu komputera. - Przerwali pościg.

- To przecież totalny bezsens - powiedział Cole. - Powinni nas nadal ścigać. Dlaczego mieliby się zatrzymywać? - Zmarszczył brwi, starając się ogarnąć wszystkie możliwości, po chwili namysłu ruszył w stronę Wxakgini. - Pilocie, czy mamy zaznaczenie wszystkich tuneli czasoprzestrzennych w tej gromadzie?

- Tylko pięć największych, sir - odparł Bdxeni.

- Czy możesz założyć, zapominając na moment o stanie faktycznym, że okręt Teroni znajduje się w samym centrum tej gromady gwiazd, a nie tutaj, na jej obrzeżu? Czy jeden z tych tuneli mógłby przenieść nas o jakieś sto dwadzieścia do dwustu czterdziestu stopni wokół niego?

- Niech sprawdzę... To raczej kwestia odczuć niż obliczeń, kiedy jestem podłączony do komputera nawigacyjnego... - zamilkł. - Tak, możemy wejść w tunel czasoprzestrzenny, który znajduje się o rok świetlny od naszej aktualnej pozycji i wyjść sto siedemdziesiąt trzy stopnie za okrętem Teroni.

- Wykonać.

- Teraz? - Tak.

- A nie powinniśmy poczekać na przybycie kapitana? - zapytał Wxakgini. - Lada chwila powinien dotrzeć na mostek.

- Ale do tej pory ja tu dowodzę - przerwał mu Cole. - I wydałem ci rozkaz.

Bdxeni nie odpowiedział, ale sekundę później okręt zszedł z dotychczasowego kursu i zaraz potem zniknął w tunelu czasoprzestrzennym. Istoty podróżujące przez takie anomalie, z wyjątkiem nielicznych przypadków, nie odczuwały żadnych fizycznych skutków wejścia w nadprzestrzeń. Ale tym razem mieli do czynienia z takim właśnie wyjątkiem. Cole poczuł falę gwałtownych zawrotów głowy, musiał chwycić się czegoś, by nie upaść, ale w tym samym momencie wzrok zaczął mu płatać figle i zamiast oprzeć się o najbliższą grodzień, zwałił się jak długi na pokład. Wiedział, że nie powinien próbować wstać, zanim nie wynurzą się ponownie z nadprzestrzeni, został więc na twardym metalu zaciskając oczy i starając się ignorować ból promieniujący z licznych otarć.

Okręt wyszedł z tunelu czasoprzestrzennego po mniej niż minucie i dopiero wtedy Cole mógł stanąć na obolałych nogach.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczył Wxakgini. - O ile trafienie pomiędzy dwie gwiazdy klasy M można określić tym mianem.

- A ja się cieszę, że podróże tunelami czasoprzestrzennymi nie mają najmniejszego wpływu na przedstawicieli twojej rasy - powiedział Cole.

- Mają - odparł Wxakgini. - Ale kiedy jestem sprzężony ze statkiem, moje zmysły są chronione przez synapsy jego obwodów logicznych. Gdybym znajdował się przed chwilą tam gdzie ty, także straciłbym orientację.

- Informacja o tym, że nie możesz odczuwać zawrotów głowy, dopóki komputer nie poczuje tego samego, przyda nam się w przyszłości - powiedział Cole. - Czy dostrzeżono nas już na okręcie Teroni?

- Jeszcze nie.

- Chorąży, czy kapitan jest w drodze na mostek?

- Jeśli nie wyruszył przed wykonaniem skoku, jestem pewna, że naprawił już swój błąd - odparła Jacillios.

- Komandorze? - odezwał się Wxakgini.

- Tak?

- Okręt Teroni zbliża się do nas.

- Z maksymalną prędkością?

- Nie, sir.

- Zawróć.

- Nie rozumiem - powiedział Bdxeni.

- Kieruj się na centrum tej gromady. I pod żadnym pozorem nie próbuj zmienić kursu.

- Nawet jeśli zaczną do nas strzelać?

- Zapytasz mnie o to, kiedy zaczną strzelać - odparł Cole w momencie, gdy Góra Fuji i komandor Podok, dosłownie jedno po drugim, wkroczyli na mostek.

- Co tu się dzieje, panie Cole? - Fujiama, nie spuszczać oczu z wyświetlaczy, zażądał wyjaśnień.

- Wszystko wskazuje na to, że pancernik Teroni zniszczył „Bonapartego” i „Maracaibo” - wyjaśnił Cole. - Ten sam okręt niespiesznie zmierza teraz w naszym kierunku.

- Niespiesznie? - powtórzył Fujiama.

- Tak jest, sir.

- Proszę mi to wyjaśnić.

- Czaił się na nas obok chmury szczątków, która naszym zdaniem jest pozostałością przynajmniej po „Bonapartem”, jeśli nie po obu jednostkach - wyjaśnił Cole. - Zatrzymaliśmy się poza zasięgiem jego broni pokładowej, ale gdy na jego pokładzie dostrzeżono nasze przybycie, pancernik ruszył w naszą stronę. Nie możemy się z nim równać pod żadnym względem, więc nakazałem pilotowi, aby wykonał unik i wycofał „Teddy'ego R.”.

- Przez tunel czasoprzestrzenny? - zapytał Fujiama.

- Nie, sir - odpowiedział komandor. - Pancernik Teroni leciał za nami na przestrzeni jakichś dwóch lat świetlnych, a potem przerwał pościg.

Fujiama zmarszczył brwi.

- Przecież to nie ma sensu. Jeśli mu uciekniemy i zgłosimy raport o tych wydarzeniach, do jutra admirał Pilcerowa wyśle do tej gromady gwiazdnej tuzin największych okrętów.

- Admirał Pilcerowa nie żyje, sir - poinformowała go Jacillios.

- No to... admirał Rupert je tu przyśle - powiedział poirytowany kapitan. - Chodzi mi o to, że wypuszczając nas, ściągną sobie na głowę całą flotę.

- Skoro my o tym wiemy, oni także musieli to zrozumieć, sir - wtrącił Cole.

- Do czego pan zmierza, panie Cole? - Góra Fuji rzucił spojrzenie na kolejny wyświetlacz. - I dlaczego wokół jest tyle gwiazd? Nie znajdujemy się w głębokiej przestrzeni?

- Rozkazałem pilotowi wykonanie manewru okrążenia jednostki Teroni, chociaż „okrążenie” nie jest może właściwym słowem w tym wypadku, sir - odparł Cole. - I dlatego właśnie przelecieliśmy przez tunel czasoprzestrzenny. Chwileczkę, sir... - odwrócił się do Wxakgini. - Czy nieprzyjaciel zwiększył prędkość?

- Nie, sir - odparł pilot.

Cole pozwolił sobie na przelotny uśmiezek tryumfu.

- Chyba nie mogą tego zrobić.

- Panie Cole - odezwała się Podok - nadrzędnym celem drugiego oficera jest zapewnienie bezpieczeństwa „Teodorowi Rooseveltowi”. Zmarnował pan właśnie okazję do ucieczki z tej gromady i wezwania posiłków. To mi wygląda na poważne naruszenie regulaminu służby.

- Ten pancernik nie będzie tu sterczał do jutra - zapewnił ją Cole. - Posiłki przybyłyby zbyt późno, a poza tym odciągnęlibyśmy wiele jednostek z miejsc, w których są naprawdę potrzebne.

- To bardzo wygodna wymówka w sytuacji, gdy oskarżam pana o nadużycie władzy, o którym nie omieszkać zameldować po rozpoczęciu kolejnej białej wachty.

- Panie Cole, proszę mi wyjaśnić, dlaczego pańskim zdaniem Teroni nie polecą w naszą stronę z maksymalną prędkością, strzelając po drodze ze wszystkiego, co mają na pokładzie?

- Ależ, sir! - wtrąciła się Podok. - Ten człowiek już raz zlekceważył wydane rozkazy. Znajdujemy się w sytuacji militarnego zagrożenia. Wysłuchiwanie jego teorii to czysta strata czasu.

Fujijama wyprostował się na całą wysokość, czyli na niemal siedem stóp.

- Proszę mnie nie pouczać, na czym mają polegać moje obowiązki, komandorze Podok - powiedział, akcentując każde słowo. - Uważa pani, że do jej obowiązków należy zgłoszenie tego człowieka do raportu, proszę bardzo, nie będę robił pani z tego powodu jakichkolwiek wyrzutów. Ja jednak sądzę, że moim nadrzędnym obowiązkiem jest wysłuchanie każdego oficera, który może wnieść coś sensownego do sprawy, zanim wydam ostateczny osąd. Panie Cole proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

- Istnieje tylko jedna racjonalna odpowiedź wyjaśniająca, dlaczego nie podjęli za nami pościgu w kierunku skraju tej gromady i nie spróbowali nas zniszczyć, sir.

- Czyli?

- Teroni nie wiedzą, że do patrolowania tego sektora wyznaczyliśmy tylko trzy okręty - wyjaśnił Cole. - Okręt wojenny Republiki jest niezwykle cenną zdobyczą, dlatego więc nie mieliby ścigać nas do momentu, w którym zbliżyliby się na odległość skutecznego strzału? Na to mam również jedyną pewną odpowiedź: ponieważ strzegą czegoś o wiele cenniejszego. Właśnie dlatego nakazałem pilotowi wykonanie manewru okrążenia tego pancernika, żeby zobaczyć, czy chętniej rzuci się na nas, jeśli znajdziemy się bliżej centrum gromady niż na jej obrzeżu, gdzie moglibyśmy połączyć siły z kolejnymi jednostkami Republiki przybywającymi do tego sektora. A skoro nie ważyli się ruszyć za nami, uznałem, że nie robią tego wyłącznie z obawy pozostawienia bez osłony tego, czego strzegą.

- Usłyszałam wyłącznie ciąg domniemań - prychnęła Podok.



- Zatem dlaczego nie podjęli za nami natychmiastowego pościgu? - zapytał ją Cole.

- To już nie moja sprawa - odcięła się Podok. - Rozkazy wydane naszemu okrętowi są jasne.

Cole zwrócił wzrok na Fujiamę.

- Czy mam kontynuować, sir?

- Proszę.

- Dobrze. Domyśliłem się, dlaczego ten pancernik pojawił się w tym miejscu, chociaż aktywność militarna w gwiazdozbiorze Feniksa jest o wiele mniejsza niż nawet na Obrzeżach. Ktoś niezwykle ważny przybył na spotkanie, które odbywa się na jednej z planet tego sektora. Spotkanie rozpoczęło się mniej więcej dwa dni temu, kiedy rozpoczęto rotację naszych jednostek patrolowych. Teroni nie zdawali sobie sprawy z tego, że dzisiaj pojawią się tutaj trzy nowe okręty.

- Dlaczego zatem zniszczyli dwa pierwsze? - zapytała Podok, nie kryjąc agresji tak w głosie, jak i postawie. - Czymże tak wystraszył ich „Teodor Roosevelt”?

- Zniszczyli „Bonapartego”, ponieważ wyłonił się z tunelu czasoprzestrzennego jako pojedyncza jednostka, nie część formacji. Tunele czasoprzestrzenne są w ciągłym ruchu, tak samo jak planety i całe mgławice. Może ruszyli na „Maracaibo”, gdyż pojawił się zbyt blisko planety, na której trwało spotkanie...? - Cole przerwał i przyjrzał się kapitanowi oraz komandor Podok, aby upewnić się, że zrozumieli każde jego słowo. Zauważył także, że porucznik Briggs wręcz spija słowa z jego ust. - Ale kiedy my pojawiliśmy się w normalnej przestrzeni, dostrzegliśmy chmurę fragmentów i zatrzymaliśmy się poza zasięgiem ich baterii. Gdybyśmy podlecieli bliżej, pewnie otworzyliby ogień, ale w tej sytuacji nie mogli podjąć pościgu, ponieważ nie

wiedzieli, czy za moment nie pojawią się tutaj następne okręty floty republikańskiej i bali się pozostawić planetę bez ochrony. Fakt, że nie zareagowali na naszą ucieczkę, każe domniemywać, iż nie zamierzają siedzieć tutaj tak długo, aby obawiać się wezwanych przez nas posiłków.

Fujijama milczał dłuższą chwilę.

- To ma sens - oświadczył w końcu.

- Powinniśmy natychmiast opuścić tę gromadę i powiadomić o wszystkim admiralicję - powiedziała Podok i odwróciła się do Cole'a. - Jeśli okaże się, że miał pan rację, dodam do mojego raportu załącznik, chociaż nie wycofam zarzutów o niewykonaniu rozkazu i narażeniu okrętu na niebezpieczeństwo.

- Okręt jest tutaj równie bezpieczny jak w głębokiej przestrzeni - odciął się Cole. - Pilocie, czy okręt Teroni wykonał już zwrot?

- Właśnie zaczyna to robić, sir - odparł Wxakgini.

- Bez względu na to, jaką podejmie aktywność, powinniśmy natychmiast stąd odlecieć - naciskała Podok. - Jeśli nawet ma pan rację, Teroni zaczną nas ścigać, kiedy tylko zakończy się to spotkanie.

- Składam decyzję w pańskie ręce, kapitanie - powiedział Cole. - Ten pancernik chroni osobę, która wrogowi wydaje się ważniejsza niż zniszczenie okrętu wojennego, a jutro już jej tu nie będzie. Naprawdę chce pan przepuścić taką okazję?

- To byłoby przepiękne trofeum w kolekcji „Roosevelta” - przyznał Fujijama głosem pełnym zadumy, a potem zachmurzył się. - Ale mamy na pokładzie tylko jednego sprawnego technika uzbrojenia i obcego lekarza, jeśli poniesiemy straty, nie będziemy...

- „Teddy R.” nie musi z nikim walczyć - zapewnił go Cole. - Nie mamy odpowiedniej siły ognia.

- To o czym pan tu, u licha, gada? - zdziwił się Fujijama.

- Musimy zbliżyć się do okrętu Teroni tak blisko, jak to tylko możliwe i wypuścić wahadłowce. Nie odpalimy silników do chwili, gdy jednostka wroga minie nas, ścigając „Teddy'ego R.”. Wtedy ruszymy z kopyta, kierując się na planety, które wyselekcjonują nasze skanery. Na potencjalne miejsca tego spotkania. Poślemy im pigułę albo dwie i zmykamy prosto na punkt zborny w pobliżu tunelu czasoprzestrzennego.

- A skąd pan będzie wiedział, którą planetę zbombardować? - zapytała Podok. - Co będzie, jeśli skanery wahadłowców wykażą na pięciu lub więcej z nich ślady życia?

- To musi być planeta, na której nie ma kolonii ani miejscowej ludności - wyjaśnił Cole. - Nawet gdyby Teroni uważali mieszkańców któregoś z tutejszych światów za swoich popleczników, zawsze istniałoby ryzyko zamachu. Dlatego zakładam, że wybrali na miejsce spotkania martwy glob, nawet taki, na którym nie ma atmosfery, nie mówiąc już o tlenie. A zważywszy na orbitę pancernika, możemy zawęzić teren poszukiwań do trzech systemów gwiazdnych i zlokalizować właściwe miejsce w trakcie dokładniejszego skanowania po rozpoczęciu akcji.

- Kto będzie dowodził wahadłowcami? - zapytał Fujijama.

- Ja poprowadzę jeden, drugi możemy powierzyć komandorowi Forrice'owi.

- Ale mamy cztery wahadłowce, każdy nazwany imieniem jednego z dzieci Teodora Roosevelta - powiedział kapitan Fujijama. - Dlaczego mamy użyć tylko dwóch maszyn?

- Jeśli cokolwiek stanie się z „Teddym R.”, będzie pan mógł upchnąć w dwóch pozostałych większość załogi. Jak już wspomniała komandor Podok - wskazał głową Polonoj - moim nadrzędnym celem jest zapewnienie bezpieczeństwa okrętowi.

- Jak pan sądzi, ile mamy czasu do ich odlotu? - zapytał Fujiama.

Cole wzruszył ramionami.

- Mogę tylko zgadywać, ale skoro „Bonaparte” dotarł na miejsce tylko trzy godziny wcześniej od nas, wiemy na pewno, że Teroni są tutaj od co najmniej czterech godzin albo i dłużej. Nie pozwoliliby na odlot swoich ludzi, jeśli „Bonaparte” pojawił się w okolicy przed rozpoczęciem spotkania.

- Kapitanie - wtrąciła się Podok - chyba nie zamierza pan wysłać dwóch wahadłowców dowodzonych przez komandorów Cole'a i Forrice'a na terytorium, które kontroluje w tej chwili nieprzyjaciel.

- Nie, nie zamierzam - przyznał Góra Fuji.

- Nie zamierza pan? - Cole nie potrafił ukryć zdumienia.

- Cieszę się, że to słyszę - podsumowała ich wypowiedzi Podok.

- Straciłem podczas tej cholernej wojny całą rodzinę - powiedział kapitan. - Uznałem, że już dość krwi Fujiamów zostało przelane za Republikę. Chciałem dotrzeć do emerytury, robiąc najmniej jak się da, ignorując problemy, które występowały na pokładzie tego okrętu, zamiast na nie reagować z całą mocą i stanowczością... - przerwał na moment. - Dawno temu byłem dobrym oficerem. Wiem, że trudno wam w to uwierzyć, ale taka jest prawda. Pan Cole swoimi czynami przypomniał mi, kim mogłem się stać, gdyby sprawy potoczyły się inaczej i choć może tego nie wiedzieć, właśnie dzięki niemu zyskałem przekonanie, że czas włączyć się na nowo do tej wojny. - Nabrał powietrza do płuc i wypuścił je bardzo powoli. - Komandor Cole będzie dowodził pierwszym wahadłowcem, ale na pokładzie drugiego nie będzie komandora Forrice. Kapitanowie nie idą w

drugim szeregu, oni dowodzą. Ja zasiądę za sterami tej maszyny.

- Kapitanie, ja protestuję! - wrzasnęła Podok.

- Ma pani do tego pełne prawo - przyznał Fujijama.

- To więcej niż moje prawo - Polonoj nie dawała za wygraną. - To mój obowiązek.

- Nigdy nie zabraniałem pani wykonywać jej obowiązków - oświadczył Fujijama. - I dlatego proszę, żeby pani nie uniemożliwiała mi wykonywania moich.

Podok ruszyła w stronę szybów wind.

- Muszę podyktować raport.

- Oczekuję pani na mostku za dziesięć minut - zawołał za nią Fujijama. - Będzie pani dowodziła „Teodoreem Rooseveltem”, kiedy zejdem z pokładu.

- Będę o czasie - zapewniła, nie spoglądając za siebie.

Nagle kapitan zdał sobie sprawę, że Cole przygląda mu się z zagadkowym wyrazem twarzy.

- Na co się pan tak gapi? - zapytał.

- Tak sobie pomyślałem - wyjaśnił komandor - że jeśli przeżyjemy tę misję, służba na pokładzie „Teddy'ego R.” znacznie mi sprawiać czystą przyjemność.

## Rozdział czternasty

Cole pozwolił Fujiamie skompletować załogę swojej maszyny, potem wybrał Forrice'a, porucznika Briggsa i Christine Mboję. Podok oczywiście natychmiast oprotowała tę decyzję, twierdząc, że po opuszczeniu „Teddy'ego R.” przez Molarianna będzie jedynym starszym oficerem na pokładzie. Cole musiał przyznać jej rację.

- Kogo zatem weźmie pan ze sobą? - zapytał Fujiam.

- Wie pan, jeszcze nigdy nie widziałem na własne oczy Tolobity - odparł Cole.

- Chce pan wziąć ze sobą symbionta? - zapytała Podok z niedowierzaniem w głosie. - Dlaczego prosi pan o kogoś, o kim nic pan nie wie?

- Jeśli nie brał narkotyków, już na starcie wyprzedza o dwie długości niemal dziewięćdziesiąt procent załogi - wyjaśnił Cole. - A z tego, co wiem, powinien być czysty. Jeszcze nie widziałem symbionta, bez względu na rasę, z jakiej pochodził, który mógłby narkotyzować się albo pić bez narażania swojego towarzysza na niemal pewną śmierć lub przynajmniej poważne zatrucie. Czy on ma jakieś nazwisko?

Wiszący nad ich głowami Wxakgini roześmiał się na głos.

- Jeśli ma pan problemy z wymówieniem mojego imienia, nigdy nie nauczy się pan nazwisk Tolobitów.

- Mnie to nie będzie przeszkadzało - odparł Cole. - Taki jest mój wybór. Jacillios, przekaż mu, że spotkamy się przy „Kermicie” za trzy minuty.

- Powtórzmy raz jeszcze - Fujiam zwrócił się do Podok. - Podchodzi pani do wrogiej jednostki do momentu, w którym załoga pancernika zareaguje i ruszy w stronę „Teddy'ego R.”.

Wtedy wykona pani zwrot i zaczniecie uciekać. Komandor Cole i ja odłączymy w tym samym momencie nasze wahadłowce, ale nie uruchomimy żadnych systemów pokładowych. Jeśli w czasie akcji zabraknie nam tlenu, choć wątpię, żeby taka sytuacja miała miejsce, wykorzystamy zapasy ze skafandrów, żeby Teroni nie zarejestrowali odczytów. Jeśli nawet nas zauważą, pomyślą, że wyrzucacie z pokładu zbędny balast, żeby rozwinąć większą prędkość podczas ucieczki. Gdy pancernik nas minie, włączamy silniki i pędzimy prosto na najbardziej prawdopodobne cele planetarne. Kiedy namierzymy właściwe miejsce, bombardujemy cel, zanim okręt Teroni zdąży zawrócić, by go bronić.

- A jak zamierzacie wrócić na pokład „Teddy'ego R.”? - zapytała Jacillios. - Przecież wrogi pancernik będzie się znajdował pomiędzy nami a wami.

- To akurat prosta sprawa - wyjaśnił Cole. - Znamy wszystkie pozycje tuneli czasoprzestrzennych w tym sektorze. Federacja Teroni nigdy nie interesowała się gwiazdozbiorem Feniksa. Dlatego uważam, że załoga pancernika nie ma pojęcia o ich położeniu. Nie będziemy musieli wracać przez kwadrant zajmowany przez wroga. Odlecimy w stronę najbliższego tunelu czasoprzestrzennego i spotkamy się z „Teddym R.” u jego wylotu.

- Nie będziesz potrzebował Bdxeni do znalezienia tuneli? - zdumiał się Forrice.

- Zaufam zdolnościom porucznik Mboyi - odparł komandor.

- Jest pan gotowy, panie Cole? - zapytał Fujijama.

- Tak jest, sir.

- Zatem ruszajmy.

Kapitan, Cole i wybrani członkowie załóg ruszyli do śluz, przy których przycumowano wahadłowce.

- Ja biorę „Quentina” - zdecydował Fujjama.

- Mam nadzieję, że nie jest pan przesądny, sir - odezwał się Cole, słysząc jego słowa.

- Nie jestem, ale dlaczego pan o to pyta?

- Ponieważ ten właśnie syn Teodora Roosevelta zginął ze-strzelony przez pilota nieprzyjacielskiego samolotu.

- Zatem przyszedł czas na wyrównanie rachunków - powiedział Fujjama.

- Skoro tak pan mówi - odparł Cole. Rozejrzał się po pokładzie. - A gdzie jest, do cholery, nasz...? - zamilkł, przyglądając się zmierzającej w ich stronę przysadzistej, lśniącej, dwunożnej istocie. Określenie jej mianem humanoidalnej wymagałoby dodatkowego rozszerzenia i tak już niesłychanie mocno nadciągniętych granic tego określenia. Skóra istoty, gładka i oleista, naprawdę lśniła. Górne kończyny były masywne i mackowate, bardziej przypominały trąby słoni niż odnóża ośmiornic. Stworzenie nie miało na sobie żadnego ubioru, ale Cole nie potrafił dostrzec niczego, co przywodziłoby na myśl genitalia. Nie miało też karku, głowa wyrastała wprost z ramion, co sugerowało, że Tolobita nie mógł jej odwracać. W ustach nie miał zębów, w ogóle wyglądały jak narząd przystosowany wyłącznie do ssania płynów. Oczy były bardzo ciemne i szeroko rozstawione. Na twarzy nie dało się dostrzec ani śladu nozdrzy, a szczeliny po bokach głowy pełniły funkcję uszu. Z początku Cole uznał, że Tolobita ma skórę koloru złota, ale jej barwa zmieniała się z każdym krokiem.

Komandor szukał wzrokiem symbionta, jednak nigdzie nie mógł go dostrzec, pomyślał nawet, że ktoś musiał wprowadzić go w błąd.



Istota wydała z siebie dźwięk, jakby jednocześnie próbowała kaszleć i zadławić się. Cole zrozumiał, że wypowiadała swoje imię, gdy po tych dźwiękach usłyszał: „melduje się na rozkaz”.

- Gdzie twój towarzysz? - zapytał Cole.
- Mój towarzysz, sir? - Twój symbiont.
- Tutaj, sir.
- Czyli gdzie? - zapytał poirytowany Cole.
- Przecież patrzy pan na nas obu, sir.
- Mógłbyś to wyjaśnić?
- Może lepiej pokażę.

Nagle Tolobita przestał być gładki i oleisty, zniknęło lśnienie i zmiany kolorów. Skóra stała się ziemistoszara, wyglądała na bardzo delikatną i wrażliwą.

- Jest twoim naskórkiem? - zdziwił się Cole. - Wygląda jak naturalna skóra. Dlaczego zakwalifikowano go do kategorii symbiontów?

- To, co nazywa pan moim naskórkiem, w rzeczywistości nazywa się Gorib i jest żywą istotą myślącą, sir - wyjaśnił Tolobita. - Moja rasa nie posiada wewnętrznego systemu immunologicznego, dlatego musimy żyć w symbiozie z Goribami. One odławiają wszelkie zarazki i wirusy z otaczającego nas powietrza, chronią nasze ciała przed infekcjami, a w zamian my dostarczamy potrzebnego im pożywienia. Posiadamy obustronną łączność telepatyczną z symbiontami, pozostajemy razem do końca życia. Kiedy jedno z nas umiera, drugie ginie razem z nim.

- Ciekawe - przyznał Cole. - Ale muszę wymyślić ci imię, które da się wymówić.

- Rozumiem, sir.
- Co powiesz na „Śliski”? - Jak pan sobie życzy, sir.

- Zatem Śliski. - Cole odwrócił się do Briggsa i Christine. - Od tej pory, kiedy będziecie rozmawiali z nim albo ze mną o nim, mówicie o Tolobicie per Śliski.

- Proszę wybaczyć, sir, ale słowa odnoszące się do płci, takie jak „on” niezupełnie nadają się do określania mnie, a tym bardziej mojego symbionta.

- Postaram się to zapamiętać - powiedział Cole. A teraz pakujcie się do promu. Już lecimy w stronę pancernika Teroni, za kilka sekund na jego pokładzie zauważą naszą obecność. - Komandor odwrócił się do Briggsa. - Kiedy zajmiecie miejsca, wyjaśni pan Śliskiemu, o co w tym wszystkim chodzi. Pan i on zajmiecie się systemami uzbrojenia.

- Ja przeszedłem wyłącznie podstawowy kurs obsługi broni, sir - powiedział Śliski, gdy wsiedli na pokład i włączono zamknięcie za nimi. - I jeszcze nigdy nie oddałem ani jednego strzału w warunkach bojowych.

- Zatem masz świetną okazję do zdobycia nowych doświadczeń - powiedział Cole. - Nie martw się, będziesz miał u swojego boku porucznika Briggsa, a nasz cel raczej nie odpowie ogniem. - Odwrócił się do Christine. - Poruczniku Mboya, w chwili gdy pancernik Teroni minie naszą pozycję i uruchomimy silniki, ma pani natychmiast nawiązać łączność z „Quentinem”. Następnie skupi się pani wyłącznie na poszukiwaniu wszystkich tuneli czasoprzestrzennych znajdujących się za naszym celem. Nieważne, dokąd prowadzą. Jeśli na pancerniku zdążyli je namierzyć, i tak będziemy martwi, jeśli jednak ich nie mają w swoich komputerach, nie będą w stanie przewidzieć, gdzie się wynurzymy.

- Tak jest, sir.

I nagle już unosili się w przestrzeni kosmicznej.

- Zdaje się, że Teroni wreszcie zauważyli obecność „Teddy'ego R.” - powiedział Cole. - Nie możemy ich namierzać, kiedy wszystkie systemy są wyłączone. Dwukrotnie sprawdzałem ich średnią prędkość podczas ostatniego pościgu, według moich wyliczeń powinni minąć naszą pozycję za jakieś osiemdziesiąt sekund. Dodamy do tego jeszcze cztery minuty. Nie sądzę, żeby lecieli dłużej za „Teddym R.”... - przerwał na moment. - Gdyby Forrice teraz dowodził, zapewne nakazałby pilotowi zygzakować i wkurzać ich do maksimum, zanim rozwinąłby pełną prędkość, ale nie sądzę, że możemy liczyć na to, iż Podok postąpi w podobny sposób.

- Jak pan sądzi, sir, kogo oni chronią? - zapytał Briggs. - Admirala, a może jakiegoś generała?

- Tu nie chodzi o admirałów. Ci umawiają spotkania na pokładach własnych okrętów. Może to jakiś generał albo polityk. Na moje oko chyba chodzi o jakiegoś renegata. Ich politycy i generałowie nie muszą przylatywać do gwiazdozbioru Feniksa na rozmowy. Najprawdopodobniej mamy do czynienia z kimś, kto właśnie sprzedaje im Republikę. Może nie chodzi o skalę całego systemu politycznego, ale jego czyn może nam sprawić problemy w skali planet albo armii.

- Dwie i pół minuty, sir - poinformowała Christine.

Cole zasiadł za konsolą dowodzenia.

- W czasie gdy pani zajmie się szukaniem tuneli czasoprzestrzennych, a porucznik Briggs i Śliski rozpoczną testowanie systemów uzbrojenia, ja postaram się ustalić, która planeta może być naszym celem. Znajdujemy się teraz o trzy minuty lotu od wszystkich potencjalnych celów, więc lepiej bierzmy się do roboty.

Czekali w ciszy do chwili, w której Christine uruchomiła silniki „Kermita”. Gdy wystrzelili naprzód z prędkością światłą,

natychmiast nawiązała łączność z „Quentinem” i zajęła się rejestrowaniem znajdujących się w pobliżu tuneli nadprzestrzennych

- Widzę trzy potencjalne cele - oświadczył Fujijama. - Ja biorę na siebie Crepello IV, pan poleci na Bannistera II, kto pierwszy sprawdzi swoją planetę kieruje się na Nebout V.

- Jak dla mnie brzmi nieźle - odparł Cole. - Nie sądzę, że przelecieli taki kawał drogi, aby spotkać się na powierzchni planety o atmosferze chlorowej.

- Ja też mam taką nadzieję - powiedział Fujijama. - W zaznaczonym rejonie mamy z dziesięć podobnych obiektów, a będziemy dysponowali czasem na przeczesanie dwóch, może trzech. Musimy zmieścić się w przedziale trzech, czterech minut, zanim pancernik Teroni powróci.

Cole w mniej niż minutę ustalił, iż na Bannisterze II nie ma żadnych oznak życia i skierował przyrządy na Nebout V.

- Sir - Christine odezwała się kilka sekund później. - Pancernik Teroni przerwał pościg i wraca na pełnym ciągu silników.

- Nie przejmuj się okrętem - odparł Cole, nie odrywając wzroku od ekranu. - Szukaj tuneli czasoprzestrzennych.

- Crepello IV jest czysty - zameldował Fujijama. - Miał tam miejsce jakiś wypadek z materiałami rozszczepialnymi. Planeta została opuszczona, nadal jest na niej za gorąco, żeby przetrwały jakiegokolwiek formy życia.

- Zatem to musi być Nebout, ale, póki co, nie mam żadnych odczytów z jego powierzchni.

- Ja też nie - potwierdził kapitan. - Czyżby się pan pomylił?

- Nie - odparł Cole stanowczo. - Gdybym się mylił, pancernik Teroni nie pędziłby teraz w naszą stronę. - Sprawdził raz jeszcze odczyty skanerów. - Chyba ich mam!

- Na której planecie? - zapytał Fujijama.

- Na żadnej, ale pominęliśmy jeden z księżyców gazowego giganta, dziewiątej planety tego systemu, który także posiada atmosferę tlenową.

- Mam go! - zawołał podekscytowany kapitan. - I odbieram sygnały świadczące o wykryciu śladów życia!

- Proszę przesłać wszystkie dane do systemów uzbrojenia „Kermita” - poprosił Cole i odwrócił się do Christine. - Jak pani idzie wyszukiwanie tuneli czasoprzestrzennych? Potrzebuję jakiegoś w pobliżu Nebouta IX.

Pokręciła głową.

- Najbliższy znajduje się w pobliżu Bannistera. - Jest pani pewna?

- Tak jest, sir.

- Proszę wprowadzić jego koordynaty do systemu nawigacyjnego i rozpocząć namierzanie pancernika Teroni.

Po dziesięciu sekundach nadeszła odpowiedź.

- Koordynaty wprowadzone. Pancernik wejdzie w pole rażenia, ale ich broni, nie naszej, za mniej więcej dwie minuty.

- Ile czasu zajmie nam przelot z systemu Nebout do najbliższego tunelu czasoprzestrzennego?

Sprawdziła na komputerze.

- Siedemdziesiąt trzy sekundy, sir.

- Poruczniku Briggs, czy możemy trafić cel torpedą pulsacyjną z tego dystansu?

- Możemy, sir - odparł Briggs. - Ale pancernik zdoła ją przejąć, zanim doleci do celu.

- Zatem musimy odwrócić jego uwagę - powiedział Cole. - Odpalić torpedę.

- Odpalona - potwierdził Briggs.

- Poprawcie jeszcze jedną.

- Odpalona - tym razem potwierdzenie przyszło od Śliskiego.

- Ile torped nam jeszcze zostało?

- Tylko dwie, sir - poinformował go porucznik Briggs. - Znajdujemy się na pokładzie wahadłowca, któremu daleko do okrętu wojennego.

- Poruczniku Mboya, proszę skierować nas prosto na wylot tunelu czasoprzestrzennego. Poruczniku Briggs, proszę odpalić torpedę w kierunku pancernika Teroni.

- Nie mamy takich systemów namierzania, jak na „Teddym R.”, nie zdołamy go trafić.

- Nie obchodzi mnie, czy go trafimy, czy nie - powiedział Cole. - Ta torpeda ma odwrócić ich uwagę od celu.

- Odpalona - potwierdził Briggs.

- Wykryli torpedę, sir - zameldowała Christine. - Zmienili nieco kurs i kierują się prosto na nas.

- Wiedzą już, że lecimy w kierunku najbliższego tunelu, ale nie mają pojęcia, gdzie on się znajduje - ocenił komandor. - Dzięki temu kupiliśmy sobie kilka cennych sekund.

- Dokupię panu jeszcze kilka - usłyszał głos Fujiamy. - Proszę zrobić z nich dobry użytek, panie Cole.

- Sir - zameldowała Christine. - Kapitan nie kieruje się na wylot tunelu czasoprzestrzennego! On leci prosto na cel.

- Wy już odpaliliście swoje pociski, chociaż nie wiecie, czy trafią w cel, czy nie. Ja jeszcze mam swoje - wyjaśnił Fujiamy. - Jeśli Teroni myślą rozsądnie, ruszą za mną, a wam dadzą chwilowo spokój.

- Ale pan jest kapitanem - odparł Cole. - Nie może pan poświęcać swojego wahadłowca dla ocalenia naszego.

- Nie robię tego, by ocalić „Kermita” - powiedziała Góra Fuji. - Chcę, żeby się skoncentrowali na mnie, nie na torpedach pulsacyjnych, które pan odpalił.

- Ale...

- Żadnego ale, panie Cole. Lećcie prosto na wylot tunelu czasoprzestrzennego. Zabawiałem się w udawanie oficera i dżentelmena przez pięć długich lat, czas, żebym w końcu zaczął się zachowywać jak jeden z nich.

- Pancernik Teroni ponownie zmienia kurs, sir - zameldowała Christine. - Nie ma wątpliwości, że obrał kurs na „Quentina”.

- Za ile wejdą w zasięg skutecznego ognia?

- Za około trzydzieści sekund, sir.

- Czy po tym, jak ich dopadną, zdążą także dotrzeć do nas?

- Margines błędu jest niewielki, ale wydaje mi się, że wejdziemy w nadprzestrzeń na jakieś dwie, góra trzy sekundy przed kontaktem bojowym.

- Nie powinniśmy zawrócić i pomóc kapitanowi? - zapytał Śliski.

- To on dokonał tego wyboru - odparł komandor. - Zawrócenie oznacza stratę dwóch wahadłowców zamiast jednego. Ile nam zostało do skoku w nadprzestrzeń?

- Czterdzieści pięć sekund, sir - odpowiedziała Christine.

- Kontynuujcie lot i dajcie mi „Quentina” na główny wyświetlacz.

Nie widzieli terońskiego pancernika, wciąż znajdował się zbyt daleko dla sensorów pokładowych, ale mogli dostrzec „Quentina” pędzącego w stronę księżycy Nebouta IX. Wahadłowiec w ułamku sekundy i w oślepiającym błysku zamienił się z w

pełni sprawnej jednostki w chmurę odłamków i pozostałości po opancerzonym statku.

- Szlag... - mruknął Cole. - A mówiłem mu, żeby nie brał „Quentina”.

Sześć sekund później na powierzchni satelity doszło do potężnej eksplozji.

- Zadziało - ucieszył się komandor. - Nie zdążyli tak szybko przekalibrować systemów celowniczych. W momencie wejścia w nadprzestrzeń przekazał Podok, żeby zabierała się z tej gromady najszybciej jak potrafi. Teraz, kiedy nie ma już kogo pilnować, pancernik na pewno zechce wziąć odwet na „Teddym R.”.

- Dziesięć sekund do skoku w nadprzestrzeń - zameldowała Christine. - Osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwie...

Wahadłowiec zadrżał.

- Weszliśmy w tunel!

- Wysyłaj wiadomość! - zawołał Cole. - Panie Briggs, w co nas trafili?

- Nie mam pojęcia, sir. Wciąż lecimy z prędkością światłą, a nasze systemy laserowe są w pełni sprawne.

- Ale, do cholery, w coś przecież trafili!

- Mogę wyjść na zewnątrz i sprawdzić osobiście, jakie mamy uszkodzenia - zaproponował Śliski.

- Dzięki za dobre chęci, ale nie mamy na pokładzie skafandra pasującego na Tolobitę - odparł Cole.

- Nie potrzebuję skafandra - wyjaśnił Śliski. - Mój Gorib osłoni mnie przed próżnią.

- Twój symbiont? - Tak, sir.

- Możesz wyjść w temperaturę bliską absolutnego zera bez zapasu tlenu?



- Nie na długo co prawda, ale wystarczy czasu na dokonanie inspekcji kadłuba - oznajmił Śliski. - Potrzebuję tylko linki, żebym nie odleciał od wahadłowca.

- Panie Briggs, proszę wyposażyć Tolobitę we wszystko, czego tylko zażąda, zamknąć go w śluzie powietrznej i wypuścić na zewnątrz.

- Powtarzam panu po raz kolejny, nie jestem żaden „on” - upomniał go Śliski.

- Skoro mogę cię nazywać imieniem, które nie należy do ciebie, to i mogę ci od czasu do czasu zmienić płęć - odciął się Cole. - Możemy podyskutować na ten temat, ale nie teraz. Masz robotę do wykonania.

Briggs zamknął za Tolobitą właz, poczekał, aż ten zaczepi linę bezpieczeństwa w uchwycie i otworzył zewnętrzne wrota.

- Życie w ciele Tolobity musi być niesamowitą sprawą - zauważył Cole, gdy Śliski przesuwiał się nad kolejnymi sekcjami poszycia. - Nie tylko może natychmiast przystąpić do napraw kadłuba, ale idę o zakład, że zdołałby przeżyć przez kilka godzin bez specjalistycznego wyposażenia na powierzchni planet o atmosferze chlorowej i metanowej. Dlaczego więcej członków jego rasy nie służy w naszej marynarce?

- Śliskiemu nasze towarzystwo najwyraźniej nie przeszkadza - wtrącił Briggs. - Może to Goribowie są niechętni udziałowi w walce.

- Wytłumaczenie dobre jak każde inne - odparł Cole. - Musimy dbać o tego, którego mamy. Poruczniku Mboya, ile czasu pozostało do wyjścia z tunelu czasoprzestrzennego?

- Około czterech minut, sir.

- Jeśli Śliski nie wróci do śluzy za trzy minuty, proszę zwolnić, a jeśli nie pojawi się tam za trzy i pół minuty, proszę zastrzymać wahadłowiec. Jego symbiont wygląda naprawdę inte-

resująco, ale nie wydaje mi się, żeby nawet Gorib był w stanie przetrzymać bez osłon wyjście z tunelu do normalnej przestrzeni.

- Sir, nie wiem, czy zatrzymanie wahadłowca w nadprzestrzeni jest w ogóle możliwe.

- Zatem miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli się o tym naocznie przekonywać. W każdym razie proszę spróbować po upływie trzech i pół minuty.

Problem przestał istnieć, gdy dwie minuty później Śliski pojawił się w śluzie. Porucznik Briggs dostosował temperaturę, zawartość tlenu i grawitację, potem wpuścił go do środka.

- I co tam? - zapytał Cole.

- Mamy niewielkie uszkodzenia na rufie, sir - zameldował Tolobita. - W przestrzeni nie będzie problemu z nawigacją, ale w atmosferze możemy mieć spore kłopoty z kierowaniem, dopóki wahadłowiec nie przejdzie gruntownego remontu.

- Ale nie przeszkadzają nam w dokowaniu przy „Teddym R.”? - upewnił się Cole.

- Nie, chyba że planuje pan dokować w stratosferze albo atmosferze.

- Dziękuję wam, Śliski.

- Właśnie otrzymałam zakodowaną wiadomość z „Tedy'ego R.” - zameldowała Christine. - Już wiedzą, że wyszliśmy z tunelu i czekają na nasze przybycie. Udało nam się, sir!

- Przynajmniej niektórym się udało - odparł Cole. - Dobrze, wracajmy na pokład powiadomić wszystkich, że kapitan nie żyje.

## Rozdział piętnasty

- Jak leci? - zapytał hologram Sharon Blacksmith. Cole leżał na koi, z głową opartą na ręce i czytał książkę na holowizorze.

- Nie narzekam - odparł z uśmiechem. - To i tak niczego by nie zmieniło.

- Nadal nie dostaliśmy odpowiedzi od dowództwa floty.

- Na pewno znowu nie potrafią zdecydować, czy mnie odznaczyć, czy zdegradować - powiedział Cole. - A fakt, że nie wiemy nawet, kogo zabiliśmy na tym księżycu, nie pomaga mojej sprawie.

- Nie potrzebujesz może towarzystwa?

- W mesie? - zapytał.

- Nie. W ciągu ostatniego miesiąca przybyły mi aż trzy funty. Mogę przyjść do twojej kwatery.

- A twoja reputacja na tym nie ucierpi?

- Na tym okręcie? - roześmiała się. - Raczej zyskam na tym... - przerwała na moment. - Będę u ciebie za kilka minut.

- Nie spiesz się - odparł Cole. - Nie będę miał nic do roboty, dopóki nie zacznie się niebieska wachta.

Rozłączyła się i stanęła w drzwiach jego kabiny dosłownie pięć minut później.

- Przepraszam za najście - powiedziała - ale zaczynam już szaleć od siedzenia w tym ciasnym gabinecie.

- Nie ma sprawy - uspokoił ją Cole, siadając na koi i opuszczając stopy na podłogę. - Ciesz się moim towarzystwem.

- Christine Mboya opowiedziała mi o twojej ostatniej przygodzie - powiedziała Sharon, przysuwając sobie krzesło. - Kapitan zachował się naprawdę szlachetnie.

- Tak uważasz?

- A ty nie? - zapytała.

- Gdybym to ja leciał „Quentinem”, odpaliłbym większość pocisków, jakimi dysponowała ta maszyna prosto w księżyc, resztę wypuściłbym na kurs nadlatującego pancernika i wiałbym kursem prostopadłym jak najdalej od „Kermita” - wyznał jej Cole. - Tym sposobem Teroni musieliby sami zdecydować, kogo zaatakują.

- Nie musisz niczego udowadniać na siłę - zaprotestowała.

- Może kapitan tego właśnie chciał.

Cole wzruszył ramionami.

- Może. Ale gdyby to Forrice siedział za sterami drugiego wahadłowca, tak jak planowałem, miałby przynajmniej pięćdziesiąt procent szans na powrót.

- Ale „Kermit” też miałby pięćdziesiąt procent szans na zniszczenie.

- To prawda - przyznał Cole. - Ale Góra Fuji postanowił poświęcić siebie. Postąpił szlachetnie, jednak uczono mnie, by nigdy nie zakładać, że to ja mam polec. Wręcz przeciwnie, podczas wszystkich szkoleń i ćwiczeń zakładaliśmy, że to wróg ma zginąć.

Sharon przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

- Wnosisz tak wiele sensu w życie na „Teddy R.”, Wilsonie, że spodziewam się, iż lada dzień dostaniesz rozkaz przeniesienia.

- Nie licz na to - uspokoił ją Cole. - Ten okręt to miejsce mojej zsyłki. I pozostanę tutaj na wieki. Wiesz - dodał - chyba nie powiedziałaś mi jeszcze, czym ty sobie zasłużyłaś na „Teddy'ego R.”?

- Miałam romans z przełożonym na moim ostatnim okręcie.

- I to wszystko?

- Nie był człowiekiem.

- Serce nie służy. Jak się kiedyś lepiej poznamy, musisz mi o tym dokładniej opowiedzieć.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

Cole zmierzył ją wzrokiem, zatrzymując się tu i ówdzie na bardziej ponętnych krzywiznach jej sylwetki.

- Nie - przyznał. - Myślę, że będę miał więcej zabawy, obrażając to sobie.

Zachichotała i zaczęła zbierać się do odpowiedzi, gdy nagle wyrósł przed nią hologram Pelleanorczyka z centrali bezpieczeństwa.

- Przepraszam, że przeszkadzam, pani pułkownik Blacksmith - powiedział - ale właśnie nadeszła wiadomość z dowództwa floty. Ma priorytet.

- Prześlij ją bezpośrednio do mnie.

- Ale komandor Cole jest tam z panią.

- On ma wyższy certyfikat dostępu niż ja - zbyła go Sharon. - I biorę na siebie pełną odpowiedzialność. Bierz się za wysyłanie.

- Tak jest, sir.

- Sir? - zdziwił się Cole.

- Jeśli nie posiadasz płci, a Pelleanorczyki jej nie mają, takie rozróżnienia mogą być dla ciebie problematyczne - wyjaśniła. - Już mam.

Twarz admirała floty Susan Garcii pojawiła się przed nią i zamarła w pół ruchu. Sharon wprowadziła szybkimi ruchami dziesięciocyfrowy kod, przekaz ożył.

- Kapitan Makeo Fujijama zostanie pośmiertnie odznaczony Medalem za Odwagę - oznajmiła pani admirał. - Komandor Podok otrzymuje awans na stopień kapitana i przejmuje dowo-

dzenie „Teodorem Rooseveltem”. Stanowisko pierwszego oficera pozostanie chwilowo nieobsadzone, zgodnie z sugestią zawartą w raporcie kapitan Podok skierowanym do admiralicji. Komandor Wilson Cole pozostanie na stanowisku drugiego oficera, podobnie jak komandor Forrice na stanowisku trzeciego oficera. „Teodor Roosevelt” uda się w trybie natychmiastowym do gromady Kasjusza. Czwarta flota szykuje się do wielkiego natarcia i sektor ten został wyznaczony na punkt zborny okrętów wymagających uzupełnień paliwa. Zadaniem „Teodora Roosevelta” będzie dopilnowanie, by składy paliwa nuklearnego znajdujące się na Benidosie II i Nowej Argentynie nie wpadły w ręce nieprzyjaciela. Hologram zniknął.

- Zastanawiam się, w jakiej rzeczywistości żyje ta kobieta - powiedział Cole. - Czy jej naprawdę się wydaje, że będziemy w stanie powstrzymać atak choćby pojedynczej jednostki Teroni, nie wspominając już o całej eskadrze?

- Na szczęście to już nie pańskie zmartwienie, drugi oficerze. Nasza nowa kapitan będzie musiała zmierzyć się z tym problemem.

- Możesz się założyć, że Podok podejdzie do tego rozkazu dosłownie i nigdy nie poprosi o dodatkowe wyjaśnienia - powiedział Cole.

- Właśnie sprawdziłam tę wiadomość. Nie ukryto w niej żadnych niebezpiecznych treści.

- A co w niej mogłoby być niebezpiecznego oprócz słów? - zainteresował się Cole.

- Cała masa rzeczy. W którymś miejscu mogłby zostać zaimplementowany błysk oślepiającego światła, albo dźwięk o określonym natężeniu, który spowodowałby trwałą głuchotę u odbiorcy, albo mogli dodać jakieś hipnotyzujące nagrania. Czasem robimy takie rzeczy, gdy uda nam się przechwycić ich prze-

kazy, które odsyłamy następnie do finalnego odbiorcy. Oni także robią nam podobne numery.

- A pracownicy wydziału bezpieczeństwa stoją zawsze na pierwszej linii?

- Mam soczewki kontaktowe i filtry w uszach, które chronią mnie przed takimi niespodziankami.

- Ale ja ich nie mam.

- Gdybym nie miała pewności, że ta wiadomość pochodzi od pani admirał, nie otworzyłabym jej tutaj. Nasze komputery dokonują bardzo dokładnych analiz takich przekazów. Tak czy inaczej, mogę ją oddać w ręce kapitan Podok. Dam jej nagranie i powiadomię, że zgodnie z posiadanymi uprawnieniami udostępnię je też całej załodze, o ile nie otrzymam innych rozkazów w tej materii - wstała. - Chyba lepiej będzie, jeśli otworzę przekaz z innego miejsca niż twoja kabina.

- Jasne, do zobaczenia.

Wyszła na korytarz. Cole powrócił do lektury, którą przerwał mu pół godziny później inny gość - sierżant Eric Pampas z przedziału bojowego.

- A niech mnie, jeśli to nie Dzikie Byk we własnej osobie - powiedział Cole. - Jak tam samopoczucie?

- Czuję wstyd - odparł Pampas. - I upokorzenie.

- Zważywszy na sytuację, zupełnie słusznie.

- Przyszedłem pana przeprosić, sir. Domyślałem się, że znalazłem się w pańskim raporcie, ale zasłużyłem sobie na to. Chciałbym jednak, żeby pan wiedział, iż taka sytuacja więcej się nie powtórzy.

- A dlaczego wydarzyła się za pierwszym razem? - zapytał Cole.

- Miałem żal, że wywalono mnie na tę krypę z bandą leni na pokładzie. No i nudziłem się strasznie. Jestem ekspertem od

uzbrojenia, który nie widział wrogiego okrętu od przeszło roku. - Cole nie odezwał się, a Pampas niezręcznie poruszył nogami. - Tutaj czasami łatwiej było o narkotyki niż o jedzenie. No i wszyscy inni je brali. - Cole wpatrywał się w niego z obojętnym wyrazem twarzy. - Gówniane mam wytłumaczenie, nie sądzi pan? - dodał sierżant.

- Nie zaprzeczam - przyznał Cole.

- Ale mówię samą prawdę, sir. Brałem, bo nikomu to nie wadziło. Kapitanowi zwisało, co robię, a dowództwo floty miało w dupie, co stanie się z „Teddym R.”. No niech pan spojrzy na nasze uzbrojenie, sir. Nie możemy mierzyć się z żadnym nowoczesnym, dobrze wyposażonym okrętem Teroni, strzelając z tego złomu, który mamy na pokładzie, wiem, co mówię, bo sam go obsługuję. A skoro dowództwo miało wszystko w dupie, to i załoga zaczęła olewać obowiązki. A potem na pokładzie pojawił się pan i pokazał nam, że jednak komuś zależy. Ryzykował pan życiem na Roszponce, wsadził pan całą moją zmianę do ancla w sytuacji, kiedy wszystkim innym zwisało, w jakim stanie pracujemy, no i słyszałem o tym, czego pan dokonał w gwiazdozbiornie Feniksa, sir... - Zapadła niezręczna cisza. - Chciałem tylko, żeby pan wiedział, że dopóki panu będzie zależęć, to mnie też. Poniosę karę, chociaż nie wiem jeszcze, na czym będzie polegała, a gdy już ją odbębnię, zaręczam, że będzie pan miał do czynienia z najlepszym specem od uzbrojenia, jakiego pan kiedykolwiek widział.

- Ja nie pisuję raportów, sierżancie... - Cole przerwał i spojrzał na niego uważniej. - Ty też nie będziesz musiał tego robić.

- Słucham? - zdziwił się Pampas.

- Zapomnijmy o tym incydencie - powiedział komandor. - Ale jeśli raz jeszcze zobaczę pana w takim stanie, zaręczam, że odsiedzi pan pełne dziesięć lat w pierdlu. Niemniej przyjmuję



pańskie przeprosiny i wierzę, że są szczerze. Z tego, co mi wiadomo został pan przywrócony na dawne stanowisko bez wpisu do akt.

- Dziękuję, sir - powiedział Pampas. - Jeśli mogę coś dla pana zrobić, cokolwiek...

- Sharon, czy monitorujesz tę rozmowę? - zapytał Cole, podnosząc głos.

- Oczywiście - odparła pułkownik Blacksmith, przesyłając wyłącznie przekaz dźwiękowy, aby oszczędzić stresu sierżantowi.

- Dobrze. Słuchaj, co powiem sierżantowi Pampasowi, ale nie nagrywaj tego.

- Zrozumiałam - powiedziała Sharon.

- Jesteś dość dużym facetem - zauważył Cole. - Wyglądasz mi także na krzepką osobę. Mięśnie masz wyrobione. Ale czy wiesz, jak się ich używa?

- Chyba nie rozumiem do czego pan zmierza, sir - przyznał Pampas.

- Następnym razem, gdy zauważysz, że któryś z twoich podwładnych ma przy sobie narkotyki albo inne stymulanty, masz mu je odebrać. Jeśli zajdzie taka potrzeba, przy użyciu siły. Nie będziemy cię monitorować ani nie nagramy tego zdarzenia. Przyniesiesz cały odebrany towar do mnie. Jeśli któryś z nich będzie na tyle głupi, by poprosić o zwrot prochów, powiesz mu zgodnie z prawdą, że oddałeś je mnie i w moją stronę powinien kierować swoje żale.

- I nie będę miał żadnych problemów, jeśli ich pobiję? - zapytał sierżant.

- Nie mogę przecież zgłosić czegoś, czego nie widziałem ani nie słyszałem - potwierdził Cole. - A ty, Sharon?

- Mamy cholernie dużo awarii sprzętu w przedziale bojowym - odparła Blacksmith. - Czasami przez całe godziny nie mamy podglądu i nic nie nagrywamy.

- Ma pan jeszcze jakieś pytania, sierżancie?

- Nie, sir - odparł Pampas. Podszedł do drzwi, tam odwrócił się i zasalutował. - Cholera! Jak ja się cieszę, że pan jest z nami. Znowu poczułem się jak żołnierz.

Dziki Byk wyszedł na korytarz, Cole znów został sam.

- Sharon, spróbuj poustawiać sobie dyżury w taki sposób, żebyś mogła obserwować ludzi Pampasa przez pierwsze minuty każdej jego zmiany w przedziale bojowym. Jeśli w ciągu pierwszego kwadransa nie sięgną po narkotyki, prawdopodobnie nie zrobią tego do końca wachty.

- Mogę zrobić coś lepszego - powiedziała Blacksmith. - Zaliczę przedział bojowy do kategorii „działań specjalnych”, dzięki czemu obserwację będą mogli prowadzić tylko oficerowie z moim certyfikatem dostępu albo wyższym. Czyli ja, ty, Forrice i kapitan.

- To powinno wystarczyć - uznał Cole. - Forrice na pewno nas poprze, a ćpuny i pijusy będą miały na tyle rozumu, żeby nie lecieć z tym na skargę do kapitana. Czasami takie bezrefleksyjne trzymanie się regulaminu ma dobre strony. Podok nie będzie się zastanawiała nawet przez moment nad odesłaniem ich na jakąś bezludną planetę za narkotyzowanie się podczas wachty.

- Wiesz, pod pewnymi względami wcale nie była takim złym pierwszym oficerem. Nigdy nie widziałam kogoś, kto by bardziej niż ona dbał o detale. Ciekawe, jakim będzie kapitanem?

- Z mojej perspektywy jedyną odpowiedzią na to pytanie byłoby słowo „wrogim” - powiedział Cole, zmuszając się do uśmiechu.

- W nowych rozkazach nie ma żadnych niejasności, które mogłaby interpretować po swojemu. Wracamy na zadupia, będziemy kimś w rodzaju stróża w składzie paliwa.

- Słyszałaś, co właśnie powiedział nasz fachman od uzbrojenia. Naprawdę chciałabyś brać udział w ostrej walce?

- Skoro tak stawiasz sprawę, czuję się bardziej niż szczęśliwa, mogąc doglądać zbiorników z paliwem - odparła Sharon. - Mało brakowało, żebym założyła, iż nasze sukcesy na Roszponce i Neboucie były dziełem „Teddy'ego R.”. A skoro nie o nasz okręt tam chodziło, pozostajesz tylko ty.

- Jestem tylko skromnym oficerem, który reaguje na to, co widzi - powiedział Cole. - Domyślam się, że to rzadkość na pokładzie tego okrętu, ale zaręczam, że tak naprawdę to nie są wyjątkowe zachowania.

- Jeśli uda ci się przekonać mnie do tej opinii, to kto wie, może nawet porzucę myśl o uwiedzeniu ciebie - oznajmiła Sharon.

- Jeśli nie uda mi się przekonać oficera bezpieczeństwa do tej opinii, możesz równie dobrze uznać, że nie pożyję wystarczająco długo, by warto było starać się o mnie - odparł.

- Bzdury opowiadasz - zaprotestowała. - Najpewniejszą drogą do uniknięcia stałych związków bywa chadzanie do łóżka z wielkimi bohaterami. - Nagle rzuciła wzrokiem gdzieś w lewo. - Dostałam wiadomość od kapitan Podok. Masz się u niej stawić.

- Na mostku?

- W jej kabinie - Sharon wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Tylko uważaj podczas klinczu i pamiętaj, że wszystkie części

ciała, które mogą sprawić Polonoi rozkosz, znajdują się na ich plecach.

- Z moich dotychczasowych obserwacji nie wynika, żeby Polonoi byli zdolni do odczuwania rozkoszy - odparł Cole.

Rozłączył się, wyszedł z kabiny i zjechał na niższy poziom, tam gdzie większość obcych członków załogi miało swoje kajuty. Stanął pod drzwiami Podok, poczekał na wykonanie kompletu skanów i wszedł do środka.

Kajuta nowego kapitana miała iście spartańskie wyposażenie. Na koi nie było materaca. Krzesła wykonano z litego, twardego drewna, nigdzie też Cole nie dostrzegł choćby jednej poduszki. Na ścianach nie wisił ani jeden obraz, za to na suficie znajdował się dziwaczny, niczego nieprzypominający hologram.

Cole nie miał bladego pojęcia, czym było to coś, co poruszało się w przód i w tył pomiędzy ramkami.

- Zakładam, że słyszał pan już o nowych rozkazach? - zapytała Podok po chwili.

- O jakich rozkazach? - zapytał z niewinną miną. *Nie mam zamiaru wpakować Sharon w kłopoty, przyznając, że wiedziałem o nich przed tobą*, pomyślał.

- Zostałam mianowana kapitanem „Teodora Roosevelta” - oświadczyła Podok.

- Zatem pogratuluję pani tej nominacji, jak tylko zakończy się okres żałoby po kapitanie Fujiamie.

- Nie oczekuję żadnych gratulacji - powiedziała Polonoi. - Informuję pana tylko o zaistniałych faktach.

- A ja jestem teraz pierwszym oficerem? - Cole zadał pytanie, na które znał odpowiedź, wyłącznie po to, by dać dodatkową ochronę Sharon.

- Nie, panie Cole. Pan pozostanie drugim oficerem.

- Zatem Forrice awansował?

- Przez pewien czas nie będziemy mieli na pokładzie pierwszego oficera - wyjaśniła mu Podok. - Ale to na pewno się zmieni wkrótce po tym, jak admiralicja rozpatrzy mój raport dotyczący wydarzeń rozgrywających się podczas akcji w gwiazdozbiornie Feniksa.

- Jestem pewien, że pani raport jest dokładny i uczciwy, madam.

- Proszę zwracać się do mnie per kapitanie. „Madam” to zwrot stosowany wobec ludzi, a ja nie jestem człowiekiem.

- Przepraszam, kapitanie - poprawił się Cole. - Czy to już wszystko, co miała mi pani do zakomunikowania?

- Tak - odparła Podok. - Otrzymaliśmy misję strzeżenia niezwykle cennych składów paliwa w gromadzie Kasjusza. Wydałam już rozkaz pilotowi Wxakgini, aby natychmiast nas tam zabrał. „Teddy R.” lada moment wejdzie w vestorski tunel czasoprzestrzenny. Dzięki temu skrócimy przelot na miejsce do siedmiu godzin. - Obdarzyła Cole'a wyniosłym spojrzeniem. - Dotrzemy do celu podczas trwania niebieskiej wachty. Jeśli dostrzeże pan jakiegokolwiek ślady obecności floty Teroni albo choćby jednego ich okrętu, nie podejmie pan żadnych działań, tylko powiadomi pan mnie o tym fakcie. Od tej zasady nie będzie wyjątków. Czy dotarło to do pana, panie Cole?

- Jasno i wyraźnie, kapitanie.

- Otrzymałam rozkaz strzeżenia tych składów paliwa i mam zamiar wykonać go najlepiej jak tylko potrafię. Zawrócił pan kapitanowi Fujiamie w głowie, co kosztowało go życie. Ale musi pan wiedzieć jedno - ja nie mam zamiaru ulegać pańskim podszeptom.

## Rozdział szesnasty

- I co o tym sądzisz? - zapytał Forrice, sadowiąc się po drugiej stronie stołu w niewielkiej mesie oficerskiej.

- O czym?

- Nie udawaj głupka - zachnął się Molarianin. - Mówię o tym, że nie awansowano cię na pierwszego oficera.

Cole wzruszył ramionami.

- Jeśli się było dwukrotnie kapitanem, to różnice pomiędzy pierwszym i drugim oficerem nie wydają się już takie istotne.

- Ale zdajesz sobie sprawę, że Podok powierzy ci wszystkie obowiązki pierwszego oficera?

- Jej zbójce prawo - powiedział Cole. - Jest kapitanem. Musimy robić, co nam rozkaże.

- Nawet jeśli będzie gadała bzdury?

- Kapitanowie nigdy nie gadają bzdur - poprawił go Cole z ironicznym uśmiechem na ustach. - Co wyraźnie napisano na trzeciej stronie regulaminu floty.

- Zobaczymy, czy za miesiąc nadal będziesz tak rozbawiony tą sprawą - powiedział Forrice.

- Zobaczymy, czy za miesiąc nadal będziemy żywi - skontrował Cole. - Nie wiem, czy ktokolwiek oprócz mnie zdaje tu sobie sprawę z tego, że „Teddy R.” nie jest w stanie stawić większego oporu flocie okrętów Teroni. Prawdę powiedziawszy, nie jestem pewien, czy moglibyśmy powstrzymać nawet jedną, ale za to dobrze wyposażoną jednostkę.

- Widocznie admiralicja nie spodziewa się ataku ze strony Federacji Teroni w tym sektorze. W przeciwnym razie nie wysyłano by nas do gromady Kasjusza.

- Tego akurat nie jestem pewien - przyznał Cole.

- Przecież sam przed chwilą powiedziałeś, że nie będziemy w stanie ich powstrzymać.

- Zastanawiam się, czy marynarka nie woli przypadkiem martwych bohaterów od żywych - powiedział Cole. - Za każdym razem, gdy dokonam jakiegoś sensownego i skutecznego posunięcia, stawiam wszystkich tych dowodzących nami generałów i admirałów w mocno nieciekawym świetle. Prasa to uwielbia, ale idę o zakład, że góra ma mnie naprawdę dosyć.

- Tak - przyznał Molarianin. - To by tłumaczyło, dlaczego wywalili cię najpierw na Obrzeża, a potem do gwiazdozbioru Feniksa. A jeśli w sztabie sądzą, że Federacja nie zna jeszcze lokalizacji tych składów paliwa, wiemy już, dlaczego skierowano nas do gromady Kasjusza. Albo pozostaniesz w cieniu do chwili, kiedy wszyscy o tobie zapomną, albo zginiesz w walce i przestaniesz być dla nich obciążeniem... - przerwał na moment. - I pomyślałby ktoś, że trzeba nam bohaterów.

- Trzeba, ale tylko do chwalenia się nimi przed ludźmi. Gdy bohaterowie proszą o współpracę, dziwnym trafem nie ma chętnych. Jeśli znam zwyczaje reporterów, właśnie rozpoczęli polowanie na oficerów najwyższego szczebla, których da się ukrzyżować za to, że nie wiedzieli o pojawieniu się Bortelitów na Roszponce czy też o tajnym spotkaniu w gwiazdozborze Feniksa. A jeśli znam zwyczaje floty, to zorganizowała przynajmniej trzy dodatkowe departamenty oficerów zajmujących się kwestiami public relations i chłopcy zaiwanają całą dobę na okrągło, aby wyjaśnić społeczeństwu, że nikt nie szedł na żywioł, zaś akcje zostały już dawno zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach. Dlatego nie przyznano mi kolejnego medalu. Publikacja mogłaby zażądać, aby przekazano w moje ręce dowodzenie jakąś większą operacją, a to byłoby zgubą dla tych

wszystkich kobiet i mężczyzn ze sztabu, którzy nie wykazali się jedną rozsądną myślą przez ostatnie lata.

- Ale jakoś nie wyglądasz na nieszczęśliwego z tego powodu - zauważył Forrice.

- A czy to by cokolwiek zmieniło? - odparł Cole.

- Nie żartuj sobie ze mnie - Molarianin nie odpuszczał. - Coś tu chyba jest nie tak, skoro ja jestem bardziej wściekły na sposób, w jaki zostałeś potraktowany niż ty sam.

- Nasi przywódcy nie są doskonali - uspokoił go Cole - ale to nie zmienia faktu, że właśnie my służymy po dobrej stronie. Wolę oszczędzać gniew na tych, z którymi walczymy.

W tym momencie do mesy weszła Podok. Zatrzymała się dopiero naprzeciw Molarianina.

- Komandorze Forrice, do czasu wydania nowych rozkazów obejmie pan czerwoną wachtę.

- Tak jest, kapitanie - powiedział Cztery Oczy, stając na baczność i salutując.

- Pan, komandorze Cole, pozostanie na niebieskiej wachcie.

- Przyjąłem to do wiadomości - odparł Cole.

- Czy mogę się dosiąść?

- Kapitanowi wszystko wolno. Podok spojrzała na Forrice'a.

- Chciałabym porozmawiać z komandorem Cole na osobności. Byłby pan uprzejmy opuścić mesę na kilka minut?

- Z przyjemnością, kapitanie - oświadczył Molarianin. - Dopilnuję, żeby nikt nie wchodził do środka, dopóki nie poinformuje mnie pani, że wasza rozmowa została zakończona.

- Dziękuję - powiedziała Podok.

Poczekwała, aż Cztery Oczy znajdzie się za drzwiami i spojrzała na Cole'a.

- Wydaje mi się, że jest pan bardzo zawiedziony brakiem awansu na pierwszego oficera - powiedziała.



- Jakoś to przeżyję.

- Ale mimo to postanowiłam porozmawiać z panem bardzo otwarcie i szczerze. Moim zdaniem powodem odmowy tej promocji był mój raport dotyczący pańskiego zachowania podczas wydarzeń na Obrzeżach i w gwiazdozbiorze Feniksa.

- Też tak sędzę - przyznał Cole. - Nie dostrzegam innych powodów.

- Wkrótce odbędzie się posiedzenie admiralicji, na którym stanie pańska sprawa - wyjaśniła Podok. - I albo otrzyma pan awans na pierwszego oficera, albo pozostawią pana na obecnym stanowisku albo zdegradują. Ta decyzja znajduje się już poza zasięgiem moich rąk.

- Które, jestem tego pewien, jak zwykle pozostaną czyste - powiedział, zastanawiając się, czy Podok zauważy, że te słowa aż ociekają sarkazmem.

- Miejmy to już za sobą. Teraz musimy wspólnie pracować dla dobra „Teodora Roosevelta”. Dopóki nie otrzyma pan promocji na pierwszego oficera albo nie dostaniemy na to stanowisko kogoś nowego, jesteśmy najstarszymi oficerami na pokładzie.

- Zdaję sobie z tego sprawę, kapitanie.

- Będę z panem szczerą, komandorze, tak jak obiecałam. Nie lubię pana. Nie podoba mi się fakt, że potrafi pan omijać przepisy regulaminu, że wykonuje pan wyłącznie te rozkazy, które panu pasują, że nieustannie naraża pan ten okręt i jego załogę na niebezpieczeństwo. Nie mogę zaprzeczyć, że osiągał pan sukcesy, przynajmniej do tej pory... ale jeśli każdy członek załogi, a wiem, że wielu z nich wielbi pana po cichu, zacznie działać na własną rękę i będzie ignorował rozkazy, które mu się nie spodobają, dojdzie do kompletnego rozkładu morale. Nastąpi katastrofa. Każda potęga militarna, jaka powstała na

przestrzeni dziejów wszystkich znanych nam ras, składała się z całej masy kół zębatach ściśle ze sobą współpracujących w gigantycznej maszynie wojennej. Nawet społeczeństwa tak wielbiące jednostki jak wasza rasa, rozumiały, że dla dobra wspólnoty w szczególnych okolicznościach - a pod tę kategorię podpada służba w armiach - indywidualizm musi zejść na drugi plan, podobnie jak kreatywność.

- W zasadzie nie mogę zaprzeczyć stawianym przez panią tezom - przyznał Cole.

- A co z praktyką?

- Warunki ulegają nieustannym zmianom, byłoby szaleństwem nie zmieniać się razem z nimi.

- Nie prosiłam o tę rozmowę, aby się z panem sprzeczać, komandorze Cole, ale aby powiedzieć panu, jak to wszystko wygląda z mojego, wojskowego punktu widzenia. Złożyłam już raport. I nie zmieniałabym w nim ani słowa, nawet gdyby dano mi taką możliwość, i na tym koniec. Chciałabym jednak, abyśmy rozpoczęli współpracę, jakby tamte wydarzenia nie miały miejsca. Jestem dopiero trzecim przedstawicielem mojej rasy, który dostąpił zaszczytu dowodzenia okrętem wojennym i chciałabym, aby pan mnie wspierał.

- Może pani na mnie liczyć - powiedział Cole. - Różnimy się w wielu sprawach, ale jestem oficerem floty Republiki, co oznacza, że pozostaję lojalny wobec przełożonych.

- Dobrze - Podok krótko podsumowała rozmowę i wstała.

- Będę pana trzymała za słowo.

Wyszła z niewielkiej sali jadalnej, nie mówiąc nic więcej. Cole także zamierzał oddalić się, ale Forrice zagroził mu przejście.

- I jak? - zapytał Molarianin.

- zaproponowała mi gałązkę oliwną - powiedział Cole. - Ty pewnie nie zauważyłbyś symbolizmu tego gestu, ale uwierz mi, starała się jak mogła.

- Gałązkę oliwną?

- Wybacz. Już sam twój paskudny wygląd powinien mi uzmysłwić, że nie należysz do rodzaju ludzkiego i nie wszystkie nawiązania możesz zrozumieć. Zaoferowała mi pokój, taki nowy początek.

- Jak sądzisz, długo wytrwa w tym zamiarze? - zapytał Forrice, kończąc pytanie sarkastycznym pogwizdem.

- Dopóki jej się nie znudzi - odparł Cole. - Wybacz, stary, ale chcę uciąć sobie drzemkę przed rozpoczęciem wachty.

Cztery Oczy odsunął się na bok, pozwalając mu wyjść na korytarz.

- Zobaczymy się później.

- Dobrze - zgodził się Cole. - Wpadnij do mnie z wizytą na mostek podczas dyżuru. Zapowiadają się nudy na pudy. Jeśli flota zakłada, że szanse na to, iż Teroni dowiedzą się o tych składach paliwa są większe niż na pojawienie się śniegu w piekle, na miejscu zjawi się nie tylko „Teddy R.”. Nie wiem, czy chcą, aby wróg trafił na nas, ale jedno jest pewne, musieli dobrze ukryć te zapasy paliwa.

Cole wstąpił na moment do głównej mesy, aby wziąć do kajuty kubek świeżej kawy. Sala była niemal kompletnie pusta. Oprócz siedzących w kącie dwóch ludzi, komandor zauważył tylko Tolobitę Śliskiego, który zajadał w samotności coś, co zdawało się wiercić na widelcu za każdym razem, gdy zbliżał go do ust. Cole postanowił zatrzymać się na moment przy jego stoliku.

- Chciałem wam raz jeszcze podziękować za postawę tamtego dnia - powiedział. - Rekomendowałem was do odznacze-

nia. Ale będziecie musieli sami sobie przypiąć to odznaczenie na symbioncie.

- On panu dziękuje.

Cole spojrział na Tolobitę ze zdziwieniem.

- To on może mówić?

- Tylko przeze mnie - wyjaśnił Śliski. - Jesteśmy połączeni telepatycznymi więzami.

- Wydaje mi się, że wy we dwójkę stanowicie najbardziej użyteczną istotę na tym okręcie - ciągnął Cole. - Do tej pory chyba nie potrafiono korzystać z waszych możliwości. Ale to się zmieni.

- Dziękuję, sir - powiedział Tolobita. - Komandor Forrice i porucznik Briggs przyuczają mnie do służby w przedziale bojowym.

- Wydaje mi się, że możecie uczyć się tego jeszcze przez tydzień albo dwa, aż zaczniecie się poruszać swobodnie wśród uzbrojenia, ale prawdę powiedziawszy, ta robota dla załoganta, który potrafi wyjść w przestrzeń kosmiczną bez skafandra i przeżyć na powierzchni planet chlorowych i metanowych, jest czystym marnotrawieniem jego talentów.

- Cieszę się, sir, że spotkałem wreszcie oficera, który docenia wartość moich zdolności.

- Ja nie tylko doceniam te wasze zdolności, Śliski - przyznał Cole. - Ja wam ich zazdroszczę. - Nalał kawy do kubka i ruszył w stronę drzwi. - Miło było was widzieć.

Zjechał windą pneumatyczną na niższy poziom, tam gdzie mieściła się jego kajuta i ruszył w stronę drzwi, upijając nieco gorącego wywaru, aby nie wylał mu się po drodze.

- Wiesz - w jego uchu rozległ się niespodziewanie głos Sharon Blacksmith - że jesteś tutaj starszym oficerem i któryś z marynarzy mógłby nieść tę kawę za ciebie?

- Moim zdaniem byłoby to czyste marnotrawstwo siły żywej  
- odparł.

- Wiem, i za to cię lubię od pierwszego spotkania. Nie potrzebujesz może towarzystwa?

- Zamierzałem się położyć - przyznał.

- Wiem, chyba pamiętasz, że cały czas cię monitoruję?

- Wygrasz ten zakład, jeśli powiem „tak”?

- Na to pytanie odpowiem dopiero, kiedy usłyszę twoje „tak”.

Zatrzymał się i upił kolejny łyk kawy.

- Byłoby mi niezwykle miło, ale...

- Ale co?

Skrzywił się.

- Jak potem mam wrzeszczeć na załogantów przyłapanych na seksie?

- Możesz napisać rezygnację zaraz po wejściu do kajuty, a natychmiast po moim wyjściu ją podrzeć.

- Nie wydaje mi się, żeby oficer mógł odejść na własną prośbę podczas wojny.

- Mam już dość operowania półśłówkami. Idziemy do tego łóżka czy nie idziemy?

- Zjedź tu do mnie na dół. W końcu wymyślę jakieś usprawiedliwienie.

- Jestem cholernie atrakcyjną kobietą - powiedziała Sharon. - I pierwszy raz w życiu zdarza mi się, żeby ktoś potrzebował usprawiedliwienia, żeby zaciągnąć mnie do łóżka.

- W czas wojny trafia się do łóżka z nie wiadomo kim.

- Nazwij mnie raz jeszcze nie wiadomo kim, a zostanę, gdzie jestem.

- Wtedy ja będę mógł spokojnie zasnąć, a ty będziesz musiała żyć w poczuciu odrzucenia.

- Nie zerwiesz mi się z haczyka tak łatwo - powiedziała Sharon. - Jadę do ciebie.

Jakiś Molarianin wyszedł na korytarz. Cole uznał, że lepiej przerwać to połączenie, a potem zdał sobie nagle sprawę, że nie on je nawiązał i nie ma pojęcia, jak je zakończyć. *Cóż, przynajmniej nie zobaczył wszystkiego*, pomyślał.

Wszedł do swojej kajuty, postawił kubek na blacie niewielkiego biurka, zdjął buty i zasiadł przed terminalem komputera.

- Włącz się. - Maszyna natychmiast ożyła z cichym szumem.

- Czy są już jakieś wiadomości na temat medalu dla Śliskiego?

- Odpowiedź jeszcze nie nadeszła.

- Mam nadzieję, że nie opóźniają tej decyzji tylko dlatego, że trafiłem do raportu - powiedział Cole. - To on ma go dostać, nie ja.

Nie zadał pytania, więc odpowiedzi nie było.

- A są jakieś wiadomości na temat tego, kto mógł być na księżycu Nebouta IX?

- Nie ma.

- Zaczyna mnie to wkurzać - mruknął Cole. - Jakby nigdy nic się nie wydarzyło. Wyłącz się.

Komputer zamarł, a kilka sekund później do kabiny weszła Sharon Blacksmith. - I jak? - zapytała.

- O co pytasz?

- Wymyśliłeś już sobie usprawiedliwienie?

- Miałaś romans z przedstawicielem innej rasy. Jednej z tych, które są teraz z nami sprzymierzone, ale kto wie, co przyniesie przyszłość? Pokażesz mi dokładnie wszystko, co z tobą robił, żebyśmy mogli zabezpieczyć inne kobiety w służbie narodu przed podobnym uwiedzeniem.

- Wszystko, co ze mną robił?

- Absolutnie.

- Wprost nie mogę się tego doczekać - powiedziała Sharon, dołączając do niego na łóżku.

## **Rozdział siedemnasty**

Następny tydzień na pokładzie upłynął pod znakiem nudy. „Teddy R.” kontynuował patrol w gromadzie Kasjusza, nie napotykając żadnej wrogiej jednostki. Nawet Podok wydawała się mniej sztywniacka, chociaż, co Cole szybko wykazał Forrice'owi, podczas rutynowych czynności nie miała po prostu okazji wykazać się typową dla niej nieustępliwością.

Komandor zabijał czas, zapoznając się dokładniej z okrętem i jego załogą. Sharon Blacksmith jeszcze dwukrotnie odwiedziła go w kajucie, ale potem stwierdziła, że kolejne spotkania będą prowadziły prosto do wzajemnego uczucia, którego ani on, ani ona nie chcieli w tak skomplikowanej sytuacji. Pasowało mu takie rozwiązanie: nie kombinowała ani nie próbowała żadnych sztuczek, a gdy wychodziła od niego był tak wyczerpany, że pomyślał, iż codzienne wizyty tej kobiety doprowadziłyby go szybko do stanu, w którym nie mógłby sprostać nawet podstawowym obowiązkom.

Zaczął wystawiać oceny poszczególnym członkom załogi „Teddy'ego R.”, nie na papierze, ale w swojej głowie. Mógł bez obaw powierzyć życie Forrice'owi i nieraz już to robił w przeszłości. Oprócz Molarianina na pokładzie okrętu znajdowało się jeszcze dwóch niezwykle skutecznych oficerów: Sharon Blacksmith - do tego wniosku doszedł zanim jeszcze zaczęli sypiać ze sobą - i Christine Mboya. Nie wiedział tylko, czy Śliski będzie dobry w tej robocie, którą mu przydzielono, ale to nie miało najmniejszego znaczenia. Tak niezwykle symbiont czynił z niego wyjątkowo cenny nabytek. Cole przytąpywał się wielokrotnie w ciągu dnia na rozważaniach o tym, w jaki sposób może myśleć istota będąca w gruncie rzeczy dodatkowym naskórkiem, ale



nigdy nie doszedł do zadowolających wniosków. Wysoko oceniał także Dzikiego Byka Pampasa - człowiek ten dotrzymał danego słowa i co więcej, żądał przydziału na dodatkowe wachty, aby odpracować czas, który zmarnował przez narkotyki. Jak wielu innych członków zespołu, także i on pragnął powrotu dyscypliny i zrozumienia celu wszystkich działań, a Cole był jedynym oficerem, który pojawiał się na odprawach, aby wyjaśniać, co robią w gromadzie Kasjusza i dlaczego muszą utrzymywać stan ciągłej gotowości bojowej.

Podok była znakomitym pierwszym oficerem, dopóki miała nad sobą kapitana, którego musiała słuchać. Po nominacji też nie zachowywała się najgorzej, aczkolwiek Cole cały czas obawiał się jej sztywniactwa.

Dziewiątego dnia patrolu w gromadzie Kasjusza nadszedł przekaz od samej admirał Susan Garcii, w którym informowała, że został uznany winnym wszystkich czynów opisanych w raporcie, ale żaden z nich nie miał na tyle wielkiej wagi, by stać się przyczyną kolejnej degradacji i może nadal sprawować funkcję drugiego oficera. Nowy pierwszy oficer zostanie przeniesiony na pokład „Teddy'ego R.” kiedy tylko warunki na to pozwolą.

- Co oznacza tylko tyle, że muszą poczekać, aż kolejny oficer narobi im kłopotu, postępując słusznie w sytuacji, gdy wszyscy inni będą się mylić - podsumował kwaśno Cole, gdy zreferował treść wiadomości Forrice'owi podczas następnego spotkania w mesie. - Oczywiście wystosowałem gorący protest i zażądałem awansu dla ciebie.

- Dzięki za dobre chęci, ale ja na pewno nie zostanę pierwszym oficerem - odparł Molarianin, kończąc wypowiedź gwizdem śmiechu. - Mam to jak w banku. A kiedy pojawi się na pokładzie nowy pierwszy, będę mógł wreszcie zejść z czerwonej wachty.

- Co cię tak zniechęca w tej robocie? - zdumiał się Cole. - Wysłano nas tutaj, abyśmy pilnowali składów paliwa przed zakusami Federacji Teroni. Z czym masz problem, skoro nie widzieliśmy do tej pory nawet jednej wrogiej jednostki?

- Spokojna głowa, niedługo natkniemy się na jakąś - odparł Cztery Oczy. - A ja wolałbym mieć do tego czasu doskonale wyszkoloną załogę w przedziale bojowym. Powiniennem dodać, że sierżant Pampas w momentach, gdy przestaje gadać, jakim to wspaniałym człowiekiem jesteś, wydaje się naprawdę dobrym i zmotywowanym asystentem.

- Cieszę się, że to słyszę. Ale może rozwinąłbyś temat twojego przekonania o bliskim spotkaniu z jednostkami Teroni?

- A ty go nie masz?

- Mam. Ale chciałbym posłuchać, dlaczego ty tak uważasz. Jeśli twoje domysły okażą się inne od moich, ale także rozsądne, każę Christine przeczesywać przestrzeń z podwojoną częstotliwością.

- Prosta sprawa - zaczął Molarianin. - Wiemy, że Bortelitom zaczyna brakować energii. A skoro zaryzykowali wyprawę na Roszponkę, narażając się na otwartą konfrontację, mogę domniemywać, że Federacja Teroni nie była w stanie zaspokoić ich potrzeb. A jeśli nie mają zapasów, lada chwila zaczną rozglądać się za naszymi składami.

Cole skinął głową.

- Racja, ja na podstawie tych samych przesłanek doszedłem do identycznych wniosków.

- Ale jest jeszcze coś, o czym ty sam nigdy byś nie pomyślał - dodał Forrice.

- Zatem oświeć mnie.

- Oni już wiedzą, że jesteś najczęściej odznaczanym oficerem floty i że zostałeś przeniesiony na pokład „Teddy'ego R.”.

Idę też o zakład, że będą uważali, iż zostaliśmy tu wysłani w celu chronienia czegoś lub kogoś niezwykle ważnego. Przecież Wilson Cole nie zajmuje się pierdołami.

- Bzdury - zaprotestował Cole. - Muszą przecież wiedzieć, że chodzę teraz na bardzo krótkiej smyczy.

- Co nie przeszkodziło ci ukąsić ich w sam środek dupska, i to dwukrotnie - przypomniał mu Molarianin.

- Daruj sobie te porównania. Nie masz nawet pojęcia, jak wygląda pies.

- Nigdy nie widziałem też Domarianina, ale wiem, że istnieją - odciął się Cztery Oczy.

- Byłem kiedyś na Domarze.

- Czy to, co mówią o Domarianach, jest prawdą?

- Chyba tak. Nie mam pojęcia, co o nich się mówi, ale wiem, co tam widziałem. Domarianie bez końca wędrują za słońcem, w stronę horyzontu, na szczydłowatych nogach, długich chyba na dwadzieścia stóp. Nie mogą się zatrzymać, nigdy nie siadają ani się nie kładą. A gdy któryś z nich opada z sił i zostaje w tyle, natychmiast dopadają go drapieżcy, którzy żyją tylko po ciemnej stronie planety. To najdziwniejsze miejsce, jakie widziałem w życiu. Miliony inteligentnych istot, ale na całej planecie nie znajdziesz ani jednego domu czy biblioteki, albo nawet szpitala.

- A czym się żywią?

- Powietrzem.

- Co ty chrzaniś?

- Kojarzysz takie ryby, które pływają z otwartymi pyskami, aby chwycić w nie mniejsze organizmy?

- Nie mamy na naszej planecie czegoś takiego jak ryby, ale wierzę ci na słowo, że one istnieją.

- No tak, wyobraź sobie, że Domarianie mają kilka par ust, wielkich otworów po każdej stronie szczęk i nimi wychwytyją każdy mikroskopijny organizm, który porusza się w powietrzu. Ciekawe... Cały czas miałem na głowie hełm, ale nie znalazłem na nim ani jednego zanieczyszczenia, a zawartość tamtejszej atmosfery dostarcza pożywienia milionom Domarian.

- Muszę to kiedyś zobaczyć.

- Jeśli Teroni podbiją Domar, być może polecimy go ratować.

- Po jaką cholere miałiby podbijać taką planetę?

- A czego nasze rządy szukają na wszystkich planetach? Koniec końców i tak wychodzi na to, że nie chcemy, aby kto inny je posiadał.

- Teraz zrozumiałem - powiedział Forrice.

- Bo masz to coś, co zwiemy poczuciem humoru - wyjaśnił mu Cole. - Ale zabij mnie, jeśli wiem, czym oni się kierują.

Nagle rozległy się syreny żółtego alarmu, po czym równie szybko umilkły.

- Ciekawe, o co tym razem chodzi? - mruknął Cole.

- Możemy przespacerować się na mostek i sprawdzić na własne oczy - zaproponował Forrice.

- Dobrze, ale najpierw zapytasz o pozwolenie wejścia, Podok jest cholernie zazdrosna o swoje prerogatywy.

Wstali od stolika i przeszli do windy, aby wjechać na poziom mostka. Przy konsoli komputera zastali Rachel Marcos. Kobieta stała przed wyświetlaczami, z trudem powstrzymując łzy.

- Kapitanie, proszę o pozwolenie wejścia na mostek - odezwał się Cole.

- Ja także o to proszę, kapitanie - dodał Forrice.

- Udzielam pozwolenia.

Cole już unosił nogę, by ruszyć naprzód, gdy w miejscu osadził go silny kuksaniec Molarianina.

- Salut - szepnął Cztery Oczy.

Cole zasalutował i wszedł do środka.

- Syreny żółtego alarmu odezwały się na kilka sekund, a potem umilkły - stwierdził.

- Może dlatego, że żółty alarm tak szybko się skończył - odparła Podok.

- Co się stało, kapitanie? - zapytał Cole.

- Chorąży Marcos fałszywie zinterpretowała tożsamość okrętu z Lodina IX, uznając go za jednostkę należącą do Federacji Teroni.

- Są bardzo podobne do siebie, sir - przyznała Rachel.

- Nie odzywajcie się bez pytania o pozwolenie, chorąży - upomniała ją Podok. - I kierujcie swoje wypowiedzi do mnie, nie do komandora Cole'a.

Cole spojrzał na Polonoi.

- Takie pomyłki często się zdarzają - powiedział.

- Ale nie powinny. Posłałam już po zastępstwo dla chorążej Marcos. W przyszłości otrzyma ona zakaz wstępu na mostek - rzuciła Cole'owi wyzywające spojrzenie, jakby spodziewała się protestu z jego strony.

- Czy mogę coś pani zasugerować, kapitanie Podok? - zapytał komandor.

- Proszę mówić.

- Ma pani całkowitą rację, usuwając Marcos z mostka - powiedział Cole - ale ten błąd wynikał wyłącznie z braku odpowiedniego doświadczenia. Może zamiast permanentnego wykluczenia lepiej zaoferować jej możliwość powrotu po stosownym szkoleniu?

- Jaśniej proszę.

- Należałoby przeprowadzić serię symulacji komputerowych - wyjaśnił. - Jeśli zdoła pozytywnie określić, czy symulowana jednostka jest wroga, neutralna czy przyjazna, i to trzysta razy z rzędu, pozwoli jej pani wrócić do służby na mostku.

- To rozsądna propozycja - przyznała Podok. - Ale zwiększam próg do pięciuset poprawnych odpowiedzi. Egzamin będzie miał miejsce nie prędzej niż za tydzień, tyle czasu daję wam, chorąży Marcos, na zapoznanie się z charakterystykami wszystkich jednostek znanych nam flot.

Rachel odwróciła się do Cole'a, już miała otworzyć usta, aby podziękować.

- Ani słowa, chorąży Marcos - upomniał ją ostro Cole. - Pani kapitan podjęła decyzję i musicie się z nią pogodzić.

- Ale...

- Powiedziałam wam wcześniej, że możecie zwracać się tylko do mnie - przypomniała jej Podok. - Odmaszerować prosto do kwatery. Zostaniecie tam przez trzy następne dni pokładowe. Racje żywnościowe będą wam dostarczane, macie zakaz komunikacji z kimkolwiek. Czy to jasne?

- Tak jest, kapitanie - potwierdziła Rachel. - Zasalutujcie i możecie odejść.

Rachel wykonała pierwszą część rozkazu i otarła łzy z policzków, opuszczając rękę, a potem ruszyła od razu w kierunku najbliższego szybu windy.

- Cóż - powiedział Cole - skoro nic ekscytującego nie dzieje się na mostku, to i ja już sobie pójdę, o ile pani kapitan nie ma nic przeciwko temu.

- Może pan iść.

- Dziękuję, kapitanie - powiedział, salutując.

- Pójdę z tobą - zaproponował Forrice, także oddając salut.

Weszli do windy, Molarianin wysiadł na poziomie kantyny, a Cole zjechał niżej, do swojej kajuty. W jej wnętrzu zastał czekającą na niego Sharon.

- Wydawało mi się, że ten zamek otwiera się wyłącznie na mój głos i obraz siatkówki oka - powiedział Cole, gdy drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem.

- Ludzie z wydziału bezpieczeństwa mają dostęp do wszystkich pomieszczeń - odparła. - Przecież Tereni mogą cię porwać i uwięzić podczas jednej z misji albo pozostawić związanego na palącym słońcu i wypuścić wielkie stado wygłodzonych, krwiożerczych stworzonek. Ktoś przecież musi w takiej sytuacji wejść do twojej kwatery, żeby zabrać tajne dokumenty, zniszczyć resztę rzeczy i przygotować pomieszczenie do zamieszkania przez kolejnego oficera.

- Cóż mogę na to odpowiedzieć... Jak mogę się na to skarżyć, skoro chodzi o czysty sentyment do mnie?

- Monitorowałam mostek - powiedziała. - Nie sądzisz, że postąpiłaś zbyt ostro wobec Marcos?

- Dzięki temu za dwa tygodnie będzie mogła wrócić na mostek - odparł. - Gdybym się nie wtrącił, Podok wywaliliby ją na zawsze.

- Wiesz, że ona się w tobie zadurzyła?

- Kto? Podok? Boże, mam nadzieję, że się mylisz.

- Nie udawaj głupka. Mówię o Rachel.

- Po dzisiejszej scysji chyba się odkocha.

- Nie byłabym tego taka pewna - powiedziała Sharon.

Cole skrzywił się.

- Tego mi jeszcze było trzeba, dwudziestodwuletniej dzierlatki w stopniu chorążego, która się we mnie zadurzy.

- Paru facetów uznałoby, że to całkiem przyjemna sytuacja.

- Bo faceci lecą na dzieci. Ale ja lubię dojrzałe kobiety.

- A ja lubię, kiedy mówisz w ten sposób - przyznała Sharon.

- Mogę wtedy pomyśleć, że mając trzydzieści cztery lata, nie jestem jeszcze staruszką.

- Cholera, przeleciałem trzydziestoczwolatkę i nawet tego nie zauważyłem - powiedział Cole. - Ciekawe, czy wiedziałbym, co powiedzieć w takiej sytuacji dwudziestodwuletniemu dzieciakowi?

- Nie sądzę, żeby twoje mówienie znajdowało się na liście jej priorytetów.

- W tym wieku na pewno - przyznał. - Ale jedno jest pocieszające, one wszystkie w końcu dojrzewają.

- A co ty robiłeś, mając dwadzieścia dwa lata? - zapytała Sharon.

- To samo co teraz. Staralem się odróżnić głupie rozkazy od mądrych. Tyle tylko, że wtedy dwudziestodwulatki nie wydawały mi się smarkulami.

- W końcu wysiliłeś się na szczerość - spoglądała na niego w zamyśleniu. - Dlaczego wstąpiłeś do marynarki?

- Bo nie cierpię maszerowania.

- Pytam poważnie.

- Bo w odróżnieniu od armii, zaoferowano mi patent oficerski. A ja uważałem, że dokonam więcej jako oficer niż szeregowiec. - Nagle rozpromienił się. - I chyba miałem rację. Podczas służby w piechocie nie można stracić dwukrotnie dowodzenia okrętem. A dlaczego ty zaciągnęłaś się do bezpieczeństwa?

- Ja? - Zaskoczył ją tym pytaniem. - Zawsze interesowały mnie sekrety innych ludzi. A teraz odkrywanie ich jest częścią mojej pracy - uśmiechnęła się. - Któregoś dnia poznam też twoje.

- Może któregoś dnia sam ci o nich opowiem.



- Ale to już nie będzie takie zabawne - spoglądała na niego, starając się odgadnąć, w jakim jest nastroju. - Co się dzieje?

- Nic - odparł. - Chyba po raz pierwszy od... dwunastu lat usłyszałem, że ktoś wymawia w taki sposób słowo „zabawne”.

- Tak. Przypuszczam, że na froncie nikt się z niczym nie pieści - powiedziała Sharon. - A skoro o wojnie mowa, jak blisko nas przelatywał ten okręt z Lodina?

- Rachel powiedziałaaby pewnie: bardzo blisko. Ja chyba użyłbym określenia: wystarczająco blisko. Jeśli nie znalazł się w polu rażenia, to dzielił go od niego tyci włos.

- Też tak myślę... - Nagle zmarszczyła brwi i stuknęła palcem w słuchawkę umieszczoną w lewym uchu, a potem szybko podniosła wzrok. - Muszę lecieć.

- Co się stało?

- Nie uwierzysz, na terenie laboratoriów wybuchła bójka - wyjaśniła. - Mamy już wszystko pod kontrolą, ale muszę tam pójść.

- W laboratorium? Sprawdź stan zapasów. Tak szczelnie odcięliśmy izbę chorych, że któryś z ćpunów mógł wpaść na pomysł, aby samemu coś zsyntetyzować.

- Tak zrobię. Chcesz iść ze mną?

- Nie. W tym tygodniu robię za oficera-równiaczę.

- W takim razie do zobaczenia - powiedziała, wstając z krzesła i ruszając w stronę drzwi, które otworzyły się natychmiast.

*Co to wojsko ze mną robi, pomyślał Cole. Chyba się przedwcześnie zestarzałem. Powinienem sikać ze szczęścia, że taka młoda dziewczyna zakochuje się we mnie, a ja zamiast tego narzekam. Uśmiechnął się. Tak, w końcu dorosłem. Włączył książkę, którą usiłował doczytać w ciągu kilku ostatnich dni, ale nie*

zdążył nawet przerzucić dwóch kartek, gdy ekran holowizora zbladł i pokazała się na nim twarz Sharon Blacksmith.

- Co znowu? - zapytał.

- Twój przyjaciel Pampas nakrył w laboratoriach kolegę Kjinnessa, chociaż cholera wie, czy słowo kolega jest tu właściwe, zważywszy że mamy do czynienia z obcym z Jasmina III, na kradzieży komponentów do sporządzenia dość silnego halucynogenu.

- Więc miałem rację.

- Pozwól mi dokończyć. Sierżant Pampas, który najwidoczniej źle zrozumiał wydany mu przez ciebie rozkaz, stłukł tę istotę tak, że o mało co nie wyzionęła ducha. A my właśnie przewozimy Kjinnessa do izolatki, gdzie aż roi się od narkotyków, które będzie mógł ukraść przy pierwszej nadarzącej się okazji.

- Zrobiłbym to samo na miejscu Pampasa - przyznał Cole. - A w każdym razie próbowałbym to zrobić. Mam wrażenie, że ten facet jest dziesięć razy silniejszy ode mnie.

- Tak czy inaczej, kazałam zatrzymać Pampasa i osadzić go w areszcie domowym - powiedziała Sharon. - Domyślam się, że będziesz go bronił, gdy zostanie oskarżony o pobicie?

- Oczywiście. Przejdę się do kajuty sierżanta przed rozpoczęciem niebieskiej zmiany i wysłucham jego wersji zdarzeń.

- A jeśli, o ile oczywiście do tego dojdzie, Kjinness się obudzi, jego też masz zamiar przesłuchać?

- Nie widzę powodu. Jeśli powie prawdę, sam się oskarży, jeśli skłamie, i tak napiszesz w raporcie o jego krzywoprzysięstwie.

- Ale póki co jest niewinny, dopóki mu czegoś nie udowodnimy.

- Więc sprawdź wasze zapisy i już będziesz miała pełno dowodów.

- Zawsze mnie dziwiło, że ktoś tak uczuciowy jak ty został awansowany ponad stopień marynarza.

- Miało się paru przyjaciół tu i tam. Przerwał połączenie i zaczął przygotowywać się na wizytę u Pampasa, gdy znów rozbrzmiały syreny żółtego alarmu.

- Ciekawe, o co tym razem poszło? - powiedział do siebie znudzonym głosem. - Pewnie zastępca Rachel pomylił deszcz meteorów z flotą Teroni.

Chwilę później twarz Podok pojawiła się na wszystkich ekranach.

- Mamy potwierdzenie kontaktu wzrokowego z okrętem Teroni. Przygotujcie się do zajęcia stanowisk bojowych, gdy zostanie ogłoszony alarm czerwony.

- Lepiej wróć do siebie - powiedziała Sharon. Jej holograficzne oczy wpatrywały się w niego. - A co ty chcesz robić?

- Nie zamierzam iść na żadne stanowisko do ogłoszenia czerwonego alarmu - odparł Cole. - Nadal mamy białą wachtę. To kryzys kapitan Podok, nie mój, więc niech ona sobie z nim radzi... - przerwał i podszedł do drzwi. - Chociaż, z drugiej strony nie ma tak złego kryzysu, żeby niekompetentny oficer nie mógł go jeszcze pogłębić. Może jednak rzucę okiem na aktualną sytuację.

## Rozdział osiemnasty

Cole uznał, że Podok może źle odebrać jego wtargnięcie na mostek w pierwszych minutach po dostrzeżeniu okrętu Teroni, postanowił więc, że dopóki żółty alarm nie zmieni się w czerwony, może poświęcić trochę czasu na rozmowę z Pampasem.

- Nie wiem, czy wolno panu tutaj przebywać, sir - powiedział sierżant, widząc wchodzącego oficera.

- Znam ten punkt regulaminu - odparł komandor. - Nie możesz opuszczać kajuty, ale nigdzie nie napisano, że nie wolno ci przyjmować gości.

- Kapitan Podok na pewno się to nie spodoba, sir.

- Kapitan Podok maniakalnie trzyma się regulaminu, a ja, póki co, nie złamałem żadnego jego punktu... - przerwał na moment. - Jak się czujesz?

- Całkiem nieźle, sir - odparł Pampas. - Ale wciąż czuję się bezużyteczny. Zwłaszcza przez ostatnie pół godziny. O co chodzi z tymi żółtymi alarmami?

- Pierwszy był omyłkowy - wyjaśnił Cole. - Drugi chyba jest prawdziwy. Zdaje się, że dostrzeżono okręt Teroni.

- Kto popełnił ten błąd? - zapytał Pampas. - Mam nadzieję, że kapitan Podok.

- Kapitan Podok nie popełnia tego rodzaju błędów - Cole pokręcił głową. - Nie, to sprawka Rachel Marcos. Dostała, tak jak ty, areszt domowy. - Nagle na twarzy komandora pojawił się uśmiech. - A niech mnie szlag, chyba wszyscy, których lubię na tym okręcie, poszli właśnie siedzieć.

- Ja nie mam panu tego za złe, sir - powiedział Pampas. - Czas oczyścić jednostkę i trzeba zacząć od załogi.

- Wiem... ale posłałeś tego koleżkę do izby chorych - zauważył Cole.

- Sam by się tam posłał po tylu zażytych ziarnach, sir - odparł sierżant. - Ja tylko przyspieszyłem ten proces.

Cole roześmiał się, rozbawiło go to określenie.

- Czy potrzebujesz czegoś, co mogę ci przynieść?

- Nie, sir. Karmią mnie dobrze i mam całą bibliotekę pokładową do dyspozycji.

- Kolejny czytelnik? Zdziwiasz mnie, człowieku.

- Nie, sir - zaprzeczył Pampas. - Oglądam programy rozrywkowe, głównie holodramaty.

- Oglądaj, skoro poprawiają ci nastrój...

- Miałbym o wiele lepszy nastrój, gdyby pozwolono mi wrócić do przedziału bojowego, bo tam mogę się przynajmniej na coś przydać.

- Wiem - powiedział Cole z nutą współczucia w głosie. - Zrobię, co w mojej mocy, żeby cię stąd wyciągnąć. No chyba że przejdziemy na czerwony alarm, o ile mnie pamięć nie myli, jego ogłoszenie anuluje wszystkie pomniejsze kary. Jak tylko usłyszysz syreny, zapieprzaj prosto na stanowisko ogniowe.

- Poważnie?

- Tak, poważnie - odparł Cole. - Wolałbym, żebyśmy mieli w pełni sprawną obsługę uzbrojenia, a ty jesteś pewnie dziesięć razy lepiej wyszkolony niż najlepszy z kandydatów przyuczanych teraz przez Forrice'a.

- A co z moimi kumplami, sierżantami? - zapytał Pampas.  
- Jak im leci?

- Kudop nadal leży w śpiączce po zażyciu jednego ziarenka za dużo, a dopóki naszym konowatłem będzie Bedalianin, który Polonoi zobaczył dopiero na pokładzie tego statku, nie będzie miał większych szans na szybkie wybudzenie.

- A Solaniss?

- Pewnie mi nie uwierzysz, ale przenieśli go do działu napraw - powiedział Cole. - Próbowałem wyjaśnić Podok, że mamy wakaty w bojowym i przydadzą się tam każde ręce, ale wiesz, jak z nią jest - skoro według harmonogramu miał zostać przeniesiony, to musi zająć się naprawami... - zamilkł na moment. - Wiem, że mamy jeszcze czwartego technika uzbrojenia, ale nie miałem okazji go poznać.

- Jej - poprawił go Pampas. - Jest człowiekiem?

Sierżant pokręcił głową.

- To Orovitka.

- A już przestałem wierzyć, że zobaczę kiedyś kogoś z tej rasy.

- Z wyglądu przypominają nieco najbrzydszych Soporian.

- Tych też jeszcze nie miałem okazji oglądać.

- Wydawało mi się, że kręcił się pan po całej galaktyce, sir - powiedział sierżant.

- Bywałem tu i ówdzie - przyznał Cole. - Ale zazwyczaj nie opuszczałem pokładu okrętu. Zdziwiłbyś się, jak wielu ras możesz nie poznać, jeśli nie wylądujesz na danej planecie.

Pampas zachichotał.

- Wiem, o czym pan mówi, sir.

- I dobrze, chyba lepiej będzie, jeśli już sobie pójdę - powiedział Cole. - Ale postaram się zaglądać do ciebie przynajmniej raz dziennie. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, wystarczy, że powiesz to na głos.

- Tak do siebie mam mówić?

- Pułkownik Blacksmith albo któryś z jej podwładnych będą monitorować twoją kajutę. Ale mają pod kontrolą każdy cal tego okrętu, więc nie licz, że zareagują na twoje prośby natychmiast. Jednak po upływie jakiegoś czasu ich sprzęt przypo-

mni im, że w twoim pomieszczeniu ktoś się odezwał, jeśli nawet będzie to zwykła prośba o piwo i zrobią, co w ich mocy, żeby ci ulżyć - nagle podniósł głos. - Mam rację?

- Tak jest - odparł kobiecy głos dobiegający z rogu kajuty. - Ale nie musi pan tak wrzeszczeć.

- Wydział ma sporo członków załogi i miejsc do obserwowania, więc nie przeginaj z tymi wezwaniami - Cole ostrzegł Pampasa. - Ale pamiętaj, że pomogą ci, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Dziękuję, sir - odparł sierżant.

- Do zobaczenia jutro - pożegnał go Cole i wycofał się na korytarz.

Zastanawiał się jeszcze, czy nie wpaść na moment do Rachel Marcos, ale uznał, że jednak tego nie robi. Nie cierpiał łez, a był pewien, że ona wciąż zanosiła się płaczem. Nie miał też ochoty na wysłuchiwanie jej żalów albo, co mogłoby być jeszcze gorsze w tej sytuacji, znoszenie karesów. Zamiast wizyty u Rachel, wstąpił do mesy i zamówił najlepszy deser, jaki znajdował się w menu, a potem wypatrzył marynarza, który nie miał zajęcia i polecił mu zanieść słodycze do jej kajuty.

Dopiero po załatwieniu tego wszystkiego uznał, że najwyższy czas pojawić się na mostku. Mógł wprawdzie obserwować okręt Teroni na jednym z ponad dwudziestu wielkich holowizorów rozsianych po wszystkich pokładach albo nawet na wyświetlaczu własnego terminala, ale bardziej od informacji na temat wrogiej jednostki interesowała go reakcja Podok. Do tej pory tylko raz widział, jak się zachowała w sytuacji zbliżonej do kryzysowej - a było to podczas pamiętnej odprawy w gwiazdozbiornie Feniksa - i nie ocenił jej zachowania zbyt pozytywnie.

Wjechał windą na pokład mostka, postać przy wejściu dłuższą chwilę, chcąc się upewnić, czy wszyscy obecni na wach-

cie zachowują spokój i dopiero po tym zdecydował się wkroczyć na scenę.

- Proszę o pozwolenie wejścia na mostek - zwrócił się do dowódcy, nie zapominając o przepisowym salucie, gdy spojrzała w jego stronę.

- Udzielam zezwolenia.

- Dziękuję, kapitanie - powiedział.

- Po co pan tu przyszedł, panie Cole? - zapytała Podok. - Biała wachta jeszcze się nie skończyła.

- Pomyślałem, że zechce mnie pani oświecić co do intencji, jakie żywi pani względem tego wrogiego okrętu - wyjaśnił Cole. - Powinienem chyba wiedzieć, czy zamierzamy wysłać na jego pokład pozdrowienia albo pogróżki, zaczniemy go ostrzeliwać zaraz, czy raczej odłożymy tę decyzję do rozpoczęcia niebieskiej wachty?

- To rozsądny powód wizyty - przyznała Podok.

- Możemy zacząć od identyfikacji tego okrętu? - zaproponował Cole.

- Mamy do czynienia z jednostką klasy Zeta Tau, najprawdopodobniej zbudowaną na Tambo IV. Sądząc po punktach charakterystycznych, jego wiek można określić na osiem do siedemnastu lat. Przenosi na pokładzie broń laserową, chociaż z naszych obserwacji wynika, że dodatkowo wyposażono go w przynajmniej jedno działo pulsacyjne.

- Zakładam, że jest cały czas namierzany?

- Oczywiście.

- Czy kieruje się w pobliże Benidosa II albo Nowej Argentyny? - zapytał Cole.

- Nie - odparła Podok. - Jego kurs jest raczej dość zmienny.

- Zatem wciąż ich szuka.



- Benidosa II i Nowej Argentyny? - zapytała zdziwiona Podok. - Przecież muszą je mieć na każdej mapie.

- Miałem na myśli nasze składy paliw - wyjaśnił Cole.

- Wątpię. Nawet się do nich nie zbliżył.

- Wcale nie musi się zbliżać - ciągnął dalej komandor. - Przecież może dysponować technologią pozwalającą wykryć takie ilości materiałów rozszczepialnych z odległości wielu lat świetlnych.

- To niedorzeczne.

- Być może - powiedział Cole. - Ale jakiś czas temu zarówno pani przodkowie, jak i moi uważali, że unoszenie się chociażby o kilka stóp nad ziemią też jest niedorzecznością.

- Słyszał pan kiedykolwiek o istnieniu technologii umożliwiającej dokonywanie takich obserwacji?

- Nie słyszałem - przyznał. - Ale fakt, że nie słyszałem, nie oznacza wcale, że taka technologia nie istnieje.

- Zatem cała ta wymiana zdań pomiędzy nami wynika jedynie z pańskiej ignorancji w tym względzie - oświadczyła Podok.

*Może i jesteś służbistką, pomyślał Cole, siląc się na uśmiech uznania, ale nie mogę powiedzieć, że jesteś głupia. To jedno muszę ci przyznać.*

- Przepraszam, kapitanie - powiedział.

- Przepraszam, przyjęte.

- Czy mogę zapytać, co zamierza pani zrobić z tym okrętem Teroni?

- Będę go obserwować.

- Poprzestanie pani na obserwacji jego ruchów?

- Tak.

- I to wszystko?

- Tak, to wszystko - powtórzyła Podok.

- Czy mogę być z panią całkowicie szczerzy, kapitanie?
- Nie przypominam sobie rozmowy, w której nie bylibyśmy wobec siebie całkowicie szczerzy, panie Cole.
- Wydaje mi się, że popełnia pani błąd.
- Czyli?
- Sądzę, że powinniśmy rozwalić nieprzyjacielski okręt, póki mamy taką możliwość.
- Rozkazy, które otrzymałam, nie mówią o obowiązku atakowania każdego napotkanego przeciwnika - odparła Podok. - Misją „Teodora Roosevelta” w gromadzie Kasjusza jest powstrzymanie Piątej Floty Federacji Teroni przed wykryciem i przejęciem składów paliwa na Benidosie II i Nowej Argentynie i tego zamierzam się trzymać.
- Rozumiem, kapitanie - powiedział Cole - ale...
- Skoro pan rozumie - przerwała mu - dlaczego nadal pan protestuje? Takie otrzymaliśmy rozkazy. I musimy je wykonać.
- Oczywiście jest, że mamy do czynienia z jednostką zwiadowczą - wyjaśnił Cole. - Teroni nie wyślą do gromady Kasjusza Piątej Floty ani nawet znaczących sił, dopóki nie uzyskają potwierdzenia, że właśnie tutaj znajdują się nasze składki paliwa. Jeśli pozwoli im pani odkryć ich lokalizację, sama pani spowoduje sytuację, do której mamy podobno nie dopuścić.
- A jeśli ten okręt pojawił się tutaj w innym celu? - zapytała Podok.
- Przecież toczymy z nimi wojnę - przypomniał jej Cole. - Ma pani pełne prawo do przeprowadzenia ataku.
- Powtórzę panu raz jeszcze, że rozkazy admiralicji dotyczące tej misji nie mówią nic o atakowaniu wrogich jednostek. Mamy się jedynie upewnić, iż nie odkryją naszych składów paliwowych na Benidosie II i Nowej Argentynie. Czy to w końcu dotarło do pana, komandorze Cole?

- Zrozumiałem rozkazy, kapitanie - odparł Cole. - Ale uważam, że lepiej zabezpieczymy nasze składy, jeśli zniszczymy wrogie jednostki zwiadowcze, i to zanim zdążą powiadomić Piątą Flotę.

- O ile to jest jednostka zwiadowcza - stwierdziła Podok. - A nie ma pan żadnych dowodów, że pańskie domniemanie jest prawdziwe, a jeśli nawet ma pan rację, nie zamierzam lekceważyć wydanych mi rozkazów. Uważam tę rozmowę za zakończoną, panie Cole. A teraz proszę opuścić mostek i nie pokazywać się tutaj aż do rozpoczęcia niebieskiej wachty.

- Tak jest, kapitanie - powiedział Cole, zasalutował i wycofał się do wind.

Nie zjechał jednak prosto do swojej kajuty ani do mesy oficerskiej, tylko udał się do wydziału bezpieczeństwa.

- Słyszałaś, co powiedziała? - zapytał, ledwie przekroczył próg biura Sharon Blacksmith.

- Tak, słyszałam - odpowiedziała Sharon. - Masz szczęście, że nie zakuwamy już ludzi w kajdany. Ona bardzo nie lubi, jak ktoś ma odmienne zdanie, a ty posunąłeś się o wiele dalej. Niemal przyznałeś na głos, że dalsze słuchanie jej rozkazów doprowadzi do zagrożenia naszej misji.

- A czy to nie jest prawda?! - wybuchnął Cole. - Widziałaś odczyty dotyczące tej jednostki Teroni. Nawet idiota by zauważył, że to okręt wojenny. Jest szybki, chociaż niezbyt ciężko uzbrojony i nie próbował lądować na żadnej z okolicznych planet. Co innego mógłby robić w tym sektorze, niż poszukiwać naszych składów paliwa?

- Ulżyło ci? - zapytała Sharon. - A może wolisz mi przyłożyć, zamiast drzeć się bez opamiętania przez następną godzinę?

- Przepraszam - powiedział Cole, chociaż było widać, że wciąż jest wzburzony. - Czy ona naprawdę nie widzi, na rany Chrystusa, do czego może dojść, jeśli nie zniszczymy zwiadowcy? Prędeż czy później ten okręt namierzy nasze składy i będziemy musieli stawić czoła potędze, której nie damy rady za żadne skarby świata.

- Może niczego nie znajdą.

- Jeśli Teroni wystali ich tutaj z taką misją, to wyposażyli ten okręt w sprzęt, dzięki któremu można namierzyć wielką ilość paliwa - powiedział Cole. - Nawet Fujijama by to zrozumiał. Dlaczego ona nie potrafi?

- Ty kierujesz się intuicją, ona jest literalistką.

- Nie trzeba wielkiej intuicji, by zrozumieć, co się tu kroi. A umysł literalny powinien to widzieć z jeszcze większą jasnością. Nie rozumiem jej.

- Lepiej by było, gdybyś spróbował ją rozgryźć - powiedziała Sharon. - Teraz ona jest tutaj kapitanem.

- Tak - przyznał kwaśno Cole - i nadal nim będzie, gdy dwieście okrętów Piątej Floty Federacji Teroni pojawi się tutaj za dwa dni albo tygodnie czy miesiące i polecą prosto na te niezwykle cenne zapasy paliwa. I co wtedy? Jeśli nadal będziemy traktowali rozkazy dosłownie, zostaniemy zmuszeni do użycia broni w sytuacji, gdy przewaga wroga uczyni walkę totalnym bezsens.

## Rozdział dziewiętnasty

Okręt Teroni przeskakiwał z systemu do systemu, jak pszczoła szukająca nektaru. W ciągu następnych trzech dni obserwacji Cole jeszcze dwukrotnie próbował nakłonić Podok do jego zniszczenia i tyleż razy otrzymał odpowiedź odmowną.

- Pakujesz się w poważne kłopoty - zauważył Forrice, gdy siedzieli razem w mesie podczas białej wachty. - Ile razy masz zamiar powtarzać jej, by zrobiła coś, czego najwyraźniej nie chce?

- To ona pakuje „Teddy'ego R.” w poważne kłopoty - odparł Cole. - Jeśli miała najmniejsze choćby wątpliwości co do tego, czy okręt Teroni szuka naszych składów paliwa, już dawno powinna się ich pozbyć. Ciekaw jestem, co Podok zamierza zrobić, kiedy pojawi się tutaj cała Piąta Flota?

- Zapytaj ją.

- Przecież to robię. Nieustannie. A ona niezmiennie powtarza mi, że wykonuje rozkazy admiralicji, ale - do jasnej cholery - powtarzanie tego zdania jak mantry nie sprawi, że wygramy!

- Nie wiem, czy możemy zrobić cokolwiek sensownego w tej sytuacji - przyznał Forrice. - Pewnie będziemy tutaj sterczeli do momentu, w którym Podok przekona się, jak wielu ich jest i iloma działami dysponują, a dopiero potem damy nogę. - Nagle spoważniał. - Chyba nie sądzisz, że ona ma zamiar spróbować samotnej szarży na przeważające siły wroga?

- Jest tylko jeden rodzaj istot w naszej galaktyce, których nijak nie jestem w stanie zrozumieć, a są nimi oficerowie - powiedział Cole. - A jeśli miałbym wskazać oficera, którego najmniej rozumiem, byłaby to ona.

- Sam jesteś oficerem - przypomniał mu Molarianin.

- Możemy się założyć o twoje obce dupsko, że jeśli zasłużę na kilka kolejnych medali, zdegradują mnie jednocześnie do sierżanta albo i zwykłego marynarza - powiedział Cole. - Tak sobie myślę, czy po przejęciu niebieskiej wachty nie spróbować dopieprzyć temu cholernemu okręciakowi, żeby sprawdzić, czy zdecyduje się odpowiedzieć ogniem. Wtedy nawet Podok nie będzie mogła czepić się mnie za to, że go zniszczymy.

- A wzięłeś może pod uwagę fakt, że to on może nas rozpieprzyć? - zapytał Forrice.

- Z kim wolisz walczyć, z pojedynczym okrętem zwiadowczym czy całą Piątą Flotą Teroni? Bo jedno jest pewne: prędzej czy później będziemy mieli do czynienia z jednym albo drugim.

- Ja w takiej sytuacji skontaktowałbym się z dowództwem floty, wyjaśnił, na czym polega nasz problem i zasugerował w możliwie najdobitniejszy sposób, że mają anulować dotychczasowe rozkazy i wydać nowe.

- Wiesz, że nie jestem ulubieńcem dowództwa floty - powiedział Cole. - Za to mam pewność, że admirał Garcia, przypinając mi ten pieprzony medal, starała się z całych sił wbić mi jego szpilę głęboko w klatkę piersiową.

- Daj spokój, Wilson - powiedział Forrice. - Pieprzone medale nie mają już od dawna szpil, po prostu przylegają do munduru.

- Dobrze, ale gdyby je miały, na pewno zrobiłaby wszystko, żeby mnie ukłuć - wymamrotał Cole. - Wszystko, na co zwrócę im pisemnie uwagę, będzie potraktowane jako kolejny przejaw niesubordynacji.

- Nie patrz tak na mnie - powiedział Molarianin. - Znalazłem się tutaj tylko dlatego, że odmówiłem egzekucji rannego jeńca. Jeśli złożę skargę, uznają to za przyznanie się do błędu i wyrażenie zgody na podobne zabawy w przyszłości.

- Czyż nie po to nas mają? - zapytał Cole. Ekran holowizora ożył, a jego menu płynnie zmieniło się w przekaz od Susan Blacksmith:

*Jeśli dalej zamierzacie krytykować wszystkich oficerów wyższych stopniem od chorążego, którzy nie noszą nazwisk Cole albo Forrice, to radzę nieco ściszyć głos.*

- Naprawdę uważasz, że ktoś się tym przejmuje? - zapytał Cole.

W menu pojawiła się nowa wiadomość:

*Naprawdę uważasz, że jesteś jedynym oficerem, który ma przyjaciół w bezpieczeństwie?*

- Dobrze, punkt dla ciebie - powiedział Cole.

- Naprawdę sądzisz, że ona ma swoich ludzi w wydziale? - zapytał Forrice.

- Jest kapitanem. Trudno uznać za agenta każdego, kto na pokładzie tego okrętu wykonuje jej rozkazy. Ale odpowiadając na twoje pytanie: tak, myślę, że Podok ma lojalnych członków załogi w każdym przedziale. Nie chciałbyś ich mieć, będąc kapitanem? Ja bym chciał, i to bardzo.

- Nie rozumiem cię nic a nic - przyznał Forrice. - Za każdym razem, gdy utwierdzam się w przekonaniu, że jej nienawidzisz, zaczynasz mówić takie rzeczy.

- A kto powiedział, że jej nienawidzę? - odparł Cole. - Chciałbym tylko, żeby miała choć odrobinę zdrowego rozsądku. Przecież życie nas wszystkich zależy od decyzji, które podejmuje.

- Nawet mi o tym nie przypominaj. Cole wstał.

- Jestem za bardzo wkurzony, żeby tak po prostu siedzieć. Muszę się przejść.

- Chorąży Marcos została wypuszczona z aresztu domowego jakąś godzinę temu - powiedział Forrice. - Możesz ją odwiedzić i sprawić, że twoja koleżanka z bezpieczeństwa poczuje cholerną zazdrość. Menu wyświetliło kolejną wiadomość:

*Właśnie otrzymaliśmy informację, że mamy na pokładzie terońskiego szpiega, podobno to Molarianin w stopniu komandora. Chyba będziemy musieli go przymknąć, i to na jakieś sześćset lat. Bez wody i jedzenia.*

- Z drugiej jednak strony - ciągnął dalej Cztery Oczy - wydaje mi się, że taka młoda kobietka, jak chorąży Marcos woli spędzać czas z mężczyznami w swoim wieku, a nie jakimiś podstarzałymi oficerami.

Napis w menu zmienił się natychmiast:

*Może tym razem ci odpuścimy, ale uważaj, co mówisz.*

Molarianin rozgwiżdzał się z radości.

- Chyba ją lubię - powiedział.

- Skoro o tym mowa, ja chyba też ją lubię - dodał Cole. Spoglądał na menu, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że Sharon mogła go usłyszeć bez względu na to, gdzie się znajdował. - Ale wolałbym, żeby zamiast pilnowania swoich podbojów seksualnych zajęła się raczej obserwacją terońskiej jednostki. Czy ona przypadkiem nie zmierza w stronę Benidosa II albo Nowej Argentyny?

*Ciężko powiedzieć. Ten okręt nie porusza się w sposób pozwalający na przewidzenie jego następnego celu.*



- Czy możemy w jakikolwiek sposób monitorować wiadomości wysyłane z jego pokładu?

*Próbujemy, ale Teroni mogą wykorzystywać nieskończoną ilość częstotliwości. Na razie nie namierzylismy żadnej, ale może tylko dlatego, że na razie nie mieli czego meldować.*

- I właśnie dlatego powinniśmy rozwalić sukinsyna na kawałki, zanim zacznie nadawać - oznajmił Cole.

*Zdaje się, że już gdzieś słyszałam tę piosenkę.*

- Wiesz, jak się dobrze zastanowić, to z tej Rachel jest naprawdę piękna kobieta - powiedział Cole. - Młoda, ma co trzeba, jest szczerą i ufna. Ciekawe, dlaczego wcześniej tego nie zauważyłem...

Menu zniknęło.

- Wydaje mi się, że przynajmniej przez kilka minut będziemy mogli porozmawiać bez oglądania cynicznych komentarzy - powiedział Cole, uśmiechając się szeroko. - A mnie wciąż roznosi. Muszę zrobić rundkę po okręcie.

- Słusznie - odparł Forrice. - Skoro sobie idziesz, będę mógł wreszcie zjeść coś dobrego bez wysłuchiwania twoich uszczypliwości.

Cole wyszedł z mesy. Najpierw udał się do swojej kajuty, ale szybko stwierdził, że jest zbyt pobudzony, by ucinąć sobie drzemkę, spędził więc kilka minut na wizycie u Pampasa, zszedł do pomieszczeń laboratoryjnych (pustych jak zwykle), zawitał do izby chorych, aby sprawdzić stan Kudopa i w końcu wrócił do siebie.

Ogolił się, wziął suchy prysznic, założył świeży mundur, sprawdził, ile czasu pozostało do rozpoczęcia niebieskiej wachty, aktywował komputer, by poczytać książkę, ale nie potrafił się skoncentrować na jej treści, więc przełączył się na program rozrywkowy, transmitowany z klubów nocnych Kaliope III, aby obejrzeć występy prestidigitatorów, piosenkarek i roznegliżowanych panienek w chórkach. Spędził niemal dwie minuty na oglądaniu tego programu, zanim go wyłączył.

Nagle pojawiło się przed nimi holograficzne wyobrażenie Sharon.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa - oznajmiła. - Nie możesz po prostu usiąść na tyłku i odpocząć?

- Staram się.

- Widocznie niezbyt mocno się starasz. Jeśli flota Teroni pojawi się podczas niebieskiej wachty, będziesz zbyt zaszpany, żeby prawidłowo zareagować.

- Mam jeszcze sporo czasu - odparł Cole. - Wejdę na mostek wypoczęty i wyspany.

- Miotasz się jak ranny zwierz - podsumowała jego zachowania.

- A ty nie masz nic lepszego do roboty niż obserwowanie mnie?

- Znajdujemy się w samym środku niebezpiecznej operacji wojskowej, a ty masz objąć stanowisko dowodzenia za mniej niż godzinę. Moja odpowiedź brzmi: nie, nie mam nic lepszego do roboty - ściszyła głos, chyba dlatego, że ktoś pojawił się w sąsiednim pomieszczeniu. - Wydaje mi się, że mogę się oddalić z wydziału na jakieś dwadzieścia minut i uspokoić trochę twoje nerwy.

- Każ zestrzelić ten pieprzony okręt - odparł. - Tylko to ukoi moje nerwy.

Wzruszyła ramionami.

- Nie będę powtarzać.

- Przepraszam, jestem wściekły, ale nie na ciebie. - Jeśli nawet, następnym razem rozliczę cię za to.

- A ja może za to zapłacę - odparł. - Przecież, do cholery, nie mam tu na co wydawać pieniędzy. A z drugiej strony taka ślicznotka jak Rachel jest chyba poza zasięgiem mojej wypłaty.

- Wiedziałam, że bohaterowie uwielbiają niebezpieczne życie - odparła Sharon - ale ty naprawdę zaczynasz stąpać po kruchym lodzie.

- No dobrze - roześmiał się. - Już czuję się lepiej. Dzięki.

- A ja nawet nie zdążyłam się rozebrać.

- Wydaje mi się, że powinienem wpaść na moment do mesy i zaaplikować sobie mocną kawę przed rozpoczęciem służby.

- Wilson, masz już w sobie pięć kubków kawy.

- Dzięki nim zachowuję czujność.

- Dzięki nim nie wyjdiesz z toalety.

- To też pozwoli mi zachować czujność - powiedział, podrywając się na równe nogi.

Spędził kolejne pół godziny nudząc się w mesie, potem przez dwadzieścia minut grał w szachy z Mustafą Odonem, pierwszym mechanikiem i zarazem największym odludkiem na pokładzie, aż wreszcie ruszył w stronę mostka.

- Proszę o pozwolenie wejścia na mostek, kapitanie - powiedział, oddając salut.

Podok sprawdziła czas na głównym ekranie.

- Przychodzi pan o trzy minuty za wcześnie, komandorze Cole.

- Lepiej przyjść o trzy wcześniej, niż się spóźnić, kapitanie.

- To prawda - przyznała Podok. - Udzielam panu pozwolenia.

Przeszedł na miejsce, z którego mógł lepiej widzieć główny ekran.

- Wygląda zupełnie tak samo jak wczoraj - zauważył.

- Możliwe jest, że się pan pomylił i nie mamy wcale do czynienia ze zwiadowcą - zasugerowała Podok.

- Dobrze by było - odparł Cole. - Latają po tej gromadzie już od trzech dni. Jeśli nie szukają naszych składów, dlaczego jeszcze nigdzie nie wylądowali?

Podok nawet na niego nie spojrzała, wyglądała teraz naprawdę obco i nieprzewidywalnie.

Christine Mboya wkroczyła na mostek i zajęła miejsce przy swojej konsoli, zaraz po niej pojawił się Malcolm Briggs. Chronometr pokazał równo szesnastą.

- Pani wachta już się skończyła, kapitanie - powiedział Cole.

Podok zasalutowała mu i wyszła.

- Nie wygląda mi pan na zadowolonego, panie Briggs - zauważył Cole.

- Właśnie oglądałem mecz morderballa pomiędzy Spicą II i Dalekim Londynem - odparł Briggs. - Musiałem wyjść i zameldować się tutaj na pięć minut przed końcowym gwizdkiem, przy remisie.

- Niewiele się dzieje - odparł Cole. - Może pan przełączyć mecz na główny ekran.

- Dziękuję, sir - zawołał Briggs. - To będzie tylko kilka minut, nawet z dogrywkami.

Porucznik wydał krótką komendę i obraz stadionu natychmiast pojawił się na największym z monitorów. Kamery ogniskowały się na boisku, na którym trwała coraz bardziej go-

rączkowa bieżanina. Kontuzjowanych zawodników znoszono natychmiast z murawy, a na ich miejsce wkraczali ostatni w pełni sprawni rezerwowi. W końcu tłum zaczął odliczać ostatnie sekundy, a gdy dotarł do zera, z tysięcy gardel wydobyl się radosny ryk.

- Daleki Londyn 4, Spica 3 - Briggs sprawdził wynik. - Zdobyl punkt po tym, jak wyszedłem z kajuty. Oto cena, jaką musimy płacić za chronienie galaktyki tylko po to, aby mogli po niej szaleć przepłacani sportowcy.

Kolejny rozkaz i na ekran powrócił widok gromady Kasjusza.

- Coś jest nie tak, sir - odezwała się Christine Mboya.

- O co chodzi?

- Nie mogę znaleźć okrętu Teroni.

- Jak daleko mógł się przemieścić w cztery minuty? - zapytał Cole. Wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nadal go szukam - powiedziała i zaraz dodała: - Mam go, sir! - Odwróciła się do komandora. - Myślę, że mamy problem, sir.

- Czyli?

- Okręt Teroni wszedł na orbitę wokół Benidosa II. W ciągu całych trzech dni pobytu w tej gromadzie ani razu nie orbitował wokół jakiegokolwiek planety.

- I o to chodzi! - zawołał Cole z zapalem. - Pilocie, cała naprzód, lecimy na Benidosa II. Panie Briggs, proszę przekazać Forrice'owi, żeby natychmiast brał dupę w troki i zrobił inspekcję w przedziale bojowym. Chcę mieć pewność, że każda broń, jaką dysponujemy, jest w pełni sprawna.

- Co pan zamierza zrobić, sir? - zapytała Christine.

- To, co powinniśmy uczynić już trzy dni temu. Panie Briggs, czy ma pan odpowiedź od komandora Forrice'a?

- Tak jest, sir - potwierdził porucznik. - Powiedział, że dotrze na miejsce za minutę.

- Mamy kolejny problem, sir - wtrąciła Christine. - I to wielki.

- Co znowu?

- Daję podgląd na duży ekran.

Cole zobaczył skraj gromady Kasjusza. Obraz wyglądał identycznie jak przez ostatnie dni, kiedy to miał setki okazji, by mu się dokładnie przyjrzeć, ale nagle w polu widzenia pojawiły się tuziny okrętów wojennych, chwilę później były ich już setki, na każdym widać było godło Piątej Floty Federacji Teroni.

- Ile czasu potrzebują, by dotrzeć do systemu Benidos II? - zapytał Cole.

- Około dziesięciu minut, sir. Góra jedenaście.

- Szlag! - zaklął Cole. - Atak na jednostkę zwiadowczą nie ma teraz najmniejszego sensu. Tylko ich wkurzimy.

- Czy mam włączyć czerwony alarm? - zapytała Christine.

- Tak, wydaje mi się, że to najlepsze, co możemy teraz zrobić. Potem nadaj komunikat do wszystkich przedziałów i wezwij załogę na stanowiska bojowe. Powiedz to bardzo wyraźnie na wszelki wypadek, niektórzy z nich nigdy wcześniej nie mieli do czynienia z czerwonym alarmem i mogą nie wiedzieć, jak się zachować w takiej chwili. Panie Briggs, proszę się skontaktować po raz kolejny z komandorem Forrice'em i przekazać mu, że jeśli jego stanowisko znajduje się poza obrębem przedziału bojowego, może zignorować rozkazy wydawane przez Christine Mboya.

- Tak jest, sir.

- Uwolnijcie też sierżanta Pampasa z aresztu domowego i każcie mu natychmiast stawić się w przedziale bojowym.

- Ale on nie może...

- Nie mam czasu na sprzeczkę, panie Briggs - odparł Cole. - Jeśli mamy dzisiaj otworzyć ogień do wroga, wolalibyśmy mieć tam choć jedną osobę, której mogę zaufać. Przynajmniej jeśli chodzi o uzbrojenie.

- Tak jest, sir. - Briggs od razu zabrał się do wydawania rozkazów przez komputer.

Syreny czerwonego alarmu rozbrzmiały trzykrotnie, potem ucichły na pół minuty, by znów wydać z siebie przeraźliwe wycie.

- Przełącz mnie na wewnętrzny radiowęzeł - rozkazał Cole, kierując te słowa do Christine.

- Wizję też?

- Nie. Pozwólmy im się skoncentrować na tym, co mam do powiedzenia.

- Gotowe, sir - potwierdziła porucznik Mboya.

- Do załogi „Teodora Roosevelta”, mówi komandor Wilson Cole. Piąta Flota Federacji Teroni weszła w obszar gromady Kasjusza i kieruje się na system Benidos II. Przewidywany czas dotarcia do celu - dziesięć minut. Pozostańcie na swoich stanowiskach do czasu wydania nowych rozkazów.

Skinął ręką, prosząc Christine o wyłączenie mikrofonów.

- To szaleństwo - powiedział. - Po cholere mają tkwić na stanowiskach bojowych? Nie otworzymy przecież ognia do całej Piątej Floty. Sprawdź, czy możesz mnie połączyć z jej dowódcą. Chciałbym mieć wizję i dźwięk.

Kilka sekund później Christine podniosła wzrok znad konsoli.

- Nie ma odpowiedzi, sir. Użyłam sygnału szerokopasmowego, więc wiem, że mnie usłyszeli. Po prostu nie odpowiadają.

- Pozostało osiem minut - ogłosił Briggs.

- A ile my mamy do tego systemu? Minutę?

- Prawie dwie, sir.

- Lecimy tam, pilocie. Może zdołamy jednak przemówić komuś do rozumu.

- A co zrobimy, jeśli to się nie uda? - zapytała Christine.

Chciał jej odpowiedzieć: „zginie”, ale wiedział, że patrzą na niego teraz jak na przywódcę, więc zatrzymał tę uwagę dla siebie.

- Będziemy improwizować.

- Nie robimy takich rzeczy jak improwizowanie - w odpowiedzi usłyszał ostry ton dobiegający od strony wejścia na mostek. Cole odwrócił się i zobaczył kapitan Podok.

- Co pani tutaj robi? - zapytał.

- Usłyszałam sygnał czerwonego alarmu - odparła Podok. - Jak wszyscy pozostali członkowie załogi. A w takich sytuacjach moje miejsce jest na mostku. Proszę się odsunąć, panie Cole. Od tej chwili ja przejmuję dowodzenie. - Spojrzała w stronę Christine. - Poruczniku Mboya, gdzie w tej chwili znajduje się flota Teroni?

- Około sześciu minut lotu od Benidos, kapitanie.

- A gdzie znajduje się Nowa Argentyna, jeśli spojrzymy na gromadę od strony nadlatujących okrętów, przed, obok czy za systemem Benidos?

- Za nim, kapitanie - odparła Christine. - Muszą przelecieć obok Benidos, żeby się do niej dostać.

- Lecimy na Nową Argentynę - rozkazała Podok. - Szybko, nie mamy czasu do stracenia.

- Czyżby miała pani jakiś plan, kapitanie? - zapytał zdziwiony Cole.

- Mam wyraźnie zarysowany plan postępowania.

- I nie podzieli się pani nim ze mną?



- Przecież pan już go zna - powiedziała Podok. - Ja go znam?

- Oczywiście. Przedział bojowy, proszę wymierzyć broń w następujące koordynaty - wypowiedziała całą serię liczb.

- Cel namierzony - odpowiedział po chwili Forrice.

- Coś mi się tutaj nie zgadza - wtrącił Cole. - Nie kazała pani nawet sprawdzić aktualnych pozycji Teroni. Skąd zna pani koordynaty celu?

- Przedział bojowy, proszę oddać salwę z dziesięciu dział pulsacyjnych. Pełna moc rażenia.

Nagle Cole zdał sobie sprawę, na czym polegał plan Podok.

- Cztery Oczy, pomiń ten rozkaz! - ryknął, ale było już za późno. W tej samej chwili planeta zwana kiedyś Benidosem II w oślepiającym błysku rozpadła się na miliardy odłamków.

- Co pani zrobiła, do jasnej cholery! - wrzasnął Cole.

- Spełniłam swój obowiązek - odparła Podok ze spokojem.

- Obowiązek? Na tej planecie mieszkały trzy miliony Benidotów!

- Flota Teroni może co minutę zabijać znacznie większą liczbę istot. Nie mogłam im pozwolić na zdobycie paliwa.

- Przecież zdobędą je gdzie indziej i zabiją tę „znacznie większą liczbę istot” za tydzień zamiast jutro!

- Wykonywałam rozkazy. Panie Wxakgini, proszę skierować nas na Nową Argentynę.

- Ją też zamierza pani wysadzić? - zapytał Cole.

- Rozkazy są jednoznaczne - odparła Podok. - Mamy za wszelką cenę uniemożliwić flocie Teroni przejście naszych składów paliwowych.

- Na Nowej Argentynie mieszka pięć milionów ludzi - wychrypiął Cole. - Nie pozwolę pani ich zabić!

- Panie Cole, proszę opuścić mostek i udać się do swojej kajuty, otrzymuje pan areszt domowy do odwołania - oznajmiła Podok. - Dopuścił się pan niesubordynacji o jeden raz za dużo.

- Proszę zawrócić ten okręt, kapitanie - rozkazał Cole. - Niech się udławią tym cholernym paliwem!

- Jest pan już o krok od posądzenia o zdradę, panie Cole - ostrzegła go Podok. - I zaręczam, że nie zapomnę o tym w raporcie.

- Poproszę jeszcze tylko raz - nie ustępował komandor. - Proszę natychmiast zawrócić okręt!

- Panie Wxakgini, cała naprzód! - powiedziała Podok.

- Proszę nie zmuszać mnie do tego, kapitanie!

- Rozkazałam panu opuścić mostek, panie Cole. I ma pan to zrobić natychmiast!

- Cztery Oczy, tutaj Cole - powiedział Cole, podnosząc głos. - Słyszysz mnie?

- Tak.

- Ogłaszam, że od tej chwili przejmuję dowodzenie okrętem. Nikt, pod żadnym pozorem, nie wystrzeli z żadnej broni bez mojego wyraźnego rozkazu.

- Mógłbyś powtórzyć raz jeszcze pierwszą część tego oświadczenia? - prosił Forrice.

- Przecież słyszałeś - zirytował się Cole. - Przejmuję dowodzenie tą jednostką.

- Nie zrobisz czegoś takiego! - wysyczała Podok, ruszając w jego kierunku ze złowrogim błyskiem w oku.

- Nie chcę pani skrzywdzić, kapitanie - powiedział Cole, cofając się - ale nie pozwolę na zamordowanie pięciu milionów obywateli Republiki. - Raz jeszcze podniósł głos: - Bezpieczeństwo! Przyślijcie mi tutaj podwojony zespół szybkiego reagowania. Sharon, powiedz im, kogo mają słuchać!

- Zaplanowałaś to sobie wcześniej! - ryknęła Podok. - Ty, ten twój Molarianin i szef wydziału bezpieczeństwa.

- Nie, to nieprawda - zaprzeczył Cole. - Nawet po zniszczeniu Benidosa nie myślałem o pozbawieni pani dowodzenia, ale nie mogę pozwolić na zniszczenie kolejnej planety należącej do Republiki.

- Poruczniku Mboya, poruczniku Briggs - odezwała się Podok - jesteście świadkami próby buntu na pokładzie. Oczekuję, że będziecie zeznawać podczas rozprawy sądu wojennego.

- To coś więcej niż tylko usiłowanie buntu - wtrącił Cole. - Ja przejmuję dowodzenie. Potraktujemy panią, kapitanie, z należyтым szacunkiem, ale od tej pory nikt nie będzie słuchał wydawanych przez panią rozkazów. Jeśli uda nam się stąd odlecieć w jednym kawałku, zostanie pani dostarczona do dowództwa floty, gdzie oddam się w ręce władz, by same zdecydowały o naszym losie.

Sharon wkroczyła na mostek w towarzystwie trzech uzbrojonych funkcjonariuszy.

- Pułkowniku Blacksmith, proszę aresztować tego człowieka! - rozkazała Podok.

- Pułkowniku Blacksmith, jeśli aresztuje mnie pani w tej chwili, stanie się pani współwinna śmierci pięciu milionów obywateli Republiki - powiedział Cole. - Proszę odprowadzić kapitan Podok do jej kwatery i postawić uzbrojonych strażników przed drzwiami. Jeśli będzie sprawiała problemy, osadźcie ją w areszcie.

- Jeśli posłucha pani tego człowieka, stanie się pani współwinna buntu - ostrzegła ją Podok.

- Kapitanie, przybyliśmy na wyznaczoną pozycję - oznajmił Wxakgini.

- Kapitan już tutaj nie dowodzi - odparł Cole. - Masz się teraz zwracać wyłącznie do mnie.

- Co mam robić, pułkowniku Blacksmith? - zapytał zdeorientowany pilot.

- Słuchaj, co mówi pan Cole - odparła Sharon. - Komandor przejął dowodzenie. Kapitanie Podok, proszę z nami.

- Zapłaci pan za to, panie Cole - obiecała Podok. - I wszyscy pozostali konspiratorzy, pułkownik Blacksmith oraz komandor Forrice.

*Tak, tak, zgodził się z jej słowami w myślach, my pewnie zapłacimy. Ale przynajmniej pięć milionów Nowoargentyńczyków nie będzie musiało umierać. Oczywiście przy założeniu, że przetrwamy w stanie nienaruszonym kolejne dziesięć minut.*

## Rozdział dwudziesty

- Christine, do cholery, otworzyłaś już ten kanał komunikacyjny? - dopytywał się Cole.

- Nadawałam do nich na prawie dwóch milionach częstotliwości - odparła - ale nadal nie mam odpowiedzi.

- Możesz to tak ustawić, żeby usłyszeli mój głos?

- Tak, ale to nie zagwarantuje ich reakcji.

- Ale będą mnie odbierać? - nie ustępował.

- Tak, każde słowo - powiedziała Christine. - Nie potrafię sobie wyobrazić, że nie kontaktują się pomiędzy sobą. Nasze komunikaty z pewnością zakłócają którąś z ich częstotliwości, więc ktoś to musi usłyszeć.

- Dobrze, daj mnie na fonię. Dostroiła sprzęt.

- Może pan zacząć, sir.

- Mówi Wilson Cole, dowódca okrętu Republiki „Teodor Roosevelt”, to znaczy jednostki, która znajduje się pomiędzy wami a planetą noszącą nazwę Nowa Argentyna. Tej samej, na której znajdują się składy tak wam potrzebnego paliwa. Chcę wam zaproponować układ... - przerwał na moment, aby zebrać myśli. - Będziecie mogli zabrać tyle paliwa, ile zechcecie, pod warunkiem, że po zakończeniu tej operacji nie skrzywdzicie mieszkańców planety. Jeśli nie wyrazicie na to zgody, zniszczę Nową Argentynę, tak jak zrobiłem to przed chwilą z Benidosem. Macie dziewięćdziesiąt sekund na odpowiedź.

Przesunął palcem po gardle, dając Christine znak, aby przerwała w tym momencie połączenie.

- Naprawdę zamierza pan to zrobić, sir? - zapytał Briggs.

- Ależ skąd - uspokoił go Cole. - Nie po to przejmowałem okręt z rąk Podok, żeby teraz działać tak samo jak ona. Ale Teroni nie mają pojęcia, jak się rzeczy mają. Wiedzą tylko tyle, że nie cofnę się przed zniszczeniem planety należącej do Republiki, jeśli tym sposobem powstrzymam ich przed zdobyciem paliwa i zrobię to ponownie, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Sądzi pan, że to zadziała? - zapytała Christine, wpatrując się intensywnie w wyświetlacz komputera, jakby chciała tym sposobem przyspieszyć odpowiedź.

- Za chwilę się przekonamy - odparł Cole, a potem dodał nieco głośniej. - Cztery Oczy, miej broń w pogotowiu jakby co.

- Jest już gotowa - w głośnikach rozbrzmiał głos Molarianina. - Chyba nie zapomniłeś, czego dokonaliśmy zaledwie kilka minut temu?

- Obawiam się, że wiele wody jeszcze upłynie, zanim zdążę o tym zapomnieć - odparł Cole.

- Wiadomość! - zawołała nagle straszliwie podniecona Christine i wszyscy na mostku zamilkli jak na komendę.

- Mówi Jacovic, głównodowodzący Piątej Floty Federacji Teroni. Przyjmujemy pańskie warunki.

- Włącz przekaz audio - powiedział Cole do Christine. - Mówi Wilson Cole. Wycofujemy się i otwieramy wam podejście do planety. *Gadam, jakbyśmy mogli was przed tym powstrzymać*, dodał w myślach.

Znów kazał przerwać transmisję.

- Pilocie, zabieraj nas stąd w cholerę, cała naprzód w kierunku najbliższego tunelu czasoprzestrzennego i jest mi wszystko jedno, dokąd prowadzi, o ile możemy wydostać się nim poza tę cholerną gromadę.

- Tak jest, sir - odparł Wxakgini.

- Nie sędzę, by zamierzali nas atakować - wtrącił Briggs. - Było nie było, przystali na ultimatum.

- Może to umknęło pańskiej uwadze, poruczniku - wycedził Cole, nie odrywając oczu nawet na moment od widocznej na ekranach floty Teroni, zbliżającej się szybko do Nowej Argentyny - ale w warunkach naszej umowy nie było nawet słowa o bezpiecznym odlocie „Teddy'ego R.”.

- Wejście w tunel czasoprzestrzenny za czterdzieści pięć sekund - zameldował Wxakgini.

- Czy wydostaniemy się nim poza granice tej gromady? - zapytał Cole.

- Wprawdzie nie został jeszcze dokładnie opisany ale mam powody podejrzewać, że wyskoczymy z niego w połowie drogi na Antaresa.

- Albo się mylę - powiedziała Sharon - albo trzy okręty wyłamują się właśnie z szyku i ruszają w pogoń za nami.

- Chyba jednak nas nie ścigają - ocenił Cole. - Raczej chcą się upewnić, że nie szykujemy jakiegoś podstępu.

- Trzydzieści sekund - obwieścił pilot.

- Nie chcesz posłać im czegoś na pożegnanie? - Cole znów usłyszał głos Forrice'a.

- Nie! - odparł komandor. - Ruszysz jeden z nich, a cała reszta poleci za nami tym tunelem!

- Dziesięć sekund.

- Nie przyspieszają - powiedziała Sharon. - Wydaje mi się, że nie będziemy mieli problemów z odlotem.

I nagle, bez ostrzeżenia, znaleźli się we wnętrzu tunelu.

- Tak - Sharon wydała z siebie głośne westchnienie ulgi. - Wygląda na to, że przeżyliśmy.

## STARSHIP 1

---

- Jedynym człowiekiem, który naprawdę ucieszy się z tego powodu, będzie kat - rzucił Cole. - A może dzisiaj nie wiesz się już buntowników, tylko ich rozstrzeliwuje?



## **Rozdział dwudziesty pierwszy**

Cole udał się do sali konferencyjnej pod eskortą dwóch uzbrojonych ludzi. Na miejscu, przy wielkim owalnym stole siedział już Forrice, także pilnowany przez żołnierzy. Jeden ze strażników doprowadzających Cole'a wskazał wolne krzesło, sugerując, by również usiadł.

Do pomieszczenia wszedł major w średnim wieku, rozgościł się i zapalił bezdymne cygaro. Potem wypakował z torby dwa przenośne terminale komputerowe i rozstawił je na stole.

- Nie ma sensu zaczynać rozmowy, zanim nie pojawi się pułkownik Blacksmith - obwieścił wszystkim. - Mam nadzieję, że traktowano was dobrze.

- Jako skazaniec nie mogłem narzekać na jakość posiłków - odparł oschle Cole.

- A ja spędziłem zbyt wiele czasu w przestrzeni i chwilę trwało zanim przyzwyczałem się do normalnego ciężenia - dodał Forrice.

- Fakt, trochę tu przyciężkawo - przyznał major. - Jeden przecinek zero siedem standardowej galaktycznej. Zazwyczaj załatwiamy sprawy tego typu u nas, na Delurosie VIII, ale ze względu na kontrowersje towarzyszące temu procesowi, marynarka zdecydowała, że będziemy obradować w systemie Timos.

Do sali weszła Sharon, także w towarzystwie dwóch żołnierzy.

- O, pułkownik Blacksmith - ucieszył się major. - Proszę siadać. - A gdy zajęła miejsce, zwrócił się do ludzi z jej eskorty: - Możecie nas już zostawić samych. Zaczekajcie za drzwiami.

- Rozkazano nam zostać przy więźniach - odparł jeden ze strażników.

- Jestem ich adwokatem i żądam umożliwienia mi kontaktu z klientami na osobności. Przedyskutujcie to teraz ze swoimi przełożonymi, a potem zostawcie nas samych.

Żołnierz, który zaprotestował, opuścił salę, ale tylko na moment. Gdy wrócił, powiedział: - Proszę o wybaczenie, sir, ale wykonywaliśmy wydane nam rozkazy. - Odwrócił się do pozostałych strażników. - Idziemy. Zaczekamy na zewnątrz, jak pan major prosił.

Gdy ostatni z nich opuścił pomieszczenie, oficer znów przemówił.

- Rozumiem, że wypadałoby się przedstawić. Nazywam się major Jordan Baker i będę waszym obrońcą podczas rozprawy przed sądem wojennym.

- Czyżby wylosował pan najkrótszą słomkę? - zasugerował Cole z ironicznym uśmiechem.

- Liczę na uniewinnienie was wszystkich, i to pierwszego dnia rozprawy - odparł niezrażony prawnik.

- Nie chciałbym nastawiać pana negatywnie do klientów - powiedział Cole - ale ja naprawdę przejąłem dowodzenie z rąk kapitan Podok. I to wbrew jej woli.

- Czym uratował pan życie pięciu milionom istot - dodał major Baker, stukając palcem w jeden z komputerów. - Mamy pełne zapisy holodziennika pokładowego, więc nikt nie będzie mógł zaprzeczyć temu faktowi. Wydaje mi się, że wyjdzie pan z tej sprawy w o wiele lepszym świetle niż kapitan Podok.

- To bardzo pocieszające - przyznał Cole. - Mogę zapytać, dlaczego komandor Forrice i pułkownik Blacksmith trafili tutaj ze mną? To była wyłącznie moja decyzja, oni nie mieli z nią nic wspólnego.

- Podok złożyła zawiadomienie o buncie całej waszej trójki - wyjaśnił major. - A pułkownik Blacksmith wzięła pana stronę.

- Przecież jej nawet tam nie było! - wypalił Cole. - Wydawało mi się, że obejrzał pan wszystkie nagrania.

- Obejrzałem - potwierdził Baker. - W chwili, gdy pan i kapitan Podok wydaliście sprzeczne rozkazy, pilot zadał pułkownik Blacksmith pytanie, kogo ma słuchać, a ona odparła, że pan teraz dowodzi.

- Bo wtedy już dowodziłem - upierał się Cole. - Było po wszystkim.

- Doprawdy? - zdziwił się prawnik. - A gdyby kazała pilotowi słuchać rozkazów Podok? Czy w takiej sytuacji mógłby pan dowodzić?

- Nie - odparł Cole. - Nie mógłbym.

- I dlatego właśnie jest sądzona razem z panem - dokończył major Baker. - Natomiast przypadek komandora Forrice'a jest mocno niejasny. Oskarżenie opiera się niemal wyłącznie na tym, że natychmiast po przejęciu dowodzenia skontaktował się pan z przedziałem bojowym i poinformował go o przebiegu wydarzeń. Komandor poprosił o powtórzenie, a gdy pan to zrobił, nie próbował odwołać pana od tej decyzji... - przerwał na moment. - Ale brak próby odwołania pana od popełnienia czynu nie jest równoznaczny z aktywnym popieraniem buntu, jak to miało miejsce w przypadku pułkownik Blacksmith.

- Gdyby ktoś mnie wtedy zapytał, odpowiedziałbym bez wahania, że przejęcie tego okrętu to jedyne rozsądne rozwiązanie w takiej sytuacji - wtrącił Forrice.

- Na szczęście nikomu nie wpadło do głowy pana o to pytać - zgasił go prawnik.

- A co będzie z Podok? - zapytała Sharon. - Jak by na tę sprawę nie patrzeć, to ona jest odpowiedzialna za śmierć trzech milionów Benidotów.

- Powołano w tej sprawie komisję śledczą - odparł Baker. - Zakładam, że w orzeczeniu znajdzie się zdanie, iż doszło do niezrozumienia treści rozkazów, więc nie będzie można zastosować wobec niej oskarżenia o zbrodnię. Ale na pewno nie otrzyma drugiej szansy na dowodzenie okrętem. Flota nie wybacza takich pomyłek.

- Zatem za zabicie trzech milionów niczemu niewinnych istot ona otrzyma upomnienie, a my za uratowanie kolejnych pięciu milionów stajemy w obliczu kary śmierci. I to ma być sprawiedliwość? - zapytała Sharon.

- Oskarżenie zażądało kary śmierci jedynie dla komandora Cole'a - poprawił ją Baker. - W stosunku do pani i komandora Forrice'a wniesiono o łagodniejsze wyroki.

- Ciekawe, czy wszyscy byliby szczęśliwi, gdyby komandor Cole nie powstrzymał Podok przed zniszczeniem Nowej Argentyny?

- Chce pani znać prawdę? Prawdopodobnie tak. Mieliby wtedy tylko jedną trudną decyzję na karku, zamiast czterech.

- Jak dla mnie, te trzy decyzje są więcej niż proste - odparła Sharon. - Uratowaliśmy życie pięciu milionom ludzi.

- Ale skierowaliście się prosto do dowództwa floty i zostaliście natychmiast przeniesieni na Timos - wyjaśnił Baker. - Nie mieliście w tym czasie łączności z nikim.

- I co z tego?

- To, że pierwszy rozkaz komandora Cole'a po przejęciu dowodzenia na „Teodorze Roosevelcie” umożliwił nieprzyjacielowi przejęcie paliwa z naszych składów na Nowej Argentynie.

- Aby ocalić pięć milionów istnień.

- Przecież nie mógł pan wiedzieć, czy Teroni zamierzają zgładzić ludność tej planety po zdobyciu paliwa. Bardziej prawdopodobne byłoby rozwiązanie, że niszczą wasz okręt, ra-

bują składy, dokonując niewielkich zniszczeń i odlatują... - przerwał na moment. - Nie ma pan za to pojęcia, że Piąta Flota Teroni, kontynuując rajd, po zdobyciu paliwa zaatakowała instalacje wojskowe Republiki w siedmiu kolejnych układach planetarnych. I zapewniam, że nie były to uderzenia chirurgiczne.

- Jakie ponieśliśmy straty? - zapytał Cole.

- Na pewno nie można ich porównać z liczbą ocalonych na Nowej Argentynie, ale to jeszcze nie koniec tej operacji. Teroni lecą dalej, wykorzystując nasze paliwo i wciąż zabijają obywateli Republiki - Baker spojrzał mu prosto w oczy. - Oskarżenie będzie się powoływało na te fakty podczas rozprawy. Jak pan ma zamiar odpowiedzieć?

- Miałem jeden okręt przeciw dwustu. Nie miałem możliwości wyboru pomiędzy zniszczeniem tej floty albo zachowaniem się po sąsiedzku i umożliwieniem im uzupełnienia zapasów paliwa. Mogłem zniszczyć te składy, zabijając przy okazji wszystkich mieszkańców Nowej Argentyny lub udostępnić wrogowi paliwo.

- A nie mógł pan po prostu zniszczyć składów, nie rozwalając przy okazji całej planety?

Cole pokręcił głową.

- Mówimy o materiałach rozszczepialnych. Wysadzenie ich skaziłoby cały glob przynajmniej na kilkaset lat.

- Rozumiem - powiedział Baker. - Zapamiętam to tłumaczenie, bo jestem pewien, że oskarżenie będzie próbowało sugerować proponowane przeze mnie rozwiązanie. - Major odwrócił się w stronę Sharon. - Nie chciałbym wprawiać pani, pułkownika Blacksmith, w zakłopotanie, ale muszę zadać to pytanie - czy miała pani romans z komandorem Cole'em?

- Jeśli nawet miałam, nie zamierzam się do tego przyznać. Nie istnieje żadne nagranie, które mogłoby być dowodem w tej sprawie.

- Wierzę, że nie ma żadnych nagrań, które mogłyby udowodnić tę tezę, w końcu to pani była szefem wydziału bezpieczeństwa. Ale na nagraniach mamy kilka niedyskretnych żartów, które sugerują istnienie uczuciowych relacji pomiędzy wami - prawnik spojrzął jej prosto w oczy. - Oskarżenie z pewnością zapyta o nie, gdy będzie pani zeznawać pod przysięgą. Jeśli zacznie pani kręcić, sąd uzna, że sypialiście ze sobą, a to będzie miało znaczący wpływ na ocenę wszystkich pani działań wspierających bunt komandora Cole'a.

- Nikt nie musiał mnie wspierać - oświadczył Cole. - Macie dokładne nagrania tego, co wydarzyło się na mostku. Nie przejąłem dowodzenia nawet wtedy, gdy Podok zniszczyła Benidosą. Błagałem, żeby nie postępowała tak samo z Nową Argentyną. Dałem jej szansę na zmianę decyzji. Ostrzegałem, co się stanie, jeśli nadal będzie chciała zniszczyć drugą planetę. A kiedy już przejąłem dowodzenie, nie odesłałem jej i członków załogi, którzy ją wspierali na jakiś bezludny świat, by uniknąć odpowiedzialności, poprowadziłem „Teddy'ego R.” prosto do dowództwa floty, uwolniłem Podok i oddałem się w ręce zwierzchników. I oświadczam, że zrobiłbym ponownie i bez zastanowienia wszystko, czego musiałem dokonać po zniszczeniu Benidosa II.

Baker przyglądał się im wszystkim po kolei.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Obie strony będą przez najbliższe kilka dni składać zeznania pod przysięgą. Sądzę, że sam proces będzie mógł się rozpocząć nie później niż za tydzień. Jest pan, komandorze, jednym z naszych największych bohaterów.

rów, więc flota będzie chciała załatwić tę sprawę jak najszybciej... - nagle przerwał. - Jeśli każde z was chce mieć innego adwokata, flota zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby ich zatrudnić.

- Nie, pan nam wystarczy - powiedział Cole i zaraz dodał: - Czy pracował pan już kiedyś przy procesach o bunt?

- Komandorze Cole, ostatniego oficera marynarki oskarżono o bunt ponad sześćset lat temu.

## Rozdział dwudziesty drugi

Baker wszedł do celi Cole'a. - Jak pana traktują? - zapytał.

- Przecież nie przyszedł pan, aby pytać mnie o takie pierdoły.

- Nie, przyszedłem, żeby panu powiedzieć, że chyba uda mi się obalić zarzuty stawiane komandorowi Forrice'owi - uśmiechnął się z zadowoleniem. - Wiem, że nie będą w stanie ich podtrzymać. On nigdy nie odpowiedział twierdząco, kiedy pan się do niego zwracał.

- A co z Sharon?

- Pułkownik Blacksmith? Ona będzie musiała stanąć przed sądem razem z panem. Nie ulega wątpliwości, że była pierwszą osobą, która uznała pańskie przejęcie dowodzenia „Teodorem Rooseveltem” - przerwał na moment. - I nadal jej los jest nierozzerwalnie związany z pańskim. Nie da się jej oskarżyć o uczestnictwo w buncie, jeśli pan zostanie uwolniony od tego zarzutu.

- A jak wygląda moja sprawa?

- Nadal mamy mnóstwo pobocznych wątków do uporządkowania. Na przykład sposób, w jaki pan się układał z wrogiem albo co Teroni zrobili po zdobyciu paliwa, ale jeśli uda mi się skupić uwagę sędziów na głównym punkcie obrony, czyli ocaleniu pięciu milionów niewinnych ludzi, możemy wygrać tę sprawę.

- Kilka dni temu wydawał się pan o wiele bardziej pewny.

- Bo kilka dni temu nie wiedziałem, kto będzie oskarżycielem w pańskiej sprawie - odparł major Baker. - A został nim pułkownik Miguel Hernandez.

- Nigdy o nim nie słyszałem.



- O ile ktoś nie był klientem sądów wojennych - przyznał prawnik - mógł o nim nie słyszeć. Jest najlepszym prokuratorem marynarki - zmarszczył brwi. - Nie mam pojęcia, dlaczego sprowadzono go tutaj.

- Przecież nie mógłby prowadzić sprawy z dystansu.

Baker pokręcił głową.

- Nie o to mi chodziło. Marynarka powinna chcieć oczyszczenia pana z zarzutów. W końcu odwalił pan kawał dobrej roboty, ratując całą masę istnień. Nie kazał pan swojemu dowódcy skakać z deski, czy co tam się teraz powinno robić podczas buntów. Zachował się pan honorowo, no i jest pan najczęściej odznaczanym oficerem w czynnej służbie. Dlaczego więc, na liść boską, przysyłają oskarżyciela, który od piętnastu lat, jeśli nie więcej, nie przegrał żadnej sprawy?

- Miejmy nadzieję, że chcą jedynie dobrze wypaść w oczach prasy - odparł Cole.

- Miejmy - zgodził się Baker. - Ale ten ruch admiralicji nadal mnie niepokoi. Jeśli kiedykolwiek miałem do czynienia ze sprawą, do której powinni posłać nieopierzonego prokuratora, to pański przypadek nadaje się na nią idealnie.

- Nie ma sensu martwić się takimi rzeczami - powiedział Cole. - Kiedy oskarżenie zacznie przesłuchania?

- Odebrali już zeznania od kapitan Podok, porucznik Mboyi i porucznika Briggsa. Z tego, co wiem, w tym momencie przesłuchują pułkownik Blacksmith.

- Nie powinien pan być przy niej i służyć pomocą w trakcie składania zeznań? - zapytał ostro Cole.

- Na miejscu jest jeden z moich ludzi - uspokoił go Baker. - To nie jest proces cywilny, komandorze. Mamy ograniczoną swobodę działania podczas czynności procesowych. W każdym

razie sąd dał mi znać, że zamierza pana przesłuchać już jutro. Postaram się przybyć osobiście na to posiedzenie.

- Nie musi pan - odparł Cole. - Nie mam niczego do ukrycia i niczego się nie wstydzę. Zamierzam odpowiadać na wszystkie pytania zgodnie z prawdą.

- To zazwyczaj najlepsza metoda zachowania podczas procesu.

- Kiedy zeznawała Podok?

- Trzy dni temu, ale wynik jej sprawy był z góry przesądzony - degradacja o jeden stopień i powrót do czynnej służby.

- Mam nadzieję, że nie na pokładzie „Teddy'ego R.”.

- Z tego co wiem, nie.

- I naprawdę wywinie się z tego zwykłym kłapsem w tyłek?

- Na to wygląda, chociaż utrata dowodzenia jest dla niej naprawdę strasznym ciosem. Spędziła cały dzień, wmawiając dziennikarzom, że przejął pan dowodzenie okrętem, ponieważ odmawiał pan wykonania rozkazów wydawanych przez Polonoi.

- Żarty pan sobie ze mnie stroi! - zawołał Cole. - Naprawdę powiedziała coś takiego?

- Nadal to mówi. Chyba nie oglądacie tutaj za dużo holo-wizji.

- Mam nadzieję, że dziennikarze nie dali się nabrać na te bzdury.

- I tu się pan trochę myli. Obawiam się też, że prasa nie dostanie pozwolenia na opublikowanie sprostowania podanego przez więźnia.

- Jeśli nawet - wtrącił Cole - i tak znajdzie się z tuzin członków załogi...

- Jest pan buntownikiem - przerwał mu Baker. - A ona podaje im racjonalny powód pańskiego buntu, i to taki, dzięki

któremu sama stawia się w dobrym świetle, jednocześnie pograżając pana. Za każdym razem, gdy ktoś z załogi stara się wytłumaczyć, że nie jest pan jakimś rasistą, przepytujący go dziennikarz odpowiada, że przecież posadzili pana za usunięcie ze stanowiska Polonoj.

- Tak, prasa kocha tego rodzaju historie, prawda? - przyznał Cole. - Uwielbiają wszystko, co może udowodnić stawianą przez nich tezę, że każdy oficer floty to morderca i maniak, gwałticiel albo ksenofob.

- Sprawa zostanie rozdmuchana, jak tylko rozpocznie się proces - powiedział Baker. - Kto wie, może nawet dostanie pan kolejny medal za uratowanie Nowej Argentyny i stanie się na powrót ulubieńcem mediów - nagle uśmiechnął się. - Godząc się występować w pana obronie, przestudiowałem dokładnie pańską karierę we flocie. Zauważyłem, że o wiele częściej umiał pan wykorzystywać media na swoją korzyść, niż one potrafiły to zrobić z panem.

- Ale nie działałem nigdy z pobudek osobistych.

- Myśli pan, że ich to obchodzi?

- Nie - przyznał Cole. - Gdyby dbali o takie sprawy, nie pozwalaliby się tak łatwo urabiać.

- Tak - powiedział Baker. - Chciałem tylko powiadomić pana o zwrocie w sprawie komandora Forrice'a. Muszę już wracać do roboty. Wciąż mam dwie linie obrony do przygotowania.

- W każdym razie dziękuję za wizytę.

- Czy mogę coś jeszcze dla pana zrobić, komandorze?

- Czy może mi pan umożliwić widzenie?

- Ma pan na myśli kogoś z admiralicji? Cole pokręcił głową.

- Myślałem raczej o kimś z załogi „Teddy'ego R.”, kto akurat przechodziłby w pobliżu. Chciałbym na przykład przekazać

gratulacje Forrice'owi z okazji oczyszczenia go z zarzutów, ale mam takie przeczucie, że każdy, kogo zechcę widzieć, dostanie odmowę wizyty.

- Nie jest pan daleki od prawdy - przyznał Balcer. - Ale zobaczę, co da się zrobić.

- Dziękuję - powiedział Cole. - I jeszcze jedno, skoro nie mogę dostać żadnych holo, może postara się pan dla mnie o kilka staromodnych papierowych książek.

- Zrobię, co w mojej mocy - obiecał prawnik. Poczekał przy polu siłowym, aż strażnik naciśnie klawisz na panelu kontrolnym i umożliwi mu wyjście na zewnątrz.

Cole spędził następne dwie godziny, usiłując przypomnieć sobie drugorzędne wydarzenia rozgrywające się na pokładzie „Teddy'ego R.” w czasie tak zwanego buntu, a które mogłyby przemawiać na jego korzyść, w końcu jednak musiał się poddać. Nie mógł uwierzyć, że ktoś może podważać zasadność tych działań, skoro był pewien, że każdy trybunał nie tylko zgodzi się z jego tokiem myślenia, ale powinien udzielić mu pochwały.

Właśnie układał się na twardej koi, by uciąć sobie drzemkę, gdy pole siłowe rozstało się na moment i do celi wszedł Forrice.

- Słyszałem już dobrą nowinę - powiedział Cole. - Gratulacje.

- To idiotyzm - odparł Molarianin. - Gdyby nie to, że byłem zbyt zajęty, poradziłbym ci, abyś przejął ten okręt już w dniu, w którym zginął Fujijama.

- Nie powiem im, że mógłbyś to zrobić - powiedział Cole z uśmiechem na ustach.

- Słyszałeś już pewnie, co nasza ukochana eks-kapitan rozpowiada o tobie?

- Tak.

- Ale nie wyglądasz na specjalnie zmartwionego.

- A spodziewałeś się po niej czegoś innego? Liczyłeś na to, że powie, iż miałem powody, by usunąć ją ze stanowiska i powinienem raczej dostać za to pochwałę?

- Mogłaby przynajmniej chwilę poczekać z wygadywaniem takich bzdur - zaprotestował Forrice. - Ale i tak, prędzej czy później, prasa dowie się, co naprawdę wydarzyło się na Benidosie II, a wtedy ją ukrzyżują.

- Jesteś Molarianinem, co ty możesz wiedzieć o krzyżowaniu? - zdziwił się Cole.

- Wiem tylko tyle, że wszyscy wasi znamienici malarze mieli obsesję na ten temat.

- Obawiam się, że mieli nieco większą obsesję na punkcie faceta, którego ukrzyżowanie uwieczniali na obrazach.

- Skoro tak mówisz...

- Zostawmy ten temat, naprawdę się cieszę, że urwałeś się z haczyka.

- Ty też nie bekniesz za te zarzuty - odparł Forrice pewnym głosem. - Chciałbym tylko, żeby Podok przestała karmić prasę kłamstwami.

- Media mają o wiele więcej pożywki z kłamstw i niedopowiedzeń, niż mogłoby im dać opisanie prawdy - stwierdził Cole. - A sprostowanie zamieszcza dopiero wtedy, gdy już nikt nie będzie się interesował tą sprawą. I nie będą mogli zrozumieć, dlaczego osoba, którą obsmarowali jest na nich wciąż wkurzona.

- Z tego, co mówisz, wynika, że wasi dziennikarze są bardziej skorumpowani niż nasze molariańskie gryzpiórki.

- Taka jest już natura rzeczy. Nawet prawnicy zaczynają od poszukiwania prawdy, a kończą na walce o sukces za wszel-

ką cenę. Nie mówiąc już o lekarzach, którzy z dobra pacjenta przechodzą bez mrugnięcia okiem do dbania o własne aktywa. Tak samo dziennikarze - najpierw walczą o prawdę, a potem tylko o wysokość nakładów albo liczbę widzów czy emisji.

- Cieszę się, że w tej sytuacji nie popadasz w skrajny cynizm i nie plujesz na prawo i lewo jadem - podsumował jego wystąpienie Forrice, gwiżdżąc ze śmiechu.

- Zostawiam takie zachowania wszystkim obcym rasom, którymi tak pogardzam, od Molarian począwszy.

Forrice ponownie się rozgwiżdżał.

- Nie będziesz miał nic przeciw, jeśli zacytuję te słowa prasie? Już zwąchali, gdzie jesteś przetrzymywany i mają czujki przed każdą bramą.

- Przyda mi się każda dobra dusza, jaką zdołam skaperować - przyznał Cole. - Postaw im wszystkim drinka ode mnie.

- Nie da rady - zaprotestował Molarianin. - Jest ich tam z setka.

- Setka, powiadasz? Przecież toczy się wojna. Nie mają nic lepszego do roboty?

- Wyczuli dobry temat - odparł Forrice. - Ich przestawny bohater okazuje się nagle buntownikiem i rasistą. Kto chce dzisiaj czytać o wojnie? Ten proces jest tematem na pierwszej stronie, a jeśli jeszcze zdołają ci udowodnić, że po drodze zgwałciłeś Sharon Blacksmith czy Rachel Marcos albo jeszcze lepiej, samą Polonoi, będą mieli na tobie okrągły rok używania.

- Tak mi przykro, że ich zawiodę - powiedział Cole - ale zamierzam udać się przed oblicze trybunału w przyszłym tygodniu i po dwóch godzinach wyjść stamtąd jako wolny człowiek.

- A może zamiast drinka powinienem im podrzucić jakiś ciekawy temacik? Może jeszcze przed rozpoczęciem procesu powinni się dowiedzieć, co też takiego ich nowa bohaterka mo-

gła zrobić z Nową Argentyną, gdybyś nie zdołał temu zapobiec?

- A po co? - zapytał Cole. - To i tak nie będzie miało znaczenia dla samej sprawy. Sędziowie wiedzą przecież, przeciw czemu protestowałem.

- Bo ja się od tego lepiej poczuję - wyjaśnił Forrice. - A tak na marginesie, zastanawiałeś się już, co zrobisz, kiedy cię uniewinnią i wrócisz do służby?

- Jeszcze o tym nie myślałem - odparł Cole. - Kto teraz dowodzi „Teddym R.”?

- Nikt - powiedział Molarianin. - Okręt stoi w tutejszym porcie. Nie sądzę, by przywrócili Podok na dawne stanowisko, a i tobie go nie dadzą przez wzgląd na ostatnie wydarzenia. Coś mi się widzi, że wyfasujemy całkiem nowego kapitana.

- A może ty nim zostaniesz?

- Już zapomniałeś, że tuż przed buntem nie chcieli dać mi promocji na pierwszego albo nawet drugiego oficera?

- Na twoim miejscu nie darowałbym tego draniom.

- Jak już powściekam się za to, co robią z tobą i Sharon, zajmę się swoimi krzywdami, masz to jak w banku.

- Nie widziałem jej od chwili pierwszego spotkania z majorem Bakerem - powiedział Cole. - Zrób mi przysługę i odwiedź ją też, zanim opuścisz więzienie. Musi czuć się tutaj cholernie osamotniona.

- Z przyjemnością to zrobię. A jak wrócę na pokład, poproszę innych członków załogi, żeby zaglądali do was przy każdej okazji.

- Czy ktoś z nich pojawi się też na rozprawie?

- Z tego, co wiem, sąd ma wezwać tylko Christine Mboję, Malcolma Briggsa i naszego pilota o niemożliwym do wypowiedzenia nazwisku. Nie było innych naocznych świadków.

- Przecież dysponują holograficznymi nagraniami całego zajścia. Po diabła im naoczni świadkowie?

- Pojęcia nie mam - odparł Forrice. - Jak zwykle zresztą, gdy ktoś mnie pyta o postępowanie wyższych oficerów.

- Tak, za parę dni mamy rozprawę, a po niej wszystko wróci do normy.

Gdyby wiedział, jak bardzo się myli.



## **Rozdział dwudziesty trzeci**

Strażnik wszedł do celi. - Komandorze Cole, proszę za mną.

- Po co? - zapytał Cole. - Przecież proces zaczyna się dopiero za dwa dni.

- Wiem tylko tyle, że kazano mi doprowadzić pana do sali konferencyjnej.

Komandor wstał i podszedł do drzwi.

- W takim razie prowadź - powiedział.

- Wybacz pan, ale nie wolno mi odwracać się plecami do eskortowanego. Pan musi iść jako pierwszy.

- Skoro tak mówisz.

- I muszę coś jeszcze powiedzieć, sir. Cole zatrzymał się i odwrócił do strażnika.

- Co takiego?

- Widziałem zapis pańskiej rozmowy, sir, i wiem, co wydarzyło się na pokładzie „Teodora Roosevelta”. Przysięgałem wykonywać wszystkie rozkazy, ale chcę, żeby pan wiedział, iż ten wykonuję z ogromnym poczuciem zażenowania i wstydu. Powinni pana mianować admirałem, a nie sądzić za bunt.

- Dziękuję za słowa wsparcia, sierżancie... - Cole zawiesił głos.

- Nazywam się Luthor Chadwick, sir. I powiedziałem, co chciałem powiedzieć.

- Doceniam to.

Cole ruszył przed siebie, gdy dotarł do rozwidlenia korytarza zatrzymał się ponownie.

- Tylko raz byłem w sali konferencyjnej, sierżancie. Nie pamiętam, która droga do niej prowadzi.

- Proszę iść w lewo, sir.

- Dziękuję.

Kilka kroków dalej Cole zaczął rozpoznawać otaczające go ściany i wkrótce znalazł się w sali, w której czekali na niego major Baker i pułkownik Blacksmith. Strażnik towarzyszący Sharon stał na zewnątrz, na lewo od drzwi, sierżant Chadwick natychmiast zajął miejsce po drugiej stronie wejścia. Drzwi zamknęły się z łoskotem, gdy komandor przekroczył próg.

- O co chodzi? - zapytał Cole. - Czyżby oskarżenie zostało odrzucone przed rozprawą?

- Proszę usiąść, komandorze - zaproponował Baker. Miał mocno niewyraźny wyraz twarzy.

Cole wybrał krzesło obok Sharon.

- Wiesz, o co w tym wszystkim chodzi? - zapytał szeptem, ale w odpowiedzi jedynie pokręciła głową.

- Komandorze, mamy poważny problem. Sprawa, która wydawała się niezwykle prostym przypadkiem, a której wygraną miał pan praktycznie rzecz biorąc w kieszeni, wyewoluowała w równie prosty przypadek, z tą tylko różnicą, że teraz pewność wygranej znajduje się po stronie oskarżenia.

- Czyli wszystko po staremu - podsumował Cole. - Ale jeśli ktoś dopuścił się fałszerstwa dowodów rzeczowych, każdy z obecnych wtedy na mostku może zeznać, jak naprawdę było.

- Nikt nie fałszował dowodów - powiedział Baker. - W ogóle nie mówimy teraz o dowodach.

- Zatem sprawa naprawdę jest tak poważna, jak pan mówi.

- Chce pan wiedzieć, jak bardzo poważna jest wasza sprawa? - zapytał Baker. - Właśnie otrzymałem ofertę od Miguela Hernandeza. Jeśli dobrowolnie przyzna się pan do winy, gotów jest zamienić karę śmierci na dożywotnie więzienie i oddali wszelkie zarzuty względem pułkownik Blacksmith.

Cole wyraźnie się uspokoił.

- Źle pan interpretuje te fakty, majorze Baker. To my im siedzimy na plecach, nie oni nam. Gdyby mieli nadzieję na uzyskanie skazującego wyroku, nie proponowaliby żadnego układu.

- Będę z panem szczerzy, komandorze. Marynarka nie pozwoli, żeby pan wyszedł z gmachu sądu jako wolny człowiek.

- O czym pan mówi? - zapytał Cole. - Przecież nic się nie zmieniło. Sam pan to przed chwilą przyznał.

Baker pokręcił głową.

- Nie, komandorze. Przed chwilą stwierdziłem jedynie, że nie ma zmian w materiale dowodowym.

- Niech będzie, to pański cyrk - przyznał Cole. - Proszę mi zatem powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- O pańskich przyjaciół w mediach.

- A co oni mają z tym wspólnego?

- Nastąpiły przecieki szczegółów wydarzeń, jakie miały miejsce podczas buntu - wyjaśnił Baker. - Ale pojawiły się w najgorszym momencie.

- Ale, prędzej czy później, raczy pan wreszcie przejść do rzeczy?

- Pamiętaj pan, że kapitan Podok brylowała przez kilka dni, oskarżając pana o ksenofobię? - zapytał prawnik. - Dziennikarze nie podchwycili wtedy tej sprawy, ale teraz uczepili się innego szczegółu. Wszyscy trąbią wszem i wobec, że nie zbuntował się pan, kiedy zabijano trzy miliony Benidotów i przejął dowodzenie dopiero, gdy zostało zagrożone życie pięciu milionów ludzi na Nowej Argentynie.

- Przecież nie wiedziałem, co Podok zamierza zrobić z Benidosem! - wrzasnął Cole. - Próbowałem zresztą odwołać jej rozkaz, ale było już za późno!

- Pan to wie, ja to wiem i każdy, kto widział nagrania też się o tym dowie - odparł Baker. - Ale według mediów ta historia wygląda zupełnie inaczej. Nie uratował pan pięciu milionów istnień na Nowej Argentynie, tylko jako rasista nienawidzący kapitan Podok, która jest Polonoi, siedział pan beczynnie, patrząc, jak giną trzy miliony Benidotów.

- Oni naprawdę rozgłaszają te bzdury jako prawdę? - zdziwiła się Sharon.

- Więcej, sprawili swoimi publikacjami, że już pół Republiki uwierzyło w tę wersję zdarzeń, a druga połowa nie wierzy w nie tylko dlatego, że nie słyszała jeszcze najnowszych wiadomości - odparł Baker. - Jeśli są jeszcze gdzieś ludzie zdolni do linczu, to idę o zakład, że zbierają się właśnie przed tym więzieniem... - przerwał na moment. - Marynarka znajduje się pod zbyt wielką presją, by pozwolić panu wyjść z tego obronną ręką. Teraz nie liczy się już, co mówią dowody i w jakich okolicznościach przyszło panu działać - oni muszą pana uznać winnym. Jeśli tego nie zrobią... wkrótce dowie się pan, co to znaczy, kiedy rząd traci poparcie społeczne w czasie wojny.

- A dlaczego ja nie mogę powiedzieć, co wydarzyło się naprawdę? - zapytał Cole. - To też będzie znakomita historia, o wiele lepsza od tamtej, bo prawdziwa.

- Może to by zadziało, gdyby ujawnił pan prawdę, zanim Podok zaczęła opowiadać swoją wersję wydarzeń i nadała im tak sensacyjny wydźwięk. Ale wszystko, co powie pan w tej chwili, będzie brzmiało wyłącznie jak próba usprawiedliwienia albo krycie własnego tyłka. Jest jeszcze inny aspekt całej sprawy. Gdyby teraz prawda wyszła na jaw, wszyscy oszczekujący pana zostaliby uznani oszczercami i durniami.

- Bo są oszczercami i durniami! - wrzasnęła Sharon.

- Dopóki ich odbiorcy tego nie wiedzą, dziennikarze mogą mieć w dupie, co pani sobie o nich myśli, pułkowniku - uciął Baker.

- Nie wierzę, po prostu w to nie wierzę! - gorączkowała się dalej Sharon. - Znam akta Wilsona Cole'a. Służył z obcymi od początku kariery. Wielokrotnie ryzykował dla nich własnym życiem. Do cholery, dopiero co spotkał pan jego najlepszego przyjaciela - Molarianina!

- Pani marzy się idealna galaktyka - zripostował prawnik - a ja próbuję mierzyć się z rzeczywistością. - Odwrócił się do Cole'a. - Marynarka wie, że postępował pan słusznie, komandorze. Dlatego proponuje panu układ. Pułkownik Blacksmith zostanie uwolniona, a pan nie straci życia.

- A jeśli odmówię? - zapytał Cole.

- Wtedy będą musieli rozpocząć proces i nie wytrzymają presji mediów. Zapadnie wyrok skazujący, zostanie pan rozstrzelany. Po prostu.

- I nikt, nawet admirał floty Garcia albo generał Chiwenka czy sekretarz Republiki, nie wstawi się za mną?

- Nie uczynią tego, jeśli jutro rano chcą nadal piastować funkcje admirała, generała czy też sekretarza Republiki - odparł Baker.

- Zaczynam się poważnie zastanawiać, po jaką cholere ryzykowałem życiem za takich ludzi - powiedział Cole. - Wprawdzie nie potrafię tego udowodnić, ale mam niejasne przeczucie, że dowódca Piątej Floty Federacji Teroni, niejaki Jacovic ma więcej honoru niż cały pierdolony rząd Republiki.

- Ja też mogłabym się o to założyć - dodała Sharon, nie kryjąc wściekłości.

- Czy chce pan chwili czasu na przedyskutowanie z pułkownik Blacksmith oferty złożonej przez oskarżenie? - zapytał

Baker. - Mogę was zostawić samych i wrócić, powiedzmy, za godzinę.

- Nie - powiedział Cole. - Proszę im przekazać że się zgadzam.

- Wilsonie! - wrzasnęła Sharon. - Nie możesz tego zrobić!

- Jeśli się sprzeciwię, stracimy na tym oboje, ja zginę, a ciebie osadzą w więzieniu. Jeśli się zgodzę, pójdę siedzieć, a ty będziesz wolna. Dla mnie to cholernie prosty wybór.

- Walcz z nimi! - nie dawała za wygraną. - Zmusz ich do wpuszczenia prasy na rozprawę. Zmusz te cholerne media, by przekazywały tylko prawdę!

- Nigdy nie uzyskamy zgody na udział mediów w rozprawie sądu wojennego - powiedział Baker. - Gwarantuję wam, że flota nie uczyni niczego, co mogłoby ją postawić w złym świetle.

- Ale to nie fair! - nalegała Blacksmith.

- Daj spokój, Sharon - poprosił Cole. - Przyjmę ich warunki. Uwolnię cię. Wrócisz na okręt.

- A ty zostaniesz pozbawionym czci więźniem, którego jedyną winą jest próba ratowania pięciu milionów istnień! - nie dawała za wygraną. - I gdzie tu sprawiedliwość?

- W tej rozprawie już nie chodzi o sprawiedliwość - wyjaśnił Cole - tylko o przetrwanie. Jeśli ja wygram, sporo ludzi będzie musiało spaść ze świecznika. Jeśli oni zwyciężą, tylko ja dostanę po łbie. A skoro to oni rozdają dzisiaj karty...

- Zamknij się wreszcie! - wrzasnęła. - A co ze zniewagami, które na ciebie padają?

- Wkrótce zobaczysz - odparł złowieszczym tonem. - Godzę się jedynie na układ, dzięki któremu wyjdiesz stąd wolna. I radzę ci, zjeżdżaj w podskokach, zanim ktoś nie uzna, że ta oferta była zbyt hojna. Jeśli postawią nas oboje przed plutonem egzekucyjnym, czterech na pięciu obserwujących to obywateli bę-

dzie szczęśliwych, a piąty smutny tylko dlatego, że nie poddano nas torturom przed egzekucją.

Spojrzała na niego, ale nic nie powiedziała.

- Prawdę powiedziawszy, pułkownik Blacksmith nie może wrócić już w tej chwili na pokład „Teodora Roosevelta” - powiedział Baker. - Przekażę twoją odpowiedź Hernandezowi, każę mu wydrukować wszystkie dokumenty i przyniosę je do podpisania. Dopiero wtedy będzie wolna.

- Nie ma sprawy, majorze. Może pan od razu brać się do roboty.

- Dobrze - odparł Baker, wstając. - Powiem strażnikom, żeby odprowadzili was do cel.

- Mam do pana jeszcze dwie prośby, majorze - powiedział Cole.

- Tak?

- Zapewne po raz ostatni mam okazję widzieć pułkownik Blacksmith, dlatego chciałbym pana prosić o pozostawienie nas na kilka minut samych. Może pan powiedziec strażnikom, że rozważamy przyjęcie ugody? Kiedy pan wróci, wyjaśni im pan, że na wszelki wypadek przyniósł pan wszystkie potrzebne dokumenty, które mam podpisać. Baker skinął głową.

- Oczywiście, mogę to dla pana zrobić, komandorze. I przepraszam, ale nie dano mi możliwości wygrania pańskiej sprawy. A to nie byłoby wcale takie trudne - dodał ze smutkiem. - A ta druga prośba?

- Jestem pewien, że ma pan w aktówce pióro i papier. Może mi pan je zostawić na czas swojej nieobecności? Chciałbym napisać wiadomość do załogi, podziękować jej za wsparcie. Pułkownik Blacksmith dostarczy ją, kiedy opuści więzienie.

- Z przyjemnością - powiedział Baker, podając pióro Cole'owi. Wyjął też kilka kartek i ułożył je równo na stole. Potem

podszedł do drzwi, poczekał, aż membrana rozszerzy się, aby mógł wyjść na korytarz i gdy znalazł się w końcu na zewnątrz, zaczął mówić coś ściszym głosem do obu strażników. Chwilę później drzwi zamknęły się ponownie.

- Jesteś głupcem! - wybuchnęła Sharon.

- Słyszałem już gorsze wyzwiska - odparł Cole, przysuwając do siebie stertę kartek i zaczynając pisać.

- Komu mam to dostarczyć? - zapytała Sharon.

- Powieś tę wiadomość w miejscu, w którym każdy będzie mógł ją przeczytać - odparł. - Najlepiej w mesie.

Spędził kolejne kilka minut na pisaniu, a gdy skończył, podał jej kartkę.

- Przeczytaj i sprawdź, czy jest wystarczająco zrozumiała - poprosił. - Jeśli znajdziesz jakąś niejasność, powiedz, postaram się napisać to prostszymi słowami.

Sharon wzięła wiadomość i zaczęła czytać:

*Dzisiaj zdałem sobie sprawę, że nie mogę ufać Republice bardziej niż Federacji Teroni. Z tego też powodu nie czuję się zobowiązany do dotrzymywania jakichkolwiek umów, jakie z nią zawarłem. Nie mam też zamiaru zaakceptować w milczeniu zesłania mnie na resztę życia do więzienia. Zapewne zajmie mi to dwa albo i trzy lata, ale znajdę w końcu jakiś słaby punkt w zabezpieczeniach i ucieknę. Gdy odzyskam wolność, jak najprędzej opuszczę terytorium Republiki i udam się za Wewnętrzną Granicę. Republika będzie zbyt zajęta toczeniem wojny, by marnować większe siły ludzkie na wytropienie pojedynczego więźnia, zwłaszcza że po tak długim czasie moja historia zostanie skutecznie zakłamana i zapomniana. Jeśli któryś z was usłyszy o mojej ucieczce i zapragnie przyłączyć się do*



*mnie, moim pierwszym przystankiem będzie port na Binderze X. Zatrzymam się w nim przynajmniej na dwadzieścia dni i powitam z radością każdego, kto tam przybędzie.*

- Gdy dotrzesz na pokład „Teddy'ego R.” - powiedział Cole - udaj się prosto do mojej kajuty i zabierz z niej, co tylko zechcesz. Potem powiedz Forrice'owi, że może sobie wziąć wszystko, co zostało, oprócz medali, które trzymam w małej szufladce. Chcę, by wyrzucono je w przestrzeń, gdy „Teddy R.” wystartuje w kolejny rejs. Przepraszam, że cię w to wmieszałem, ale nawet wiedząc do czego to wszystko doprowadzi, postąpiłbym tak samo, bez względu na konsekwencje.

Sharon wysłuchała go, złożyła wiadomość i schowała ją do kieszeni munduru.

- Dopilnuję, żeby załoga to przeczytała.

- Dzięki. Chciałbym, żeby wiedzieli, jak bardzo jestem im wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobili.

- Nie masz żadnej wiadomości dla Podok?

- Mam - powiedział Cole. - Przekaż jej, że nienawidzę tylko jednej Polonoi.

Baker powrócił kilka minut później, położył przed Cole'em wydrukowane warunki układu, poczekał, aż dokumenty zostaną podpisane i schował je do aktówki.

- Pułkownika Blacksmith - powiedział - jest pani wolna i może wracać na swój okręt. Nie otrzyma pani żadnego wpisu do akt, nie zostanie pani zdegradowana, nawet zawieszenie żołdu na czas aresztowania zostało cofnięte.

Wstała, zasalutowała i wyszła, nawet nie spoglądając na Cole'a.

- Czy już zdecydowano, gdzie spędzę resztę życia? - zapytał komandor, gdy został sam na sam z majorem.

- Jeszcze nie - odparł Baker. - Ale jestem pewien, że będzie to naprawdę oddalone miejsce. Nie sądzę, by admiralicja chciała, aby rozwścieczony tłum miejscowej ludności rozszarpał na strzępy zdyskredytowanego bohatera wojennego.

- To miłe z ich strony - oświadczył oschle Cole.

- Myślę, że zobaczymy się jeszcze raz, zanim zostanie pan przeniesiony - powiedział Baker. - Muszę panu powiedzieć, że jest mi cholernie przykro, iż sprawy przybrały taki obrót.

- Mnie jeszcze bardziej - odparł Cole.

- Straż! - zawołał major. - Jesteśmy gotowi do wyjścia.

Sierżant Chadwick pojawił się w drzwiach.

- Jest pan gotowy, sir? - zapytał.

- Przecież to właśnie przed chwilą powiedziałem - oświadczył zaskoczony prawnik.

- Nie do pana mówiłem, sir - odparł sierżant - tylko do komandora Cole'a, który znajduje się teraz pod moim nadzorem.

- Komandor złożył rezygnację kilka minut temu, sierżancie - powiedział Baker. - Od tej chwili jest tylko panem Cole.

- Ale nie dla mnie, sir - powiedział Chadwick i odwrócił się w stronę Cole'a. - Czy jest pan gotowy na powrót do swojej kwatery, komandorze?

- Ma pan na myśli moją celę?

- Tak, komandorze.

- Dobrze, możemy już iść. Czuję się w niej nieco lepiej niż w tej sali.

Przez całą drogę Cole wypatrywał słabych punktów w zabezpieczeniach budynku. Nie spodziewał się znaleźć żadnych wylomów, a na dodatek był pewien, że zostanie przeniesiony już za kilka dni, ale uznał, że lepiej zacząć się przyzwyczajać do

nowych warunków od zaraz i wszędzie szukać możliwych dróg ucieczki.

Gdy dotarli do celi, Chadwick dezaktywował pole siłowe.

- Czuję się z tym naprawdę paskudnie, sir - oświadczył sierżant.

- Tak, wiem - odparł komandor. - Wszyscy czują się z tym okropnie, ale nikt nic nie robi, żeby moja sytuacja uległa zmianie.

- To nie fair, komandorze. Jestem tylko strażnikiem wydziału bezpieczeństwa. Co mogę dla pana zrobić?

- Oprócz wypuszczenia mnie na wolność, raczej niewiele - przyznał Cole i wszedł do celi. - Wciąż wydaje się taka mała. Ale coś mi się widzi, że muszę przywyknąć do stałej obecności klaustrofobii w moim życiu.

Pole siłowe zamruczało łagodnie i Cole położył się na wąskiej, niewygodnej koi, pogrążając się w myślach o tym, że marynarka, której poświęcił całe dorosłe życie, odwdzieczyła mu się czymś takim.

I cela wydała się jeszcze ciasniejsza niż przed chwilą.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Cole poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Starał się ją ignorować, ale nie ustępowała, potrząsając nim ostrożnie.

- Proszę się obudzić, sir - usłyszał ściszony męski głos.

Cole otworzył jedno oko.

- Która godzina?

- Mamy sam środek nocy, sir - powiedział Chadwick. - Proszę wstać, ale naprawdę po cichu.

Cole wstał.

- Chyba spodziewacie się prawdziwego linczu, skoro zdecydowaliście się na przeniesienie mnie w samym środku nocy.

- Proszę iść za mną, ale najciszej jak pan tylko potrafi.

Chadwick wyłączył pole siłowe, a Cole wyszedł za nim na pusty korytarz, minął pozostałe cele, z których połowa świeciła pustkami. Gdy dotarli do rozwidlenia, sierżant zatrzymał go ruchem ręki. Potem rozejrzał się podejrzliwie, a gdy uznał, że korytarz po prawej jest pusty, poprowadził nim Cole'a. Chwilę później stanęli w przedsionku ogromnego, dobrze oświetlonego pomieszczenia, tam sierżant Chadwick wyszeptał:

- Proszę poczekać tutaj, aż usłyszysz pan, że z kimś rozmawiam, wtedy niech pan jak najszybciej i najciszej biegnie do wyjścia.

*Jestem w bloku więziennym bazy wojskowej, pomyślał skonfundowany Cole, czego mógłbym się tutaj obawiać? Ale zdecydował, że lepiej wykonywać posłusznie wszystkie polecenia sierżanta.*

Chadwick wszedł w oświetloną przestrzeń i został powitany chórem przyjacielskich głosów.

- Cześć, Luthor - powiedział ktoś. - Coś dzisiaj do późna zostałeś.

- Podlizujesz się porucznikowi czy odrabiasz zaspianie na poprzednią zmianę? - zapytał ktoś inny.

- Trochę tego, trochę tamtego - odparł sierżant i kontynuował rozmowę jeszcze minutę po tym, jak Cole cichcem wyszedł z korytarza. Komandor rzucił okiem do środka i zobaczył, że sierżant, stojąc w najdalszym końcu sali, prezentuje pozostałym wartownikom jakieś ruchy sportowe, skupiając tym samym na sobie całą ich uwagę. Nikt nie pilnował wyjścia.

Cole przebył około piętnastu stóp dzielących go od drzwi, potem zatrzymał się za nimi i poczekał. Chadwick pojawił się niespełna pół minuty później, przeszedł jednak obok Cole'a bez słowa i tylko gestem zachęcił komandora, by udał się za nim. Wkrótce dotarli do kolejnych drzwi i wydostali się nimi na zewnątrz. Czekał tam na nich niewielki autolot.

- Proszę wsiadać, komandorze - powiedział Chadwick.

Cole wszedł do pojazdu, a sierżant dołączył do niego chwilę później.

- Gdzie lecimy? - zapytał komandor.

- Niedaleko.

- Poza teren bazy?

- Może.

Cole nie próbował wyciągać dalszych informacji z małomównego sierżanta, oparł się wygodniej. Po kilku minutach lotu dotarli do wojskowego kosmodromu, gdzie Chadwick po zaszalutowaniu wartownikom okazał jakieś dyskietki i zostali wpuszczeni.

Autolot przemknął przed szeregiem okrętów wojennych i zatrzymał się obok wahadłowca noszącego nazwę „Kermit”.

- Tutaj pan wysiada - poinformował komandora Chadwick.

Obok wjazdu stał Pampas.

- Witamy ponownie - powiedział i zasalutował.

- Co tu się wyrabia, u jasnej cholery, sierżancie? - zapytał Cole. - Wydawało mi się, że ratuje mnie pan przed gniewem tłumu?

- Po części miał pan rację - odparł Chadwick. - Ratowaliśmy pana.

- Proszę wsiadać do wahadłowca - ponaglił go Pampas. - Nie wiem, ile czasu jeszcze zostało.

- Czy pułkownik Blacksmith poinformowała pana o naszej umowie? - zapytał Chadwick, który także wysiadł z wnętrza autolotu.

- Tak, powiadomiła mnie - odparł Pampas. - Zapraszam pana razem z komandorem na pokład naszego promu.

Kiedy tylko znaleźli się we wnętrzu, Dziki Byk rozkazał maszynie rozpocząć procedury startowe. Jakies pół minuty później odebrali przekaz głosowy nakazujący powrót na powierzchnię planety.

- Niewiele czasu potrzebowali, żeby się zorientować - zauważył Pampas.

W tym samym momencie systemy obronne maszyny zostały postawione w stan gotowości bojowej.

- Albo oddali strzał ostrzegawczy prosto w naszą rufę, albo próbują nas zmieść z nieba - oznajmił Pampas.

- Może powinniśmy lecieć nieco szybciej - zasugerował Chadwick.

- Przyspieszymy, jak tylko wydostaniemy się poza stratosferę - odparł Pampas. - Gdybyśmy spróbowali przejść w nadświetlną wcześniej, spalilibyśmy się od tarcia. - Spojrzał na wy-

światlacz komputera. - Kolejny strzał. Coś mi się widzi, że wkurzyliśmy ich do imentu.

- Ile czasu zostało do wyjścia poza stratosferę? - zapytał Cole.

- Jakies dziesięć sekund, sir - odparł Pampas.

To było najdłuższe dziesięć sekund w życiu Cole'a, ale w końcu wydostali się w próżnię i mogli osiągnąć prędkość światła.

- Czy teraz któryś z was powie mi wreszcie, co jest grane? - poprosił, gdy niebezpieczeństwo minęło.

- Myślałem, że to oczywiste, sir - odparł Pampas. Zwolnił do prędkości podświetlonej i wskazał ekran, na którym widać było nieruchomy kadłub wiszącego w przestrzeni kosmicznej „Teddy'ego R.”. - Witamy w domu, sir. Okręt czeka tylko na pańskie przybycie.

- Zdajecie sobie sprawę, ile artykułów właśnie złamaliście? - zapytał Cole.

- Każdy przepis, dzięki któremu można było skazać pana na dożywocie i jednocześnie wypuścić bez żadnych konsekwencji kogoś takiego jak Podok, zasługuje na bezwzględne łamanie - powiedział Chadwick.

- Dlaczego pan to zrobił? - zapytał go Cole. - Przecież nie należy pan nawet do załogi.

- Myli się pan, sir - wtrącił Pampas. - Oto nasz nowy asystent szefa bezpieczeństwa.

- Jeśli taka była pańska cena, powinien pan raczej zażądać pieniędzy - stwierdził Cole, gdy wahadłowiec cumował przy kadłubie okrętu.

Przy władze czekał Forrice.

- Cieszę się, że jest pan znowu z nami, kapitanie! - powiedział, kładąc akcent na ostatnie słowo. - W ciągu ostatnich kilku dni nie wydarzyło się u nas nic ciekawego.

- Ale to się może zmienić lada chwila - odparł Cole. - Czy ten pilot o dziwnym imieniu nadal znajduje się na pokładzie?

- Tak.

- Zatem każ mu zabrać nas stąd, i to już! - rozkazał Cole.

- Ale gdzie? - zapytał Molarianin.

- Tam, gdzie nie ma Republiki.

- W moich uszach zabrzmiało to jak Wewnętrzna Granica.

- Niech będzie.

Forrice przekazał rozkaz na mostek.

- Mam nadzieję, że wszyscy uczestnicy naszego małego spisku mają świadomość, iż w momencie gdy tam się znajdziemy, nie będzie już drogi powrotu - powiedział Cole.

- A kto by chciał tu wracać? - usłyszał znajomy głos. - Jak zapewne pamiętasz, znaleźliśmy się na pokładzie „Teddy'ego R.”, ponieważ jesteśmy malkontentami i rozrabiakami.

Odwrócił się i zobaczył Sharon Blacksmith.

- Podejrzewałem, że to mógł być twój pomysł - przyznał.

- Głosowaliśmy.

- I jaki był wynik?

- Jednogłośnie - odparła i nagle uśmiech zagościł na jej twarzy. - Choć osiągnęliśmy jednomyślność dopiero po wysadzeniu sprzeciwiających się członków załogi na Willowby IV.

- Ilu z was zostało na pokładzie?

- Wliczając w to oficerów, trzydzieści dwie osoby. Ale Bedalianin zszedł z pokładu, musimy więc zamustrować gdzieś nowego lekarza.

- A co z porucznik Mboją?

- Jest z nami. - A Śliski?



- Też został. I zanim zapytasz, dodam, że chorąży Marcos także jest na pokładzie i wciąż nie może przestać wdychać, gdy tylko słyszy twoje nazwisko. Dam ci pełną listę nazwisk, jak tylko zyskam pewność, że przeżyjemy na tyle długo, byś mógł ją przeczytać.

- Mostek! - zawołał Cole, podnosząc głos. - Mówi komandor... - przerwał w tym miejscu. - Mówi wasz kapitan. Czy zauważono jakieś ślady pościgu?

- Na razie nie, sir - odparł Briggs.

- Proszę mnie powiadomić, jeśli sytuacja ulegnie zmianie.

- Tak jest, sir.

Cole odwrócił się ponownie do Sharon.

- Nadal nie mogę uwierzyć, że poświęciliście kariery wyłącznie dla mnie.

- Z naszego punktu widzenia to marynarka nas porzuciła - odparła. - Może nie mamy pełnej obsady, ale każdy z nas oddałby wszystko, co łączyło go z dawnym życiem, aby służyć pod tobą. I myślę, że to coś mówi o naszej załodze - spoglądała na niego, a jej oczy pojaśniały. - Ale chyba najwięcej mówi o kapitanie.

## Rozdział dwudziesty piąty

Minęli Bindera X, Walpurgię III, potem Keepsake i Peponi oraz Nową Rodezję, pędząc coraz dalej w głąb Wewnętrznej Granicy. W końcu Cole zdecydował, że zatrzymają się w pobliżu niezamieszkaney, wodnej planety w systemie Necaro II.

- Od sześciu dni nie odnotowaliśmy śladów pościgu - powiedział do Forrice'a. - Chyba jesteśmy już bezpieczni.

- Ale i niepotrzebni.

- Niepotrzebni?

- Okręt wojenny, który nie ma z kim walczyć - wyjaśnił Cztery Oczy. - Dla mnie to jak bycie nikomu niepotrzebnym.

- Zastanawiałem się nad tym - odparł Cole - i powiem ci jedno, jeszcze znajdę dla nas godny cel.

- O czym raczysz powiadomić mnie w stosownym czasie - dodał z ironią Molarianin.

- Sam się tego domyślisz - uspokoił go Cole. - A teraz, skoro nasz okręt nie należy już do marynarki, sądzę, że najrozsądniej będzie pozbyć się wszystkich godeł Republiki z zewnętrznego pancerza.

- Nie możemy wylądować na tym wodnym świecie, aby przeprowadzić tę operację - powiedział Forrice. - Ale poszukam najbliższej planety z atmosferą tlenową.

- To nie będzie konieczne - przerwał Cole. - Mamy przecież członka załogi, który może przebywać i pracować w zimnej przestrzeni kosmicznej bez tlenu.

Forrice spojrział na niego podejrzliwie.

- Czyżbyś tym sposobem sugerował, że zaprojektowałeś już nowe oznaczenia dla naszego okrętu?

- Cóż, dla ciebie na pewno będą nowe - odparł Cole. - Powiedz Śliskiemu, żeby zastąpił wszystkie godła Republiki, jakie znajdzie na zewnętrznym pancierze skrzyżowanymi ludzkimi pieszczelami i czaszkami.

- I co niby te skrzyżowane ludzkie pieszczele i czaszki mają oznaczać?

- Jak widzę, masz spore luki w wiedzy ogólnej - powiedział Cole. - To jedyne uznane oznaczenie statków pirackich.

Forrice wybałuszył na niego ślepiec.

- Istnieje całkiem spore prawdopodobieństwo, że zostaniemy w tej okolicy do końca życia - wyjaśnił mu Cole. - A musimy z czegoś żyć. Chciałeś celu, to go masz.

Nagle mostek wypełnił się głośnymi gwizdami, obcym odpowiednikiem śmiechu.

- O służbie z tobą mogę wiele powiedzieć, bywało już dobrze i źle, ale nigdy nudno!

- Jak zawsze, kiedy przychodzi żyć w ciekawych czasach - powiedział nowy kapitan „Teddy'ego R.”.

**Aneky**

## **Aneks pierwszy**

### **JAK POWSTAŁ WSZECHŚWIAT PIERWORODNYCH**

Zaczął się w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Oglądałem w towarzystwie Carol w miejscowym kinie jakiegoś koszmarnego gniota i gdzieś tak w połowie wymamrotałem: „Dlaczego marnuję czas na siedzenie tutaj, skoro mógłbym robić coś naprawdę interesującego, na przykład opisać historię rodzaju ludzkiego od jego narodzin aż po wyginięcie?”. Po chwili Carol szepnęła w odpowiedzi: „Właśnie, dlaczego tego nie zrobisz?”. Zebraliśmy się natychmiast, wyszliśmy z kina i jeszcze tej nocy rozpisałem plan nowej powieści noszącej tytuł: *„Birthright: The Book of Man”*, w której zamierzałem zarysować losy ludzkości od momentu, w którym człowiek zdołał przekroczyć prędkość światła, aż po jego wyginięcie osiemnaście tysięcy lat później.

Miałem przed sobą masę pisania. Podzieliłem odległą przyszłość na pięć epok politycznych - Republikę, Demokrację, Oligarchię, Monarchię oraz Anarchię i osadziłem w nich akcję dwudziestu sześciu opowiadań (nazwanych potem w „Analogu”, nie bez racji zresztą, „demonstracyjnymi”), w których zająłem się wszystkimi najważniejszymi aspektami ludzkiej rasy, zarówno dobrymi, jak i złymi jej stronami. Nie było w nich jednego bohatera - głównie za sprawą tego, że akcja każdego rozgrywała się w odstępach co najmniej kilkuset lat (o ile nie uznacie za niego Człowieka przez duże C, z czym akurat moglibyście polemizować - ja przynajmniej tak bym zrobił - bowiem moim

zamierzeniem było przedstawienie studium zachowań jednostki).

Sprzedam ten pomysł wydawnictwu Signet razem z powieścią „*The Soul Eater*”. Pomysł „wszechświata Pierworodnych” tak spodobał się mojemu ówczesnemu wydawcy, Sheili Gilbert, że natychmiast poprosiła, abym wprowadził do książki parę zmian i umieścił jej akcję właśnie w tej przyszłości. Zgodziłem się, a same zmiany nie zabrały mi więcej niż jeden dzień. Podobną prośbę Sheila wyraziła także, ale niejako awansem, do powstających właśnie tetralogii „*Tales of the Galactic Midway*” i „*Tales of the Velvet Comet*” oraz powieści „*Valpurgis III*”. Z perspektywy czasu zauważam, że tylko dwie z trzynastu powieści, jakie napisałem dla Signetu nie dotyczyły tych realiów.

Kiedy przeniósłem się do wydawnictwa Tor Books, mój nowy wydawca, Beth Meacham, także zapalała chęcią kontynuacji uniwersum Pierworodnych i większość książek złożonych u niej - nie wszystkie, ale naprawdę zdecydowana większość - mieściła się w tych ramach: „*Santiago*”, „*Ivory*”, „*Paradise*”, „*Purgatory*”, „*Inferno*”, „*A Miracle of Rare Design*”, „*A Hunger in the Soul*”, „*The Outpost*” i „*The Return of Santiago*”.

Gdy Ace wyraził chęć wydania „*Soothsayer*”, „*Oracle*” i „*Prophet*”, prowadząca go Ginjer Buchanan także założyła, że dostarczę jej teksty umieszczone w rzeczywistości uniwersum Pierworodnych - i tak też się stało, gdyż w tym okresie wiedziałem już znacznie więcej o osiemnastu tysiącach lat historii człowieka w kosmosie i dwóch milionach światów, które odwiedził. Dlatego pisało mi się o tych wydarzeniach o wiele szybciej i prościej.

Prawdę powiedziawszy, zacząłem także umieszczać w tym uniwersum akcję moich opowiadań. Dwa z nich, te, które zdobyły nagrody Hugo („*Seven Views of Olduvai Gorge*” i „*The 43*

*Antarean Dynasties*”), także dotyczyły świata Pierworodnych, podobnie jak z piętnaście innych tekstów opublikowanych w tamtych latach.

Także Bantam, do którego przenieśliem się po jakimś czasie, gdy doszło do rozmów z Janną Silverstein (choć odeszła z firmy do innego wydawnictwa, zanim zamówione przez nią książki się ukazały) liczył na to, że będę kontynuował i trylogia „*Widowmaker*” zostanie wpleciona w mój wielki projekt. Potraktowałem więc słowa Janny jak klasyczne zamówienie i je zrealizowałem.

Ostatnio wręczyłem Meishy Merlin kolejną książkę - nie zgadniecie - także osadzoną w tych realiach.

A gdy przyszło mi zasugerować powstanie serii klasycznego science fiction w wydawnictwie Pyr, nawet przez myśl mi nie przeszło, że ich akcja nie będzie się rozgrywała we wszechświecie Pierworodnych.

W ciągu tych niemal czterdziestu lat napisałem tak wiele tekstów dotyczących tej wersji przyszłości, że nie pamiętam już dokładnie, kto i kiedy nakłonił mnie do rozwinięcia mojego pomysłu. A szkoda, bo chciałbym mu gorąco podziękować.

## **Aneks drugi**

### **HISTORIA WSZECHŚWIATA PIERWORODNYCH**

Najgęściej zaludnionym sektorem wszechświata Pierworodnych (a mówię tutaj zarówno o ilości systemów, jak i ich mieszkańców) jest twór polityczny ewoluujący od Republiki przez Demokrację i Oligarchię do Monarchii. W jego granicach znajdują się miliony zamieszkałych i nadających się do zamieszkania planet. Ziemia okazała się zbyt mała i za bardzo oddalona od galaktycznych szlaków, by pozostać stolicą Człowieka i dlatego właśnie, kilka tysięcy lat po rozpoczęciu ekspansji, centrum geopolityczne zostało przeniesione na Deluros VIII, ogromną planetę o powierzchni niemal dziesięciokrotnie większej od tej, którą dysponowaliśmy na Ziemi, ale o niemal identycznej grawitacji i składzie atmosfery. W środkowym okresie zwanym Demokracją, powiedzmy, że za około cztery tysiące lat, wszystkie lądy tej planety pokryje jedno ogromne miasto. Natomiast w czasach Oligarchii, nawet taki gigant jak Deluros VIII stanie się zbyt ciasny dla miliardów biurokratów zarządzających galaktycznym imperium i aby temu zaradzić dojdzie do rozbicia innego giganta, Delurosa VI na czterdzieści osiem ogromnych planetoid, aby na każdej z nich umieścić jeden z departamentów rządowych (z czego cztery przypadną wojsku).

Ziemia tymczasem stanie się przyjaznym zadupiem, gdzieś na końcu spiralnego ramienia galaktyki. Nie sądzę, bym umieścił na niej akcję zbyt wielu utworów.



Przestrzenie na skraju Galaktyki zyskały miano Obrzeży, na tym obszarze niewiele jest zamieszkałych planet, a jeśli już, to posiadają one nielicznych mieszkańców. Tereny te nie mają żadnej wartości militarnej, zatem ich patrolowanie można powierzyć pojedynczym, niewielkim jednostkom, takim właśnie jak „Teodor Roosevelt”, które chronią czasem nawet setki rozsianych po Obrzeżach światów. W późniejszych erach terytoria te staną się własnością wojowniczych władców feudalnych, ale ich szaleństwa, ze względu na odległość i małą wagę Obrzeży, ujdą uwadze rządzących centrum Galaktyki albo zostaną wręcz zignorowane.

Mamy tu jeszcze Wewnętrzną i Zewnętrzną Granicę. Zewnętrzną Granicą nazywa się terytoria rozciągające się pomiędzy skrajnymi sektorami Republiki, Demokracji, Oligarchii i Monarchii a Obrzeżami, natomiast Wewnętrzna Granica to o wiele mniejszy (ale wciąż olbrzymi) obszar w samym centrum Galaktyki, rozciągający się pomiędzy masywną czarną dziurą leżącą w jej środku, a granicami Republiki etc.

Na terytoriach Wewnętrznej Granicy rozgrywa się akcja większości tekstów, jakie napisałem o wszechświecie Pierworodnych. Lata temu znakomity pisarz R. A. Lafferty zadał znaczące pytanie: „Czy w przyszłości, gdy nad wszystkim panować będzie duch nauki, znajdzie się miejsce dla mitologii? Czy wielkie czyny będą opisywane po epicku czy tylko liniami kodu komputerowego?”. Stwierdziłem, że gotów jestem poświęcić sporą część mojego życia zawodowego, by stworzyć taką mitologię przyszłości, doszedłem też do wniosku, że takie opowieści, w których mamy wybitne postacie i barwne tło, wymagają umiejscowienia na terenach słabiej zamieszkałych, gdzie trudno o rzetelnego kronikarza, który spisałby dokładnie wszystkie fakty, za to łatwo o rządzących, którzy zrobią wszystko, aby praw-

da o tych wydarzeniach nie wyszła na jaw. I tak dość arbitralnie wybrałem Wewnętrzną Granicę na miejsce narodzin mojej mitologii i zaludniłem ją ludźmi o charakterystycznych nazwiskach, takich jak Catastrophe Baker, Widowmaker, Cyborg de Milo czy wiecznie młody Forever Kid. Dzięki takim zabiegom mogę snuć opowieści o wielkich bohaterach (a czasami i antybohaterach), ale także i bardziej realistyczne historie rozgrywające się o tysiące lat świetlnych od Granic, w sercu Republiki czy Demokracji albo ich kolejnych wcieleń.

Przez dziesiątki lat wypełniałem Galaktykę treścią. Mam w niej dobrze znane gromady gwiazdne, jak Albion, Quinellus czy też im podobne oraz kilka nowych, które pojawiają się dopiero na kartach tej książki, jak na przykład Feniks czy Kasjusz. Są pojedyncze planety, niektóre nawet okazują się na tyle ważne dla opowieści, że trafiają do tytułów książek (Walpurgis III), niektóre przewijają się w kilku okresach historycznych i poświęconym im tekstach (Deluros VIII, Antares III, Binder X, Keepsake, Spica II) a wiele innych, setki (a teraz już chyba tysiące nawet) planet (a także ras, co sobie właśnie uświadomiłem) wspomniane jest jeden jedyny raz.

Mam też w tym świecie jeśli nie krainy zła, to przynajmniej nielojalną opozycję. Niektóre z tych tworów, na przykład imperium Sett, rozpoczną wojnę z ludzkością i na tym koniec. Inne, jak Bliźnięta Canphor (czyli Canphor VI i VII) zostaną podzielone i częściowo będą służyć po naszej stronie przez niemal dziesięć tysięcy lat. Ale już taki Lodin XI nie będzie tak stabilny, a jego poparcie dla ludzkości zależeć będzie od aktualnej sytuacji politycznej.

Wciąż jeszcze konstruuje mój wszechświat, rozbudowuję go politycznie i geograficznie od ponad trzydziestu pięciu lat i z każdym opowiadaniem albo powieścią staje się on coraz peł-

## STARSHIP 1

---

niejszy, przynajmniej dla mnie. Dajcie mi jeszcze trzy dekady, a będę święcie wierzył w każde słowo, które o nim napisałem.

**Aneki trzeci**

**CHRONOLOGIA WŚZECHŚWIATA PIERWOROD-  
NYCH**

<b>Rok</b>	<b>Era</b>	<b>Epoka</b>	<b>Tytuł</b>
1885	A.D.		„The Hunter” (Ivory)
1898	A.D.		„Himself” (Ivory)
1982	A.D.		<i>Sideshow</i>
1983	A.D.		<i>The Three-Legged Hootch Dancer</i>
1985	A.D.		<i>The Wild Alien Tamer</i>
1987	A.D.		<i>The Best Rootin' Tootin' Shootin' Gunslinger in the Whole Damned Galaxy</i>
2057	A.D.		„The Politician” (Ivory)
2988	A.D. = 1 G.E.		
16	G.E.	Republika	„The Curator” (Ivory)
264	G.E.	Republika	„The Pioneers” (Birthright)
332	G.E.	Republika	„The Cartographers” (Birthright)
346	G.E.	Republika	<i>Walpurgis III</i>
367	G.E.	Republika	<i>Eros Ascending</i>
396	G.E.	Republika	„The Miners” (Birthright)
401	G.E.	Republika	<i>Eros at Zenith</i>
442	G.E.	Republika	<i>Eros Descending</i>
465	G.E.	Republika	<i>Eros at Nadir</i>
522	G.E.	Republika	„Ali the Things You Are”

---

## STARSHIP 1

---

588	G.E.	Republika	„The Psychologists” (Birthright)
616	G.E.	Republika	<i>A Miracle of Rare Design</i>
882	G.E.	Republika	„The Potentate” (Ivory)
962	G.E.	Republika	„The Merchants” (Birthright)
1150	G.E.	Republika	„Cobbling Together a Solution”
1151	G.E.	Republika	„Nowhere in Particular”
1152	G.E.	Republika	„The God Biz” 1394 G.E. Republika „Keepsakes”
1701	G.E.	Republika	„The Artist” (Ivory)
1813	G.E.	Republika	„Dawn” (Paradise)
1826	G.E.	Republika	<i>Purgatory</i>
1859	G.E.	Republika	„Noon” (Paradise)
1888	G.E.	Republika	„Midafternoon” (Paradise)
1902	G.E.	Republika	„Dusk” (Paradise)
1921	G.E.	Republika	<i>Inferno</i>
1966	G.E.	Republika	<i>Starship: Mutiny</i>
1967	G.E.	Republika	<i>Starship: Pirate</i>
1968	G.E.	Republika	<i>Starship: Mercenary</i>
1969	G.E.	Republika	<i>Starship: Rebel</i>
1970	G.E.	Republika	<i>Starship: Flagship</i>
2122	G.E.	Demokracja	„The 43 Antarean Dynasties”
2154	G.E.	Demokracja	„The Diplomats” (Birthright)
2275	G.E.	Demokracja	„The Olympians” (Birthright)
2469	G.E.	Demokracja	„The Barristers” (Birthright)
2885	G.E.	Demokracja	„Robots Don't Cry”
2911	G.E.	Demokracja	„The Medics” (Birthright)
3004	G.E.	Demokracja	„The Politicians” (Birthright)

---

## STARSHIP 1

---

3042	G.E.	Demokracja	„The Gambler” (Ivory)
3286	G.E.	Demokracja	<i>Santiago</i>
3322	G.E.	Demokracja	<i>A Hunger in the Soul</i>
3324	G.E.	Demokracja	<i>The Soul Eater</i>
3324	G.E.	Demokracja	„Nicobar Lane: The Soul Eater's Story”
3407	G.E.	Demokracja	<i>The Return of Santiago</i>
3427	G.E.	Demokracja	<i>Soothsayer</i>
3441	G.E.	Demokracja	<i>Oracle</i>
3447	G.E.	Demokracja	<i>Prophet</i>
3502	G.E.	Demokracja	„Guardian Angel”
3719	G.E.	Demokracja	„Hunting the Snark”
4375	G.E.	Demokracja	„The Graverobber” (Ivory)
4822	G.E.	Oligarchia	„The Administrators” (Birthright)
4839	G.E.	Oligarchia	<i>The Dark Lady</i>
5101	G.E.	Oligarchia	<i>The Widowmaker</i>
5103	G.E.	Oligarchia	<i>The Widowmaker Reborn</i>
5106	G.E.	Oligarchia	<i>The Widowmaker Unleashed</i>
5108	G.E.	Oligarchia	<i>A Gathering of Widowmakers</i>
5461	G.E.	Oligarchia	„The Media” (Birthright)
5492	G.E.	Oligarchia	„The Artists” (Birthright)
5521	G.E.	Oligarchia	„The Warlord” (Ivory)
5655	G.E.	Oligarchia	„The Biochemists” (Birthright)
5912	G.E.	Oligarchia	„The Warlords” (Birthright)
5993	G.E.	Oligarchia	„The Conspirators” (Birthright)
6304	G.E.	Monarchia	<i>Ivory</i>
6321	G.E.	Monarchia	„The Rulers” (Birthright)
6400	G.E.	Monarchia	„The Symbiotics” (Birthright)
6521	G.E.	Monarchia	„Catastrophe Baker and the Cold Equations”

## STARSHIP 1

---

6523	G.E.	Monarchia	<i>The Outpost</i>
6599	G.E.	Monarchia	„The Philosophers” (Birthright)
6746	G.E.	Monarchia	„The Architects” (Birthright)
6962	G.E.	Monarchia	„The Collectors” (Birthright)
7019	G.E.	Monarchia	„The Rebels” (Birthright)
16201	G.E.	Anarchia	„The Archaeologists” (Birthright)
16673	G.E.	Anarchia	„The Priests” (Birthright)
16888	G.E.	Anarchia	„The Pacifists” (Birthright)
17001	G.E.	Anarchia	„The Destroyers” (Birthright)
21703	G.E.		„Seven Views of Olduvai Gorge”

## **Aneks czwarty**

### **WIZYTA NA „TEODORZE ROOSEVELCIE”**

Mostek stanowi centrum systemu nerwowego okrętu wojennego, ale jego wyposażenie zostało zautomatyzowane do takiego stopnia, że dzięki dostępowi z niemal każdego miejsca na pokładzie, oficerowie dowodzący jednostkami przestrzennymi nie mają już potrzeby stałego i osobistego przebywania w jego obrębie. Wszystkie wiadomości docierają najpierw na mostek, dopiero z niego są transmitowane do każdego miejsca na pokładzie okrętu.

Komunikacja wewnętrzna opiera się niemal wyłącznie na przekazie audio, ale czasami wykorzystywana jest także technologia holograficzna, wtedy to głosowi rozmówcy towarzyszy jego trójwymiarowe wyobrażenie.

W mesie głównej posiłek może zjeść jednocześnie do dwudziestu członków załogi. W sytuacji gdy na okręcie znajduje się mniej niż sześćdziesięciu załogantów pracujących na trzy zmiany, jest to wystarczająca liczba miejsc. Kambuz może przygotowywać posiłki nie tylko dla ludzi, ale także dla przedstawicieli wszystkich innych ras.

Przedział bojowy jest uzbrojony w dziesięć dział pulsacyjnych (wystrzeliwujących potężne impulsy energii) i kilka laserów. Członkowie załogi obsługujący ten przedział są odpowiedzialni za utrzymywanie całej broni w nienagannym stanie. Procesem strzelania od początku do końca zawiaduje komputer.



Jest tu także izba chorych, o wiele mniejsza, niż życzyliby sobie tego marynarze, na dodatek podzielona w taki sposób, by korzystać z niej mogli zarówno ludzie, jak i obce rasy.

Na pokładzie znajdują się także dwa niewielkie laboratoria naukowe. Ponieważ „Teodor Roosevelt” jest okrętem wojennym, a nie jednostką badawczą, niewiele się w nich dzieje, z wyjątkiem tych momentów, gdy trzeba przeprowadzić badania związane z działaniami wroga.

Kolejne pomieszczenie to mesa oficerska. Jest to niewielka sala, w której najczęściej można znaleźć oficerów dowodzących wachtą, kiedy nic ciekawego się nie dzieje.

Przestrzeń wewnątrz okrętu jest niezwykle cenna. Nie ma tu prawdziwych centrów wypoczynkowych, sauny, sal gimnastycznych ani pokoi rozrywki. Nie ma nawet biblioteki (cóż, prawdę powiedziawszy, biblioteka jednak istnieje, ale cała jej zawartość mieści się w pamięci masowej komputera, wyłącznie w formie elektronicznej. Każdy członek załogi ma do niej dostęp poprzez terminal własnego komputera). Jedynym wyjątkiem od tej reguły jest niewielka siłownia.

Kwatery załogi zajmują trzy poziomy, dwa przystosowano dla ludzi, ostatni, najniższy dla obcych ras. Wszystkie kajuty, nie wyłączając tych dla najstarszych rangą oficerów, są naprawdę niewielkie.

Na okręcie nie ma schodów, za to załoga otrzymała do dyspozycji pięć wind pneumatycznych rozmieszczonych wzdłuż osi okrętu. Szyb ulokowany najbliżej izby chorych ma szerszy przekrój, aby pomieścić pacjentów przewożonych na noszach ślizgowych albo tobograwach.

Na pokładzie „Teddy'ego R.” nie ma też maszynowni, to znaczy pomieszczenia z silnikami w tradycyjnym tego słowa rozumieniu. Reaktor umieszczono w zamkniętej komorze, wyło-

żonej grubą warstwą ołowiu, lecz nikt postronny nie ma do niej wstępu. Na pokładzie okrętu służy starszy mechanik, ale jedynym jego zajęciem są niezwykle rzadkie ingerencje, gdy ten wysoce wydajny napęd odmawia posłuszeństwa. Silniki pracują na paliwie nuklearnym, więc dłuższe przebywanie w ich pobliżu zagraża zdrowiu, a nawet życiu, dlatego dostęp do nich mają wyłącznie starszy mechanik i najwyżsi rangą oficerowie.

Okręt posiada też uprawy hydroponiczne, dzięki którym produkowany jest tlen, ale na pokładzie znajdują się także zbiorniki ze sprężonym powietrzem - niemniej, dzięki możliwości wchodzenia w atmosferę bez ryzyka spłonięcia jednostki, proces uzupełniania zapasów tlenu i wody jest dosyć częsty i odbywa się co kilka tygodni czasu pokładowego.

Grawitację utrzymuje się sztucznie, a jest ona maksymalnie zbliżona do średniego ciężenia ziemskiego. Niemniej w każdym pomieszczeniu można utrzymywać inne warunki, tak aby odpowiadały zamieszkującym je istotom. Dotyczy to zarówno grawitacji, jak i atmosfery i temperatury.

Ponieważ w przestrzeni kosmicznej nie ma naturalnego podziału na dzień i noc - a ściślej rzecz biorąc, mamy do czynienia wyłącznie z niekończącą się nocą - na pokładzie „Teddy'ego R.” ustanowiono sztuczny podział na dwudziestoczworogodzinne doby. Na prawdziwym okręcie wojennym, w odróżnieniu od pewnego waszego ulubionego serialu telewizyjnego, należy unikać sytuacji, podczas których kapitan, pierwszy i drugi oficer oraz dowódca przedziału bojowego pełnią służbę w tym samym czasie. Jakie konsekwencje miałby atak wroga w momencie, gdy wszyscy pójdą spać, a okrętem dowodziłby niedoświadczony porucznik? Straszne. Z tego też powodu kapitan obejmuje dowodzenie podczas pierwszej wachty, pierwszy oficer zajmuje się drugą, a drugi ostatnią. Nie oznacza to wcale, że kapitan nie

jest budzony podczas sytuacji kryzysowych, system ten służy wyłącznie proporcjonalnemu rozłożeniu odpowiedzialności pomiędzy wszystkich oficerów okrętu i zapewnieniu nadzoru przez całą dobę.

„Teddy R.” jest starym okrętem, który już dawno poszedłby na żyletki, gdyby Republika nie uwikłała się w wojnę, niemniej posiada sprawność bojową, wciąż potrafi przemieszczać się z prędkościami nadświatłymi, prowadzić ostrzał najpotężniejszą bronią pokładową z bardzo wysoką celnością i bronić się w wypadku ataku jednostki podobnej klasy (aczkolwiek nie mówimy tu o stawianiu czoła nowoczesnym krążownikom i pancernikom).

## **Aneks piąty**

### **TEDDY ROOSEVELT - CZŁOWIEK, KTÓREGO IMIENIEM NAZWANO OKRĘT**

Bardzo często cytuje się słowa prezydenta Johna F. Kennedy'ego, wypowiedziane podczas obiadu w Białym Domu, gdy podejmował tuzin najznamienitszych naukowców i artystów. „Panowie - miał wtedy powiedzieć JFK - oto najwspanialszy zbiór talentów, jaki zebrano przy tym stole od czasu, gdy zasiadał przy nim samotnie Thomas Jefferson”.

Była to niezwykle przenikliwa, mądra, ale i cięta uwaga - ale JFK musiał brać pod uwagę fakt, że Teodor Roosevelt w ciągu siedmiu lat swojej prezydentury jadał wyłącznie w okolicznych restauracjach.

Dlaczego nazwałem ten okręt imieniem Teodora Roosevelta? Może dlatego, że uważam go za najważniejszego obywatela Ameryki w całej jej historii.

Pomyślcie sami: już jako dziecko doświadczył okropieństw astmy. Ale zamiast poddać się chorobie jak większość, zaczął uprawiać sporty i pływać, dzięki czemu osiągnął tak dobrą formę, że mógł trafić do drużyny bokserskiej na Harvardzie.

Zanim trafił na tę uczelnię, był już osobą co najmniej znaną. Do końca życia pozostał zapalonym naturalistą, ale już jako nastolatek był wymieniany pośród najlepszych ornitologów i preparatorów zwierząt Ameryki. Ale jego zainteresowania nie kończyły się na przyrodzie. W czasie studiów napisał jedną z naj-

lepszych prac traktujących o wojnie na morzu (*The Naval War of 1812*).

Studia ukończył z najwyższymi wyróżnieniami, należąc do prestiżowego stowarzyszenia Phi Beta Kappa, ożenił się z Alice Hathaway, zaczął uczęszczać na prawo, ale dość szybko znudził się nim i odkrył politykę. A kiedy Teddy Roosevelt zajmował się nową dziedziną, nigdy nie robił tego na pół gwizdka - i tak, w wieku dwudziestu czterech lat stał się najmłodszym człowiekiem w historii, który trafił do legislatury stanu Nowy Jork. Rok później został przywódcą opozycji w tym ciele ustawodawczym.

Być może Teodor pozostałby na tym stanowisku dłużej, gdyby nie fakt, że 14 lutego 1884 roku, niedługo po jego dwudziestych piątych urodzinach, jego ukochana Alicja oraz matka zmarły w tym samym domu, w odstępie zaledwie dwunastu godzin. Poczłł wtedy nieodparty przymus opuszczenia tego miejsca i udał się na zachód, gdzie zajął się rolnictwem (ale ponieważ był Theodore Rooseveltem, miał aż dwa rancza zamiast jednego).

Jednak ani rolnictwo, ani sport czy polityka nie uczyniły go szczęśliwym, zajął się więc wprowadzaniem prawa, a do jego osiągnięć można zaliczyć pochwylenie trzech rzezimieszków. Dokonał tego w pojedynkę i na dodatek bez broni, na terenach znanych jako Pustkowiec Dakoty, podczas śnieżnej zadymki określanej w annałach mianem Zimy Błękitnego Śniegu.

Rozpoczął budowę słynnej posiadłości Sagamore Hill w Oyster Bay w stanie Nowy Jork, gdzie poślubił Edith Carew i ponownie założył rodzinę. Jego pierwsza córka, Alice, urodziła się na dwa dni przed śmiercią noszącej to samo imię matki. Z Edith miał czterech synów - Kermita, Teodora Juniora, Archiego i Quentina - oraz jedną córkę, Ethel. W tym okresie względnego spokoju napisał kilka kolejnych bardzo dobrze przyjętych książ-

żek. Ale gdy zaczęło mu brakować pieniędzy, podjął się napisania czterotomowego dzieła „The Winning of the West”, którego dwa pierwsze tomy stały się niemal natychmiast bestsellarami. Znany był też z niezaspokojonej chęci korespondowania z ludźmi, przypisuje mu się autorstwo niemal stu pięćdziesięciu tysięcy listów.

Mając lat trzydzieści uznał wreszcie, że czas przestać bujać w obłokach i wziąć się do prawdziwej pracy. I tak przyjął posadę komisarza policji w skorumpowanym Nowym Jorku i ku zadowoleniu swoich najzagorzalszych popleczników, skutecznie rozprawił się z tym procederem. Zastąpił także „wypadami o północy”, kiedy to osobiście pojawiał się, by sprawdzić, czy jego podwładni czuwają na posterunkach. Był też pierwszym komisarzem, który nakazał wszystkim funkcjonariuszom odbywanie regularnych ćwiczeń na strzelnicach.

Tak bardzo uprzykrzył życie bogatej i potężnej (a co za tym idzie - skorumpowanej) nowojorskiej elicie, że dostał od niej kopniaka w górę i otrzymał stanowisko asystenta sekretarza marynarki w Waszyngtonie. Gdy wybuchła wojna amerykańsko-hispańska, zrezygnował z posady, wstąpił do armii, gdzie otrzymał stopień pułkownika i przywdział jeden z najbardziej fantastycznych mundurów w historii tego kraju - regimentu Rough Raiders, składającego się z kowbojów, Indian i sportowców. Wyślano ich na Kubę, gdzie Teddy osobiście dowodził szarżą na San Juan Hill, prosto na gniazda karabinów maszynowych, dzięki czemu stał się najśłynniejszym żołnierzem Ameryki.

Niespełna trzy miesiące później wybrano go na gubernatora stanu Nowy Jork, stało się to niecały miesiąc po jego czterdziestych urodzinach. Nawet piastując tak wysoki urząd, nie zarzucił swoich zainteresowań, wciąż pisał książki i studiował przyrodę.

Dwa lata później znów przyszedł awans. Trafił na miejsce, gdzie mógł do woli oddawać się pasji reformatorskiej, czyli na stanowisko wiceprezydenta.

Dziesięć miesięcy później prezydent William McKinley został zamordowany i Roosevelt został najmłodszym prezydentem Stanów Zjednoczonych, które to stanowisko piastował przez kolejnych siedem lat.

Czego dokonał w tym czasie?

Niewiele, jak na jego własne standardy. Z naszego punktu widzenia więcej niż pięciu innych prezydentów. Spójrzcie sami:

- Stworzył system parków narodowych.
- Przetarcił skostniałe struktury korporacyjne i rozkręcił gospodarkę (a wraz z nią cały kraj).
- Doprowadził do wybudowania Kanału Panamskiego.
- Wysłał flotę wojenną w podróż dookoła świata. Gdy te okręty wyruszały w rejs, Ameryka postrzegana była jako drugorzędny gracz na scenie globalnej. Gdy wróciły, stała się niekwestionowanym mocarstwem.
- Był pierwszym prezydentem, który otrzymał pokojową Nagrodę Nobla. Wyróżnienie to przyznano mu za doprowadzenie do zakończenia wojny rosyjsko-japońskiej.
- Nadzorował rozmowy Niemiec z Francją dotyczące przyszłości Maroka, dzięki czemu udało się zachować niepodległość tego kraju.
- Aby upewnić się, że korporacje nie odzyskają utraconych wpływów, powołał do życia Departament Handlu Stanów Zjednoczonych.

Czy było coś, czego nie potrafił dokonać? Tylko jedna rzecz. Jak sam zwykł mawiać, gdy jego córka Alice biegła korytarzami Białego Domu: „Albo będę kontrolował kraj, albo moją

córkę. Obu tych rzeczy naraz nie da się zrobić”. I to właśnie ona, mając na względzie upodobanie ojca do przebywania w świetle jupiterów, wypowiedziała pamiętne zdanie: „On chciałby być panną młodą na każdym ślubie i nieboszczykiem podczas każdego pogrzebu”.

Gdy opuszczał urząd w roku 1909, daleki od spokoju, spakował swoje rzeczy i sztucery, aby wyruszyć na pierwsze i największe safari swojego życia. Spędził niemal jedenaście miesięcy na zbieraniu okazów dla muzeów Amerykańskiego i Smithsonian. Opisał swoje doświadczenia z tej podróży w książce „African Game Trails”, która do dnia dzisiejszego uznawana jest za jedno z sześciu najważniejszych dzieł dotyczących tematyki podróżniczej.

Gdy powrócił do Ameryki, dość szybko przekonał się, że jego następcą, William Howard Taft nie radzi sobie z rządzeniem, zdecydował się więc na udział w kolejnych wyborach, które miały rozpocząć się w roku 1912. Ale chociaż nadal był najpopularniejszym przedstawicielem partii republikańskiej, nie otrzymał nominacji, pomimo całego szeregu zabiegów politycznych. Większość jego partyjnych kolegów wolała lizać rany i czekać na kolejne wybory. Ale to nie było w stylu Teddy'ego. Stworzył Partię Postępu, nieformalnie zwaną Partią Łosia i wystartował w roku 1912. Śmiało zmierzał do zwycięstwa, ale zamachowiec postrzelił go w klatkę piersiową podczas wygłoszenia mowy na wiecu w Milwaukee. Roosevelt odmówił przyjęcia pomocy medycznej do czasu zakończenia mowy - a trwało to prawie dziewięćdziesiąt minut - dopiero później pozwolił się odwieźć do szpitala. Kuli nie udało się wyjąć, a w czasie rekonwalescencji na czoło wyścigu prezydenckiego wysunął się Woodrow Wilson. Roosevelt znalazł się na drugim miejscu, zaś do-



tychczasowy prezydent Taft na upokarzającej, trzeciej pozycji, zdobywając głosy zaledwie ośmiu elektorów.

Sądźcie, że w tym momencie Teddy znalazł spokój?

Chyba sobie żartujecie. Mówimy o człowieku nazwiskiem Teodor Roosevelt. Brazylijski rząd poprosił go o zbadanie dorzecza Amazonki, zwanego Rzeką Zwątpienia. I chociaż miał już piąty krzyżyk na karku, a w jego piersi wciąż tkwił pocisk, nadal nie zwalniał tempa. Logika nakazywała przejść w końcu na zasłużoną emeryturę - z czym on sam się zgadzał. Ale, jak napisał nieco później: „Musiałem tam pojechać. To była ostatnia okazja, żeby znów poczuć się młodo”.

Ta podróż nie okazała się takim sukcesem jak wcześniejsze safari. Dopadła go gorączka, nieomal stracił nogę. Musiał też namawiać swoich towarzyszy, by pozostawili go, dali mu umrzeć i wyruszyli sami po kolejne sukcesy. Ale nie zrobili tego i gdy wydobrał, wyruszyli wspólnie dalej, kontynuując ekspedycję, szkicując pełną mapę dorzecza, które później nazwano Rio Teodora dla uczczenia tego czynu.

Wrócił do domu i napisał kolejny bestseller, „Through the Brazilian Wilderness”, potem jeszcze jedną książkę o zwierzętach Afryki oraz kilka innych, dotyczących polityki. Nigdy jednak nie powrócił do pełnego zdrowia. Głośno nawoływał do udziału USA w pierwszej wojnie światowej i był święcie przekonany, że odzyska prezydenturę w roku 1920. Niestety, zmarł we śnie szóstego stycznia 1919 roku, w wieku lat sześćdziesięciu, przeżywając kilkanaście razy więcej niż przeciętny człowiek w jego wieku.

Tak oto, moi przyjaciele, wygląda przedstawiona pokrótce biografia jednego z najznamienitszych ludzi Ameryki. Wykorzystałem jego postać w przynajmniej sześciu tekstach, w tym

mieszczą się trzy nominowane do nagród („Bully”, „Over There” i „Redchapel”), i z pewnością sięgnę po niego po raz kolejny.

Nazwanie okrętu jego imieniem? Do diaska, powinienem był nazwać nim całą tę cholerną flotę.

## **Aneks szósty**

### **OPISY POSTACI I OKRĘTÓW**

#### **Komander Wilson Cole:**

W postaci Cole'a nie ma nic, co wskazywałoby na jego bohaterstwo. Normalny wzrost, przeciętna waga, żadnych blizn - nie tego oczekiwalibyście po najczęściej odznaczanym oficerze floty (ale czy Audie Murphy nie wyglądał tak niewinnie, bardziej na dzieciaka niż najbardziej uhonorowanego żołnierza na frontach drugiej wojny światowej?). Może Cole był niższy o cal albo dwa od wzrostu, jakim według ludzi powinien się charakteryzować prawdziwy bohater. Ale ten facet dorabiał się medali ruszając głową, nie mięśniami i dlatego nie musiał wyglądać jak Arnold Schwarzenegger albo Sylvester Stallone.

#### **Makeo Fujiama**

„Góra Fuji” nazwano go nie dlatego, że był ważnym kapitanem, ale ze względu na niewiarygodnie wysoki wzrost. Jego przodkowie pochodzili z Dalekiego Wschodu, sam zachował wiele cech wyglądu charakterystycznych dla Azjaty, ale nosił mundur Republiki reprezentującej cywilizację Zachodu. Miał stanowcze oblicze, które ukrywało jego prawdziwy charakter. Nie był bynajmniej tchórzem czy beksą, ale przeciętnym człowiekiem, który utracił podczas wojny żonę i trójkę dzieci - i był już zmęczony tym wszystkim: walką, dowodzeniem, nawet życiem. Ale kiedyś, dawno temu, był dobrym oficerem, czego dowody dawał od czasu do czasu.

### **„Teddy R.”:**

Stary okręt wojenny, noszący wiele blizn po walkach i zbliżający się do kresu wytrzymałości. Gdybyście zobaczyli go dzisiaj, uznalibyście, że w całości utrzymuje go tylko rdza. Jego wnętrza nikt nie unowocześnił, nie zmieniono w nim dosłownie nic w ciągu ostatniego półwiecza. Krocząc jego korytarzami, miało się wrażenie przebywania w tanim moteliku, który najlepsze lata miał już dawno za sobą. Gdybyście chcieli znaleźć podobną jednostkę w otaczającym was świecie, sięgnijcie po książkę Hermana Wouka „Bunt na okręcie”.

### **Pierwszy opis rasy Polonoi:**

Polonoi to rasa humanoidalna, dwunożna, średni wzrost tych istot nie przekracza pięciu stóp, są jednak masywne i muskularne (zarówno samce, jak i samice). Zwyczajowo całe ich ciała pokryte są miękką materią, która ma najczęściej kolor pomarańczowy.

Wielu członków tej rasy służących w armii było genetycznie ulepszonymi wojownikami. Przyozdobieni pomarańczowo-purpurowymi pasami przypominali z daleka tygrysy o dziwnej maści, mieli też muskulaturę o wiele bardziej rozwiniętą niż ich współbracia. I znacznie szybciej reagowali w obliczu niebezpieczeństwa.

Jednak nie to czyniło z kasty wojowników najbardziej unikalne istoty we flocie, jak zauważył Cole, ale fakt, że wszystkie otwory służące do oddychania i jedzenia oraz narządy płciowe i wszystkie ich miękkie, a przez to narażone na atak, części zostały genetycznie zmodyfikowane i przemieszczone na plecy (w tradycyjnym tego słowa rozumieniu). Ich jedynym celem było zwycięstwo albo śmierć. Kiedy wojownik Polonoi stawał do

wroga plecami, odstaniał swoje najbliższe punkty. Na jego twarzy pozostały tylko wielkie oczy, którymi doskonale widział w ciemnościach, dzięki odbieraniu szerokiego pasma podczerwieni, organ mowy (który nie służył do oddychania i jedzenia) oraz wielkie, zawinięte do przodu uszy, które nie pozwalały mu zbyt dobrze słyszeć tego, co działo się z tyłu. Ręce i nogi mieli zbudowane podobnie, ale jednak nieco odmiennie od ludzkich. Na ich dłoniach mieściły się dwa przeciwstawne kciuki i trzy normalne palce, tak długie i giętkie, że przywodziły na myśl macki.

Gdyby postawić Polonoi z kasty wojowników obok normalnego przedstawiciela tej rasy, zwykły - a nawet doświadczony - obserwator miałby sporo problemów z zakwalifikowaniem ich do tego samego gatunku.

Tak właśnie wyglądała Podok oraz pozostali Polonoi służący we flocie.

### **Uzupełnienie:**

Z przodu Polonoi posiadają coś na kształt naturalnej zbroi z kości ukrytych tuż pod skórą. Uderz w nią, a złamiesz sobie rękę. Dźgnij nożem, a złamiesz ostrze. Możesz ją przestrzelić, wykorzystując każdy rodzaj broni palnej, pulsacyjnej czy laserowej, ale rana w większości przypadków nie okaże się śmiertelna.

Nie wspomniałem do tej pory o jeszcze jednym szczególe, o którym nie musiałem mówić, ponieważ w czasie opisywanych wydarzeń Podok nie posilała się w miejscu publicznym. Otóż wszyscy Polonoi z kasty wojowników posiadają narząd przypominający chwytny język, o długości dochodzącej nawet do trzydziestu cali, który wysuwają z otworu gębowego. Nie ma on narządów wzroku, powonienia ani słuchu - ale dysponuje obcym nam zmysłem, który pozwala mu zachowywać się tak, jakby widział, czuł i słyszał. Dzięki niemu pożywienie trafia do ust wojownika, ale organ służy także do kilku innych rzeczy, podobnie jak trąba słonia, a gdy nie jest używany, spoczywa bezpiecznie we wnętrzu ciała Polonoi.